



EDIPRESSE
KSAZd

Marta Motyl

MOC GRANATU

Marta Motyl

MOC GRANATU



EDIPRESSE
PIAZZO

ROZDZIAŁ I

Życie daje szkołę

Wyobrażałam sobie, jak chmara długowłosych i długonogich nimfetek razem ze mną oddycha obrazami. Wdech–piękno, wydech–piękno, wdech–piękno, wydech–piękno. Z równą przyjemnością zaciągałam się zapachem ich mlecznych ciał. Słowa lolitek, nuta po nucie, układały się w ujmującą melodię. Urozmaicały ją dzwoneczki szczerego śmiechu. A ja wciąż włączałam replay.

Uroiłam sobie istną *Akademię Pana Kleksa* w wersji dziewczynskiej i/lub lesbijskiej. Powinnam dodać odznaczanie uczennic kolorowymi piegami, do kompletu.

Najważniejsze, że termin praktyk z plastyki naprawdę się zbliżał. Roześmiana skreślałam kolejne dni w kalendarzu. Śmiałam się też z tego, że mam uczyć i wychowywać, chociaż wielu odsądziłoby mnie od czci i wiary. W przeciwieństwie do Pana Kleksa postawiłam na nudnawy wizerunek. W nowej roli chciałam wydawać się uporządkowana od A do Z. Nikt nie mógł wpaść na ślady mojej przeszłości i prawdziwej mnie.

Ledwie przekroczyłam próg gimnazjum, w sukience za kolano, z upiętymi w kok włosami, a mina mi zrzedła. Napotkane nimfetki wcale mi się nie spodobały. Nie oglądałam się nawet za najzgrabniejszymi z nich. Sprawka stresu spowodowanego rolą czy samych dziewcząt? Dlaczego czar prysł?

Na korytarzach z ich ust, wymalowanych jak u klaunów, wylatywały głównie słowa do wypikania. Razem z nimi przeżyły się i wypinały przed publicznością złożoną z reszty klasy. Śmiały się na cały regulator, nieszczerze, śmiechem podobnym do udawanego orgazmu. Miałam ochotę go wyłączyć. Maniery początkujących gwiazd porno podkreślały skąpymi ciuszkami. Nie oszczędzały za to na perfumach. Ilość, jaką na siebie wylewały, wywoływała nagłe ataki kichania. Gdyby spryskały się odrobinę mocniej, zwałyby z nóg i słonia.

Skromniejsze dziewczyny wyglądały na ich młodsze siostry, które wciąż nie wyrosły z bluzek z Myszka Miki. Jednak plotkując o gwiazdach, używały tyłu wulgaryzmów, co tamte. Z zazdrością, że jeszcze nie weszły na ten sam stopień wyzwolenia. To znaczy skurwienia. Na razie na pękających nóżkach co najwyżej zbyt często chodziły na fast foody.

Z kolei chłopcy, dla których nie znalazłam miejsca w mojej wizji, nie okazali

się warci uwagi. Rośli pokracznie, pryszczato i na dopalaczach. Nie wiem, czy mieli oczy czerwone jak króliki po nocach spędzonych na ćpaniu, czy na graniu. Lolitki odstawiały przed nimi sztuczki tylko po to, żeby nie wyjść z wprawy. Najwięksi naiwniacy pozwalali się nieźle wrabiać – przynosili, podawali, zamiatali na zawołanie. Oni nie wiedzieli, ale ja wiedziałam, że nic nie wskórają. Wyznacznikiem pozycji lolitkowej gwiazdy zawsze jest starszy gość. Im większa różnica wieku między nimi, tym lepiej. Ciekawe, czy te tutaj mają swoich sponsorów?

Szybko wyszło na jaw, że całe to stado uważa sztukę zarówno za wymysł tych, którym się nudzi, jak i samych nudziarzy. Internetowi kozacy, czołowi youtuberzy wcale się nią nie zajmowali ani nie przejmowali. I co? Zbierali lajki, obserwatorów, wyświetlenia! Dzisiaj myślę, że małaolatki próbowały mnie podpuszczać swoją gadką. Ale wtedy, pełna zapału, dowodziłam im, że dzieła sztuki przetrwają znacznie dłużej niż bohaterowie jednego sezonu. Tym samym zbiorą więcej lajków i obserwatorów, jeżeli mierzyć ich miarą. Zapamiętany obraz da się wyświetlić w głowie bez prądu i Wi-Fi nie miliony, a miliardy razy.

Mimo tego tłumaczenia nastolatki wiedziały swoje.

Nie mogłam się doczekać prowadzenia lekcji, żeby nimi nawrócić ich na moją wiarę w sztukę. Ponownie odliczałam więc dni – do zakończenia obserwacji z osłej ławki i przejścia centrum dowodzenia przy tablicy. Pan Kleks nie do końca wyparował mi z głowy; kiedy wreszcie rozpoczęłam zajęcia, było na nich prawie tak samo kolorowo, jak u niego. Pokazywałam swoje prezentacje multimedialne o epokach, które dawały po oczach, grały i trąbiły. Puszczałam wesołe animacje o artystach. Urządzałam konkursy. Małaolatki najbardziej polubiły diabełki wyskakujące z pudełeczek, więc nakupiłam im niespodzianek co niemiara. Podczas kwizów pseudospryciarze zaczęli beczelnie szukać podpowiedzi od ukrytego w komórkach wujka Google'a.

Ciocie Magdę i „pedalskie bohomyzy” towarzystwo ciągle miało wiadomo gdzie. Bardziej pomysłowe, staranniejsze rysunki i malunki oddawałyby mi szympany z łódzkiego zoo. Nawiasem mówiąc, chyba lepiej poradziłabym sobie ze zwierzakami niż ze stadem, które miałam przed sobą. Wystarczyło, żeby z sali choć na chwilę wyszła etatowa plastyczka, a zaczynało się międlenie jęzorami i gapienie się w wyświetlacze smartfonów zamiast na slajdy. Kiedy ona z powrotem wkraczała do akcji, wszyscy natychmiast milkli, a smartfony znikwały.

Z kosza na śmieci wystawały pogniecione dyplomy i pudełeczka. Bogu niech będą dzięki, że nie nosiłam go na głowie!

Mijając smarkaczy na korytarzach i schodach, słyszałam przeciągły syk: „Mortissshia”. Z dnia na dzień moje zniechęcenie rosło. Bujnie, niczym paprotki na parapetach, szcudrze podlewane. Kapało na podłogę, która lata świetności dawno miała za sobą; woźna chciała do nich powrócić i czyściła ją uparcie mopem.

Pewna, że moje starania są równie bezsensowne, po zajęciach ukrywałam się w kiblu, połykając łzy.

Wówczas do stada, chyba po chorobowym, wróciła czarna owca. A raczej zamaskowany pod owczym futrem drapieżnik. Kiedy minęłam ją na korytarzu, momentalnie przeszedł mnie dreszcz. Tęczówki dziewczyny migotały słońcem, które zaświeciło mi prosto w twarz. W moich oczach odbił się naprawdę mocny błysk.

Ale i bez tego nie przeszedłbym obok niej obojętnie. Nie dało się. Jej długie lśniące włosy miały barwę atramentu. Kaligrafowały na etnicznej chuście, w którą się owijała, kolejne wzory. Nadgarstki ozdabiała niezliczonymi bransoletkami; niektóre podzwaniały. Na swoich niebotycznych koturnach poruszała się niewystudiowanymi, a naturalnie zmysłowymi ruchami. Balans dzikiego kociaka. Ignorowała jazgotliwą zgraję, której chichot narastał, gdy znajdowała się w pobliżu. Wiało od niej pogardą dla rówieśników.

Zaintrygowała mnie.

Mało to. Na lekcjach z najtrudniejszą klasą, III c, była jak balsam na moją duszę. Wykonywała polecenia bez problemu, z widoczną na pierwszy rzut oka pasją. Uwielbiałam obserwować jej pochylanie się nad kartką i tworzenie jak w transie. Miała talent w sam raz do doskonalenia. Wygrywała każdy kwiz, i to bez oszukiwania. Inni powinni brać z niej przykład, a nie na nią fukać. Podchodziła do biurka po lekcji, żeby ze mną porozmawiać chociaż przez chwilę. Raz przyniosła mi teczkę z pracami, których podobno nikomu dotąd nie pokazywała. Jakie to były prace! Nad wiek i nad wyraz odważne.

Takie lolitki mogłabym uczyć bez końca.

Na kartonach zobaczyłam nagie kobiety. Ukazane od tyłu stały na palcach, wyciągając się do góry. Od naprężonego do granic możliwości ciała jeszcze mocniej odznaczały się wypukłe pośladki. Ukazane z boku obejmowały kolana, a sterczące piersi przyciskały do ud. Ukazane z góry klęczały, wyginając plecy w łuki. Na tych łukach odznaczały się paciorki kręgow.

Dziewczyna wytyczała zarysy sylwetek ołówkiem, ostrą i rozedrganą kreską, a wypełniała je bardziej miękko, akwarelami. Spod kremowych i brzoskwinowych smug, które tworzyły powierzchnię skóry, prześwitywała siatka naczyń krwionośnych jak rozpuszczone błękitne i granatowe nitki. Jeżeli postać pokazywała twarz, nie wdzięczyła się. Patrzyła wnikliwie, niemal wyzywająco. Czerwona plama rozchylnych ust wciągała mój wzrok w szczelinę pośrodku. Nie mogłam oderwać się od tych akwareli i ich aury, która budziła zmysły i niepokój. Dziewczyna tytułowała postaci „muzami” i numerowała je.

Ostatnią muzę, ujętą w jeszcze innej pozie, przytrzymałam w ręku stanowczo zbyt długo – uczesana w kok odwrócona kobieta patrzyła na mnie przez ramię. Miała moją szyję, twarz, włosy. Na odkrytych plecach brakowało jej jedynie

mojego tatuażu.

Małolata wyjęła mi obrazek z wilgotniejącej dłoni, delikatnie muskając ją opuszkami palców. Zwróciłam uwagę na długie paznokcie.

– Malowałam z pamięci – rzuciła tonem niewiniątka i już była przy drzwiach. – Kiedy miga świat w twoich oczach, naucz mnie, naucz mnie od nowa!^[1] – zanuciła.

Dlatego w myślach nazwałam ją „nową”.

Nie licząc naszych kontaktów, w szkole doskwierała nam identyczna samotność. W pokoju nauczycielskim widywałam same mamuśki w wieku okołomenopauzalnym. Żadna z nich nie wywoływała u mnie uderzeń gorąca. Nie wdawałam się w pytlowanie o młodzieży, obrabianie dup paniom, których akurat nie było w pobliżu, i narzekania na rodzinne stadła. Nudy, nudy, nudy. Gorsze od szkolnej papierologii. Rozmawiałam tylko i wyłącznie z drobną babinką w koralach, czyli plastyczką, opiekunką moich praktyk. Doradziła mi kilka praktycznych trików na bolączki.

Po kursie u niej, wchodząc do klasy, prosiłam o ciszę i czekałam na nią, zamiast przekrzykiwać zamęt. Znaczące spojrzenia podziały na łobuzerię mocniej niż zdzieranie gardła. Praca w grupach nieźle wciągała małolaty. Owszem, jeszcze nieraz się po mnie przejechały. Sielanki nie było, ale przynajmniej przestałam chlipać po kiblach. Podrzucałam stadu drobne smakołyki w postaci: „Miło, że lekcja nam się udała”, i jako tako wytrzymywaliśmy ze sobą.

Plastyczka doceniła mozół, który wkładałam w przygotowanie zajęć i poprawę metod nauczania. Wkrótce miała przejść na emeryturę i chciała polecić mnie dyrekcji na swoje miejsce. Nie miałam zielonego pojęcia, skąd wzięła się jej życzliwość, ale z pewnością zmotywowała mnie dodatkowo. Zacisnęłam zęby, jeszcze porządniej przykładałam się do lekcji i papierologii. Nawet „Mortissshia” przestała mi przeszkadzać, zgrywając się ze mną jak nieodłączna czerń.

Odkąd poznałam swój portret, czułam na sobie świdrujący wzrok nowej także wtedy, gdy stałam tyłem i zapisywałam temat na tablicy. Parzył mój kark, dotykał łopatek i przesuwał się niżej. Zamieniał się w smukłe palce i wcale nie zatrzymywał się na talii. Gwałtownie odwracałam się, żeby dalej prowadzić lekcję, nie zaś wyobrażone dłonie.

Z oczu dziewczyny, obwiedzionych identyczną kocią kreską jak moje, wyzierał blask triumfu. Ostrzyła na mnie pazurki. Chciała nimi rozedrzeć mundurek Mortishii i sprawdzić, w jakim rytmie bije ukryte pod nim serce. Prawdziwe, a nie takie z gąbki do ścierania tablicy. Chociaż pochlebiała mi ta adoracja, zastanawiałam się, czy aby na pewno jej pragnę. Krzyżowała moje plany, ponieważ w tym miejscu, w imię przyszłości, nie powinnam wdawać się z żadną uczennicą w żadne układy. Kłopoty nie były mi potrzebne.

Po raz pierwszy spotkałyśmy się poza szkołą, kiedy wpadłam na nią w

Empiku. Nie, „wpadłam” nie jest odpowiednim słowem. Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności. Byłam przekonana, że ona szła krok w krok za mną, odkąd zamknęłam za sobą drzwi szkoły. W księgarni „przypadkiem” przystanęła obok. Akurat przerzucałam strony albumu z fotografiami Beksińskiego. Wydawały mi się sto razy lepsze od jego malarstwa.

– Podobno lubił jeść i pić wszystko, co naszpikowane chemią – powiedziała.

– Tak? – Na chwilę podniosłam głowę znad książki, po czym powróciłam do jej kartkowania.

– A pani co lubi? – Nie odpuszczała nowa, czujna i gotowa do skoku.

– Kawę. Ale dzisiaj jeszcze nie piłam. – Ustąpiłam jej pola.

Uchyliłam furtkę do siebie. Nie miałam sumienia dłużej trzymać nimfetki za ogrodzeniem.

Dzięki temu nie musiała go przesłuchiwać.

Kiedy stała przede mną w kolejce do baru, jej włosy połaskotały mnie w twarz. Przerzuciła je do przodu i uśmiechnęła się.

Usiadłyśmy w fotelach w kolorze głębokiego karmelu. Kropla po kropli, razem z kawą, wlewałam w siebie głos i śmiech dziewczyny. Nigdy dotąd nie słyszałam go w takim natężeniu. Sama starałam się być do rany przyłoż, nadrabiając dystans, na który dopiero co ją trzymałam. Ona zaproponowała natomiast, że odprowadzi mnie na przystanek. Byleby pobyc z mną dłużej.

Tam nadleciał do nas balon wypuszczony z rąk przez rozrzutne albo niezdarne dziecko.

Spodobał mi się pomysł, który nowa podała mi wraz z nim – żeby napisać nasze życzenia i wypuścić je w świat. Zsunęła z ramion czarny plecak z przypiętą agrafkami naszywką z napisem: „Człowiek rodzi się mądry, a potem idzie do szkoły”, a podczas jego przetrząsania pochyliła głowę i przymknęła powieki. Długie, gęste rzęsy prawie skleiły się z policzkami.

Za rzędem przyborów w piórniku mignęło srebro żyletki. Uznałam, że mam zwidy, podesłane mi przez własną obsesję.

Wzięłyśmy balon między siebie i pisałyśmy na nim jednocześnie. Skończyłyśmy prawie w tym samym momencie. Wspólnie przekreśliłyśmy go.

– Codziennie roztaczaj urok swojej sztuki i śmiechu – odczytała i się rozpromieniła.

– Proszę o kolejne takie spotkanie albo o jeszcze lepsze – zawtórowałam po chwili, równie rozpromieniona.

Młoda wyciągnęła ręce do nieba i podarowała mu balon. Zastąpił malejący i szary sierp księżycy białą okrągłą pełnią.

Moja pierwsza nimfetka już dawno przestała zabiegać o moje względy i obecność. Aktualnie mieszkała ze sponsorem w Londynie, Louis zaliczył bowiem awans na dobrą posadę w mateczniku swojej korporacji. Miałam razem z nią

wykiwać jego, tymczasem to oni wykiwali mnie. Wyżęli jak szmatę i fruuu, polecieeli!

Długo nie opuszczała mnie nadzieja, że sprawiedliwości stanie się zadość. Że ona go oskubie i znajdzie sobie kolejnego sponsora. A następnie ze skrzynią pełną skarbów powróci do Łodzi. Prosto do mojego łóżka.

Lecz wreszcie dotarło do mnie, że nic nie wskazuje na jej powrót.

W zamian miałam nową, nawet bardziej lolicją. Do tego dzielającą moje zainteresowania i spełniającą wyobrażenia, które na początku snułam o uczennicach. Wprawdzie była jedna, jedyna, za to pełna niespodzianek.

Na następnej lekcji z III c nieraz traciłam wątek. Z utęsknieniem czekałam na dzwonek, na to, że ona zatrzyma się przy biurku.

Cóż, nie zatrzymała się. Pomyliłam się co do niej.

Nie! W drodze ze szkoły okazało się, że wcale się nie pomyliłam. Kiedy sięgnęłam w tramwaju do torebki po migawkę^[2], w rękę wpadła mi koperta z moimi inicjałami. Zgrabnie oplatał je sznurek balonika, który leciał nad nimi. Niecierpliwie ją rozdzierałam, chcąc jak najszybciej dostać się do środka. Wysunęłam karteczkę pokrytą znajomym charakterem pisma. „Zamiast odrabiać pracę domową, będę wieczorem w Domu na OFF-ie. Co Pani na to?”

Sama zapraszała mnie do kolejnego kroku w naszej znajomości!

Czas zatoczył krąg. Przecież ja też podkochiwałam się w mojej nauczycielce plastyki. Jednak w przeciwieństwie do nowej nie miałam odwagi tego okazywać. Byłam wtedy o wiele bardziej nieśmiałą osobą niż ona teraz. Sytuacja między nami stawała się więc nadzwyczaj wciągająca. I zbyt mocno ciągnęło mnie do tej nimfetki, żebym miała się z tego wycofać.

Po szkole musiałam załatwić parę spraw na mieście, zatem nie przygotowywałam się specjalnie do wieczornego wyjścia. Zamiast przebierać się z mundurka Mortishii, wołałam nieco zaprawić się na odwagę. Wątpliwości nasiliły się bowiem. Nie dlatego, że kogoś miałam. Nie byłam pewna tej relacji, więc nie brałam jej pod uwagę. Ani pod rozwagę.

– Czy praktykantka może sobie, ot tak, imprezować z uczennicą? – Konsultowałam się z butelką.

– Jasne! Przelecieć też ją może. O ile nikt nie widzi i nikt się nie dowie. – Brzmiała odpowiedź.

– Ale ja nie przelecę nowej! – Zakończyłam dyskusję.

„Naucz mnie, naucz mnie od nowa”^[3], podśpiewywałam.

Nie wiem, który to już raz przekonywałam samą siebie, że nic takiego nie robię i że jestem w porządku.

Dawno nie przedzierałam się na początku weekendu przez centrum miasta korków i remontów, z których każdy był niekończącą się historią. Miasta ozdobnych drzewek za 155 tysięcy od sztuki i miliona wspomnień. Przypomniało

mi się, że pokonywałam tę samą trasę z Igozem. Moja fantazja podsunęła mi teatrzyk cieni. Cienie te żywo gestykulowały i odchodziły od siebie, skłócone. Wtem jeden przebiegł na drugą stronę ulicy i porwał tulipana od ulicznej kwiaciarki. Popędził z nim za drugim cieniem.

Czy gdyby go nie dogonił, nie rozczulił, wszystko potoczyłoby się inaczej?

Do hipsterskiego przybytku dotarłam z mieszanymi uczuciami. Szkoda, że na przypieczętowanie naszej przyjaźni nastolatka zaprosiła mnie do miejsca, którego nie znosiłam. Bzdura – pomyślałam. Skąd miała wiedzieć?

Najpierw uważnie się rozejrzałam, czy w lokalu nie widać starych znajomych. I tych nowych, przede wszystkim szkolnych. Nauczycielki wyglądały na spędzające wieczory w domu, a nie w Domu, lecz wolałam dmuchać na zimne. Odetchnęłam z ulgą, bo nie zauważyłam nikogo takiego.

Nową spostrzegłam nie od razu. Przez moment obawiałam się, że wykręciła mi numer i nie przyszła. Osnuwały ją smugi dymu z papierosa, którego paliła. Zaciągała się, nieznacznie odchylając głowę. Przysiadłam obok niej, ale nie za blisko.

– Uwielbiam patrzeć na dym. A pani? – zapytała.

Miałam ochotę jej wyznać, że posiadam wyjątkowy talent do robienia dymu. Jednak jako nauczycielka, nawet trochę wstawiona, powinnam odpowiedzieć inaczej.

– Uhm. I na piękne kobiety, gdy palą.

– O, tak! Zapali pani? – Wyciągnęła paczkę z odchylonym wieczkiem w moją stronę.

– Nie, nie. Sama nie przepadam za papierosami. Wiesz co, mów mi po imieniu – zaproponowałam, najswobodniej jak umiałam w tej chwili. – Tylko w szkole nic się nie zmienia – zaznaczyłam, na wszelki wypadek.

– Pewnie! Mamy swoją pierwszą tajemnicę! – ucieszyła się. – Nareszcie koniec z dystansem!

– Byłam... To znaczy... Uczę cię, pamiętaj. Dystans jest... Był naturalny – plątałam się w zeznaniach.

Wtedy ona prowokacyjnie zadała pytanie.

– To kim w końcu jesteś? Teraz?

Musiałam odpowiedzieć podobnie, żeby wyjść z twarzą.

– Tym, kim mnie stworzysz! – odparłam.

Śmiech dziewczyny poniósł się dalej niż dym. Kiedy skierowała się do baru, popatrzyłam za nią, w stronę ludzi szykujących się do opuszczenia klubu. Jeszcze ostatni papieros, jeszcze ostatni łyk piwa. A my mamy dla siebie multum czasu!

Nowa postawiła przede mną butelkę i pociągnęła spory haust ze swojej. Błagam, miałam krzyczeć na nią, że pije? Na barmana, że sprzedał nieletniej alkohol? Wypytywać ją, czy mama wie i pozwala? Zadzwoić do mamy?

Młoda przysunęła się z wdziękiem; wystarczyłby jeden mały ruch, a wpadłabym w jej włosy. Odurzyłabym się ich zapachem, jak najlepszym rodzajem opium. Nie była już wyłącznie moją uczennicą, czyli mogłam sobie ciut odpuścić. Stawała się bluzką z białej koronki, spod której prześwitywał czarny stanik. Udem ocierającym się o udo, gdy zakładała nogę na nogę. Głosem, mruczącym włączane przez didżeja piosenki. Wyznałam jej, jakie zwierzę mi przypomina.

Kociak kociaka rozpozna zawsze.

Trafiłam zarówno w dziesiątkę, jak i kulę w płot, ponieważ tak nazywał ją eks. Podobnie jak wiele innych dziewczyn, z którymi prowadzał się, będąc z nią.

– Ty na pewno nie miałaś takiej sytuacji. – Głaskała mnie, licząc na głaski dla siebie.

Odparłam, że niestety miałam. Cóż, znalazła we mnie pojętną słuchaczkę, więc ciągnęła wylewne narzekania na facetów. Byli, przyszli, niedoszli – za nic nie potrafili pojąć jej nastrojów, a wyłącznie pragnęli ją posiadać.

– Wiesz, jak to jest?

Niestety, wiedziałam.

Przerwałyśmy, bo poszłam przynieść nam następne piwa.

Po moim powrocie ona urządziła śmichy-chichy z naciągania na alkohol. Omówiła najbardziej sprawdzone sposoby. Udawałam Greka, jakbym pierwszy raz w życiu poznawała opowieści takiej treści. Wtedy ona wytoczyła najcięższe działo. Pochwaliła się, że równie chętnie stawiała jej kobiety. I że chodziła z nimi nie tylko na drinki.

Damsko-damskie przygody nie były jej obce. Tu mnie miała, co zauważyła od razu.

Zapytała, czy też jestem bi.

Pewnie ostatnią rzeczą, o jakiej powinnam z nią rozmawiać, była moja orientacja. Ale skoro poruszała osobiste tematy, a ja nie protestowałam, skoro sączyłyśmy razem drugą butelkę, albo trzecią, i tak straciłam autorytet. Świetnie mnie złapała i złamała, nie ma co! Przyszło mi do głowy, że cała ta pedagogika, nauczanie i Mortishia są jedną wielką pomyłką. Niepotrzebnie się w nie zaplątałam.

Przytaknęłam, że jestem bi.

– To przybij piątkę! Mamy tyle podobnych cech! Kochamy sztukę i piękno. Kochamy ludzi, bez względu na płeć. Jesteśmy inne niż wszyscy, odczuwamy więcej i mocniej, bo... – Tu przerwałam uniesienia rodem z *Ballad i romansów*.

– Daj spokój! Takie przeżywanie wcale nie jest łatwe.

– Pewnie. Ma plusy i minusy. Ale minusy da się przyćmić – odparła beztrąsko.

Przyćmiłyśmy je, mocniej przyklejając się do baru, jak muchy do miodu. Nowa nagadała obsłudze takich rzeczy, że piłyśmy z nią shoty, za które nic nie

płaciłyśmy.

– Z jaką gracją nam pan nalewa! – podlizywała się.

W swoim stylu wyznała barmanom, że właśnie lepiej się poznamy i obie jesteście bi. Planowała z nimi różne figury geometryczne. O nie, ja w jej wieku nie tylko nie byłam taka otrzaskana – ja nigdy nie byłam taka niemożliwa! Przy niej Łacharska wysiadała. Ta dziewczyna przyłożyła do moich dawnych postępków szkło powiększające. Stąd wydawały mi się idiotyczne do potęgi entej.

Z drugiej strony relaksowało mnie oglądanie jej jako psotki-idiotki. Rozbrajająco upijała się własnym podziwem dla siebie, ta moja muszka, zatopiona w bursztynie whisky. A ja upijałam się nią. I z nią. Zaczęło mi przeszkadzać, że małowata coraz większą uwagę skupia na facetach, a coraz mniejszą na mnie. Podrywając ich, zagrała mi na ambicji. Teraz ja musiałam ją poderwać. Do tańca!

Uprosiłam didżeja o piosenkę *Baby's on fire* Die Antwoord. Pamiętałam, że w tamtym tygodniu nowa nosiła koszulkę z Yo-Landi, wokalistką. Też ją wielbiłam. *Boom, boom, boom, showtime, motherfucker, it's on, Apocolypse now, I'm droppin' this bomb*^[4].

Wszystko zakołysało się w moich oczach jak po potężnej eksplozji, kiedy lolitka chwyciła mnie za rękę. Pociągnęła za sobą tam, gdzie miałyśmy więcej miejsca. Zamieniła się w wirujący wokół mnie ruch, zachwycający i zachęcający. Porwał mnie z łatwością. Krążyłyśmy wokół siebie, podawałyśmy sobie słowa refrenu z ust do ust, nie odstępowałyśmy się ani na krok.

Wtem podkraźła się do mnie z tyłu; jakby nigdy nic wyjmowała mi wsuwki z koka. Nie reagowałam. Przecież niedługo skończą się praktyki i nie będę uczyć nowej, powtarzałam w myślach. Co tam przyszłość, co tam przeszłość! Chcę żyć teraz!

Potrząsnęłam głową, włosy rozsypały mi się po ramionach i plecach. A nimfetka znów była przede mną. Zarzucała mi ręce na szyję i mówiła, że moje włosy są piękne, piękne, piękne! Wypominała, że niepotrzebnie je upinam.

Tak, ona najbardziej kochała wolność!

Dałam się zatem ponieść wolności naszych ciał. Objęłam ją w pasie. Wydatne piersi przesuwały się po moich, a gorący oddech wpadał mi w ucho. *Baby's on fire!*

Przyznałam się, że zawsze chciałam zatańczyć na barze, ale nigdy się o to nie pokusiłam.

– Marzenia są po to, aby je spełniać – odparła.

I stało się. Wywijałam, nie ustępując lolitce. Balansowałyśmy razem, dwie zwariowane akrobatki. Niestety, pochwytiłam krzywe miny barmanów i reszty towarzystwa, które popatrywało na nas z powątpiewaniem. Nie byłam na tyle pijana, żeby ich nie dostrzec. Cholerne szkło powiększające wciąż działało! Moje marzenia, te bańki mydlane, znów pękły, tym razem w zderzeniu z twardą

rzeczywistością blatu. Zamiast rozkosznie się staczać, starzałam się.

Za moją namową, po tańcach połamańcach niemal od razu się stamtąd zmyśliśmy. Podążałyśmy ramię w ramię, pod jedną parasolką; akurat lunął deszcz. Kolejny raz nimfetka odprowadzała mnie na przystanek, a nie ja ją. Kapiąca woda tworzyła na kałużach okręgi z obręczami. Krople bębniły o oszkloną wiatę i chodnik.

Nocny autobus powinien przyjechać za dziesięć minut. Nikt poza nami na niego nie czekał.

Nowa zaczęła otulać mnie swoją chustą, narzekać, że włożyłam zbyt cienki płaszcz. Jej czuły gest zagrał pośród deszczu niczym pozytywka. Śmiałam się z żartu, który opowiadała, aż przymknęłam powieki.

Nie otworzyłam ich, kiedy poczułam wilgotne usta na moich.

Ona napierała na mnie swoim ciałem, aż przycisnęła całą sobą do wiaty. Oparłam się naciskowi, lecz język lolitki poczynił sobie swobodnie. Jej ślina miała smak likieru w środku czekoladki: słodki, ale z mocną alkoholową nutą. Jednak mój język nie dawał się wciągnąć w szaleństwo. Owszem, odczuwałam wobec młodej pragnienie. Lecz nie opuszczał mnie lęk.

„Jestem inną twarzą ciebie”. Nie wiem, czy po pocałunku powiedziała to ona, czy dopowiedziałam sobie ja. Tymczasem przyjechał autobus, zagłuszył wszystko i porwał mnie z cudownych objęć.

Nie poznawałam siebie. Gdzie podziała się moja dawna śmiałość? Gdybym się nią kierowała, nowa jechałaby ze mną prosto do mojego łóżka. Przytłaczała mnie i pozbawiała pola do popisu, czy co? Dotąd sama polowałam i miałam nad tym pewną kontrolę. Jeszcze żadna dziewczyna nie dostawiała się do mnie równie obcesowo i... pociągająco. Nic dziwnego, że się pogubiłam.

Obudziłam się z szumem w głowie. Zgubiłam na mieście spinki, marynarkę. Dobrze, że butów nie zgubiłam. Włosy śmierzdały mi papierosami niebieskowłosej. Na podłodze leżała wzorzysta chusta. Bóg, a może Szatan, zesłał mi tę zwariowaną duszę?

W internecie przeglądałam prawo karne, żeby upewnić się, że nie wsadzą mnie do pudła za nieletnią. Dowiedziałam się, że wsadzają, jeżeli małolata ma nieskończone piętnaście lat. Uff, tyle na pewno skończyła, odetchnęłam. Kiedyś w pokoju nauczycielskim podsłuchałam, że dołączyła do III c dopiero w tym roku szkolnym i właściwie jest o rok starsza od reszty.

Ksywka „nowa” pasowała do niej tym bardziej.

Kiedy po południu włączyłam fejsa, czekała na mnie wiadomość.

„Po alkoholu mam intensywne sny... Dalej tańczyłam z Tobą, wiesz?”

„Ja właśnie tańczę z kacem. Pierwsze, co dzisiaj zrobiłam, to wetknęłam głowę pod kran”, odpisałam od razu.

„A pamiętasz nas na barze?”

„Tak. Nigdy nie zapomnę. Wyrabiamy sobie renomę na mieście. Więcej z Tobą nie piję, bo mnie wywałą za degenerowanie uczennic”.

„Jestem wystarczająco zdegenerowana i bez pani, proszę pani. Raz się żyje!”.

„Oj, dzwoni mój telefon, przepraszam!”. Musiałam kończyć rozmowę i zacząć następną, równie obiecującą. „Do zobaczenia na następnej lekcji. Albo na wizycie domowej”, dodałam.

Zaproponowane przez telefon spotkanie przełożyłam na niedzielę, a później walnęłam się do łóżka, z gracją równą workowi mąki.

* * *

Jak zawsze wypatrywał mnie, stojąc w uchylonych drzwiach. Zamknął je za nami bezgłośnie i odwiesił mój płaszcz.

Pierwsze kroki skierowałam do toalety – zgodnie z wszelkimi wyliczeniami okres powinnam dostać za dwa dni, a dostałam go po drodze. Ledwie opanowałam sytuację i opuściłam łazienkę, a on zaczął się do mnie dobierać. Przesuwał dłońmi po moich ramionach, plecach i niżej. Delikatnie zebrałam je i zabrałam z siebie. Przyznałam się, że właśnie dostałam miesiączkę i że nie tak miało być. Prawie go przeproszałam, chociaż nie wyglądał na niezadowolonego.

– To nic – powiedział tylko.

Zdejmował ze mnie kolejne ubrania, jakby obierał owoc, dopóki nie zostanie sam miąższ. Stawał się coraz bardziej pobudzony, a ja zawstydzona. Do tej pory nigdy nie wstydziłam się przed nim do tego stopnia. Jednocześnie przepełniało mnie podniecenie. Trudno mi było wyrwać się z jego rąk. Ale gdy już zostałam w samej bieliźnie i przeczuwałam, co zrobi dalej (Nie, ratunku, błagam, zapadnę się pod ziemię, jeśli on pociągnie za sznurek tamponu!), znów w te pędy puściłam się do łazienki. Prosto pod prysznic.

Wróciłam zawinięta w sam ręcznik.

– Uklęknij na łóżku – rzucił.

Posłuchałam. Nie dopytywałam o nic, nieprzyzwoicie uległa.

Odwinął mnie z kokonu ręcznika. Odwiódł moje dłonie do tyłu i oplótł mi nadgarstki skórzanym paskiem, którego siłę znałam doskonale. Chwycił za niego, odciągnął moje ręce jeszcze bardziej w tył i wszedł we mnie. Czułam krępujący, bolesny uścisk i rytmiczne, niecierpliwe ruchy, którym poddałam się cała. Pachniałam pożądaniem i krwią. Jej metaliczny gęsty zapach wypełniał i drażnił moje nozdrza. Zatracałam się w nim i w tym, co we mnie wibrowało.

Motyle między udami rozpostarły skrzydła; przepełniały to miejsce i chciały z niego wylecieć. Trzepotały skrzydłami coraz szybciej, jednak wciąż były we mnie wciskane – zapalczywiej, mocniej, głębiej – lecz nie poddawały się. Wyfrunęły razem z moim spełnieniem. Ich skrzydła zabarwiła krew, która spłynęła na pościel.

Kiedy doprowadziliśmy się do porządku, a prześcieradło zawirowało w palce, w oczach kochanka ujrzałam dwa zegary. Tik-tak, tik-tak, tik-tak. Jego czas dla mnie dobiegał końca. Niby zgadzałam się na takie traktowanie. Niby zdążyłam się do niego przyzwyczaić. Niby pociągała mnie ta szorstkość. Niby! Widząc moją nietęgą minę, on tłumaczył się, że musi się przygotować do jutrzejszych lekcji.

Żeby absurdom stało się zadość, połączył nas pomysł na zostanie nauczycielami. Mieliśmy razem wykłady na podyplomówce. Ja zapisałam się na pedagogikę, ponieważ inne historyczki, a raczej histeryczki, sztuki, też tam się wybierały. Coraz bardziej obawiałyśmy się o przyszłość po ukończeniu tak zwanych nieprzyszłościowych studiów.

Wszystkie zwróciłyśmy uwagę na tego samego mężczyznę. Jednego z kilku rodzyneków, studenta historii. Inni nie dorastali mu do pięt. On był renesansową rzeźbą, lecz nie zaklętą w marmurze, a ożywioną. *Dawidem* Michała Anioła, z diabelskim spojrzeniem ciemnych oczu; podobne zawsze silnie na mnie działało. Emanował charyzmą, zawadiackim urokiem i często żartował. Nawet gdyby mówił trzy po trzy, ja i moje koleżanki słuchałybyśmy go z otwartymi ustami. Imię Czarek pasowało do niego idealnie. Zauważyłam, że każdą dziewczynę obsadzał w tej samej funkcji: ogrodniczki podlewającej w nim narcyza. Nic nie dawał w zamian.

Takiego kwiatka dotąd nie wplotłam w mój wianuszek, więc aż rwałam się do niego. Stanowił zdobycz nad zdobyczami! Wyzwanie nad wyzwaniem! Postanowiłam, że nie będę się umizgiwać, a będę rozmawiać z nim normalnie, swobodnie. Wtedy zyskam zaufanie nowego celu. Z nim da się zrobić wiele, o ile nie wszystko – pomyślałam.

Wymienialiśmy się notatkami, plotkami o wspólnych znajomych („jaki ten świat jest mały, prawda?”). Na przerwach zgodnie narzekaliśmy na coraz więcej obowiązków i coraz mniej czasu na wyluzowanie. Sam zaproponował, żebyśmy odprężyli się po maratonie wykładów przy winie w parku, choć tak naprawdę wystawili go wtedy znajomi, którzy wypruli na weekend do Warszawy. Stanowiłam ich zastępnik, co nie oznaczało, że będę nędznym zastępnikiem. Czemu miałam się nie zgodzić? Dodatkowo zasmucić naszego drogiego narcyza, który ostatnio chodził jak struty?

Która ogrodniczka podlała go trucizną?

Pił dwa razy tyle co ja, i dwa razy szybciej. Umarłabym z ciekawości, gdybym nie zapytała, czym się struł i co zapija. Wyznał, że zostawiła go narzeczona. Zwierzenia, oprócz procentów, podkreśliła moja uważność na każde słowo, które padało z pięknie wykrojonych ust, i zpatrzenie się w niego oczkami sarenki.

Wczuwał się w to, co mówił, a mówił porywająco. Słuchając tej historii, jadałam z nim i z jego lubą kolacje, które on przyrządzał. Przez żołądek

przechodziliśmy do serca, z kuchni do sypialni. Na taką szczerość nie liczyłam... Kiedy się kochali, czułam nawet mocny piżmowy zapach, zmieszany z zapachem jej potu, nieprzeszkadzający w niczym, bo żadna mu tak nie pachniała. Zlizywałam świąty, a nie słony pot razem z nim. Nie zawadzało nam również, gdy jego ukochana wierciła się przez sen, choć przygniatała nas wtedy ciężkimi piersiami.

Och, słodki ciężar!

Słowa o niej pieściły mnie, a później potajemnie, zdradziecko dodawały w mojej głowie: „Żeby ciebie ktokolwiek tak kochał!”. Mimo to nie potrafiłam się im oprzeć. Uznałam, że jeśli posiadę tę opowieść całą, opowiadający wkrótce stanie się mój. Cierpliwie robiłam więc razem z nim zimne kompresy i przykładalam je do rozpalonego czoła narzeczonej, gdy rozłożyła ją grypa. Z powikłaniami. Podsuwałam szklankę wody, gdy naszej bidulce raz po raz zasychało w gardle.

Gdy wydobrzała, zaczęła się wahać co do ich relacji. Wróciła do swoich dawnych znajomych. Oni podsycali wątpliwości, czy Czarek jest miłością jej życia. Skoro się nad tym zastanawia, widocznie tak nie jest. Czy miłość przechodzi jak gorączka? Ona uważała, że to możliwe, on, że nie do pomyślenia. Rozpracowywali temat godzinami, a podobne dyskusje nie prowadzą do niczego poza rozejściem się w przeciwnych kierunkach.

Zrobiło mi się szkoda kolegi. Rozumiałam jego sytuację. Nierzadko miłosne wyznania wydają się skałą. Ledwie jednak próbujesz się o nią oprzeć, ona zamienia się w chmurę kraczących wron. Ptaszyska rozpierzchają się na wszystkie strony i rozplývają w powietrzu.

Po rozstaniu z narzeczoną paliłam z porzuconym papierosa za papierosem. Po skończonej opowieści zapijaliśmy tę miłość. Liście ze złota zbrązowiły, brązowe szerniały i stopiły się z nocą. Wystawały z niej tylko gałęzie, które falowały nad nami. A Czarek ciągle wyolbrzymiał, wręcz celebrował swój ból, jakby stanowił on cały jego świat. Powtarzał, że po tym wszystkim czuje się o wiele starszy, niż jest. Docięłam mu, żeby w takim razie czym prędzej kupił sobie fotel na biegunach i fajkę do pykania. Obiecałam skombinować do niej tytoń. Staralam się o dystans, mimo że znakomicie wiedziałam, co on odczuwa po odgrzebaniu wspomnień. Ale czas się opanować, błagam! Niech powtórnie zakopie ich trupa, złoży na grobie chryzantemy – o, pusta butelka będzie dobra na wazon – przeżegna się i spadamy z tych klimatów.

I wreszcie zgodził się ze mną, że nagrobny kamień nie ogrzeje mu dłoni. Zdecydowanie potrzebował ogrzać się w moich ramionach.

Poprosił, żebym go przytuliła, a później podejrzenie długo nie zwalniał uścisku, gdy siedzieliśmy na ławce. Gdy mnie z niego uwolnił, zapytałam, czy mogę położyć głowę na jego kolanach. Przytaknął. Wywęszyłam niepowtarzalną okazję. Wara, śliniace się na jego widok suki! Ja wam pokażę, kto tu rządzi! Przed nim jednak wciąż odstawiałam przymilnego szczeniaczka. Przesuwał ręką po

moich włosach, w dół i w górę. Najpierw tak, jakby gładził po głowie rodzoną siostrę, która bez problemu pojmuje tajemnice bolesne. Później coraz bardziej zmysłowo, owijając sobie kosmyki wokół palców.

Ha, dopięłam swego!

Pochylił się nade mną i podał mi chłodne wargi. Razem z moimi wytworzyły ciepło, które poniosło się dalej, w dół brzucha. Wzbierało we mnie, a on podwijał mi sukienkę, zsuwał rajstopy i rozchyłał uda. Zlizywał ciepło razem z tym, co było we mnie najbardziej pobudzone. W duchu gratulowałam sobie, że okazałam mu empatię, za co on okazuje względy mojej cipce. Też ładnie.

Energicznie poruszałam biodrami, a Czarek od razu pojął, czego pragnę. Chciał tego samego. Rozłożył płaszcz na trawie. Nad nami dawno zamilkły ptaki. Zasłonił mi usta dłonią, żebym nie zakłóciła nocnej ciszy.

Siła jego pchnięć wypełniała moje ciało po same brzegi. Kolejne, coraz szybsze, nie ustępowały sobie w gwałtowności. Sturlaliśmy się z płaszczem. Odgarnęłam mu z czoła mokre włosy, a on dalej poruszał się zapamiętale, wręcz coraz wścieklej. Nawet fascynowała mnie ta furia, którą we mnie wbijał, wyzywając się. Dałam się jej ponieść. Miał wszystko za nic, skoro utracił swoją niedoścignioną ukochaną. Nic w niej nie było brudne i złe. A ja, tarzające się z nim po ziemi zwierzę, dałam mu z siebie oryginalny prezent na pocieszenie. Owinięty w ptasie pióra, suche liście i igliwie.

Dobra była ze mnie koleżanka, prawda?

On wstał pierwszy, ja się nie podnosiłam. Pomyślałam, że właściwie mogłabym zamienić się w liść. Spaść na ziemię, wtulić się w nią, gnić. Niech chodzą po mnie mrówki i żuki. Niech wiewiórki przesuwają po mnie kity, a myszy rysują pazurkami. Czarek musiał podać mi dłoń i podciągnąć mnie do góry. Inaczej chybabym nie wstała.

Od tej nocy tworzyliśmy duet. Najmocniej połączyło nas to, że miłość była dla nas zaćmieniem mózgu, zawalidrogą i zbyt szybkim końcem. Oddawaliśmy cześć pożądaniu. Kiedy pół żartem, pół serio pytałam go, w co mam się ubrać na naszą randkę, odpowiadał bez wahania i bez certolena:

– W coś łatwego do ściągnięcia.

Okazało się, że przed pechową narzeczoną ten „romantyk” prowadził bujne życie erotyczne, wręcz bujniejsze niż ja. Zaciekawiała mnie ta jego dwoistość. Nie dziwiłam się, że od lat kobiety za nim szaleją, ale nie posądzałam go o wyrachowanie. Tymczasem wyszło szydło z worka – nie czuł oporów nawet przed seksem z mężatkami. Inna sprawa, że za bardzo się nie opierały.

– Nie miałeś wrażenia, że ktoś cierpi na tych przygodach?

– Miałem to gdzieś. One obciążały swoje sumienie, nie moje! – prychnął.

– Dobra. Ale byłeś elementem ich kłamstwa, bo o nim wiedziałeś.

– No i? – zapytał zadziornie.

- No i twoje sumienie nie było obciążone?
- Nie było. Ja w takich sprawach naprawdę jestem wredny – upierał się.
- Gdybym ja miała ochotę, nie odmówiłabym sobie seksu z żonatym. Ale potem by mnie to gryzło. Ciebie nie gryzło ani trochę? – Wciąż nie dowierzałam.
- Wcale a wcale.
- Jesteś stuprocentowym draniem. Ale masz więcej niż szczęście. Bo jesteś bardzo atrakcyjnym i bardzo przebojowym draniem – podsumowałam.

Zazdrościłam mu. Ileż dzięki temu miał doznań, bez żadnych skrupułów! Zresztą czasami czułam się tak, jakbym ja była zameżna albo on żonaty, a żadne z nas nie zamierzało się rozwieść. Nie ma więc mowy, żeby być razem, ale jest mowa o chodzeniu ze sobą do łóżka. Uzgodniliśmy jednak, że skoro robimy to regularnie, nie chodzimy z nikim na boki.

Łudziłam się, że przywiążę drania do siebie i przynajmniej trochę go oddranię.

Czarek miał być moim łupem, a sama stawałam się oddana jemu. Kiedy długo się nie widzieliśmy, z nerwów gryzłam palce. One aż rwały się do tego, żeby kochanek brał je, przesuwając nimi po swoim ciele i mówił, że mam dłonie lalki. Rzeczywiście, zamieniłam się w lalkę. Stałam na półce i czekałam, aż lalkarz sięgnie i poruszy mną, przegoni ze mnie napięcie. Oddawałam mu się, raz krzykiem, raz szeptem, ale zawsze tak samo wdzięczna za to, że jest moim ratunkiem.

Później on zwykle zapalał papierosa. Nawet w zwyczajnych gestach ujawniał pewność siebie i wspaniałą cielesność. One tak mnie podniecały, że prawie doprowadzały do obłędu. Zamieszkałam w jego posągowej urodzie; jaki to był piękny dom! Zbudowały go siłownia, na której kochanek ostro ćwiczył dzień w dzień, i dieta, od której nie wyobrażał sobie odstępstw. Jeśli proponowałam spotkanie w porze ćwiczeń, nie dochodziło do niego. Nie było mowy również o tym, żeby Czarek przesunął porę zbilansowanych w każdym posiłku. Dotąd wydawało mi się, że jestem obłąkana na punkcie wyglądu, ale nie, przy nim wymiękałam. Jednak dostosowywałam się do jego trybu życia i płaciłam własne raty za piękny dom.

Mój mężczyzna w pełni prezentował efekty pracy nad kondycją, biegając z karabinem i granatami. Brał udział w historycznych rekonstrukcjach bitew. W jakich armiach on nie był! W ilu mundurach się nie przeczołgał! Ilu potyczek nie wygrał! Ilu morowych panien nie przeleciał? Z niego był samiec alfa pełną gębą, a za mundurem samice sznurem. „Troskliwe” sanitariuszki zagadywały go, czy ze względu na bardzo wysoki wzrost nie ma problemów z kupowaniem kostiumów. A on na to jak na lato.

- Wybuchnąłem śmiechem, bo myślałem, że zapytają o coś bardziej osobistego. Tak to brzmiało, Magda. Żałuj, że nie słyszałaś!

Był bardzo dumny z rozmiaru swojego penisa i z tego, ile może nim zwojować. Co podkreślał przy każdej możliwej okazji, jakbym sama nie miała o tym pojęcia. I w ogóle nie żałowałam tego, że nie słyszałam pytań pańienek w fartuchach, na jakikolwiek temat. Wystarczało, że oglądałam je potem na zdjęciach. Wisiały na nim, rozanielone. Nie zwracały uwagi, czy mój superman jest akurat mocno przykurzony, czy uwalany ziemią. Ba, wisiały zwłaszcza wtedy!

– Jak było? – pytałam go, żeby wy badać, czy nie przeleciał żadnej cwaniary. Kto tam wie mimo umowy? – Dużo chwały zebrałeś?

– Ani odrobiny! Zebrałem samą patologię, bo cały dzień lało.

– Nie mogliście walczyć na parasolki? – kpiłam.

– Woleliśmy pić.

– Wiesz co? Zaczynam myśleć, że każda rekonstrukcja sprowadza się do picia...

– No, ale kiedy tak jest, ja się tego nie wstydzę.

Dzięki podobnym wypadom jego dieta wnet stała się nieważna. Ja też nie stroniłam od alkoholu, ale w porównaniu z nim piłam ilości w sam raz dla dzióbka kanarka. Nie podobało mi się także upodobanie Czarka do potyczek, w których jest tyle przemocy. Co z tego, że podlewanej sztuczną krwią? Dla mnie on i jemu podobni nie odgrywali wydarzeń historycznych, a agresję. Z wojennej trwogi zrobili spektakl, który dostarczał im rozrywki. Nie wyrosli z zabawy ołowianymi żołnierzami, lecz przeciągnęli ją w dorosłość, zamienili w bardziej rzeczywistą i brutalną. A następnie musieli ją oblać, bo bez tego się nie liczyła.

Nic nie mówiłam Czarkowi o swoich ponurych wnioskach. Czy miałam prawo go krytykować, jeżeli sama byłam agresywna? To znaczy autoagresywna. Dobra, przesadzam, bo poprawiłam się. Studia podyplomowe potraktowałam jako nowy etap – postanowiłam skończyć z kupowaniem spokoju za własną krew i odstawić żyletkę. Prawdę mówiąc, ona już nie dawała mi tego, co dawniej. Nasze ostre spotkania traktowałam zbyt obojętnie. Przyzwyczyłam się do pewnego rodzaju cierpienia, a nie zamierzałam go powiększać. Nie chciałam igrać ze śmiercią tuż nad przepaścią. Wolałam żyć.

Porzucona kochanka nie odpuszczała i upominała się o należną jej daninę. Odmawiając jej, sama skręcałam się z głodu. Mój ojciec nie potrafił pozbyć się swojego nałogu, ale ja będę umiała, przekonywałam samą siebie w najtrudniejszych do zniesienia momentach. Przecież robiłam przerwy w cięciu. Zdarzały mi się całkiem długie.

Nie tylko w taki sposób próbowałam przechytrzyć kochankę. Podczas szukania w bibliotece materiałów do magisterki przy okazji odwiedzałam dział psychologiczny. Wertowałam strona po stronie teksty o samookaleczaniu. Dowiedziałam się z nich na przykład, że sama nakręcam spiralę bolesnych przeżyć, jeśli ból wyrządzany mi przez innych później wymierzam w siebie. Zastanawiałam

się, czy nie wybrać się na psychoterapię, ale zrezygnowałam. Żaden babsztyl, przekonany, że pozjadał wszystkie rozumy, żadna psychoekspertka rodem z *Pytania na śniadanie*, mnie nie zrozumie. Odhaczy jedynie moje cechy. Wsadzi w szablon diagnozy. A następnie postara się przyciąć moją rozwijającą się indywidualność do stereotypu tak zwanego zdrowia psychicznego. On bierze każdego członka społeczeństwa w cugle i sprawia, że system przyjętych zachowań pozostanie nietykalny. Ciekawe, kto je przyjmował? Bo na pewno nie ja. Przede wszystkim trzeba w tym systemie jako tako funkcjonować i broń Boże nie próbować go burzyć, nawet niepozorną sobą. Byłam przekonana, że psycholodzy są manipulatorami nie z tej ziemi (patrz: mój były). Na co mi ichnia kontrola?

Pozwoliłam się jednak nieco zmanipulować, uwierzyłam bowiem w wyczytaną poradę, że osobom okaleczającym się pomagają z tego wyjść zastępcze gesty. Na próbę kupiłam czerwone pisaki. Kiedy pragnęłam, żeby moją skórę przecięły drogi, wytyczałam je nimi. Także tam, gdzie nie cięłam się nigdy, co było nowe, a więc wciągające. Kreśliłam całe czerwone mapy, bardzo gęste. Zaczęłam również produkcję papierowego łańcucha. Każde nowe oczko oznaczało dzień bez cięcia. Początkowo łańcuch dawał mi sporo uciechy.

Jednak w głębi siebie tęskniłam za systemem kar, starannie wypracowanym przez lata.

Na randki z wojakiem wkładałam czarne kryjące pończochy. Raz gdzieś zapodział mi się pas do nich. Kupiłam wtedy samonośne i to był błąd – podczas naszych wyczynów zsunęły mi się z ud, do tego w świetle dnia. Szczęście w nieszczęściu, że nie miałam nowych sznytów, same ślady.

Czarek chciał o nich pogadać, ale wymigałam się złymi wspomnieniami. Nie rwałam się do zdrapywania starych strupów, spod których wylezie ropiejąca prawda o mnie. Przekonywałam go, że pewnych duchów lepiej nie wywoływać, żeby nadal wszystko było ze mną w porządku. Zmarszczył czoło i odburknął, że tylko psychopaci nie opierają się na innych. Rzuciłam, że zrozumie, jeśli nie będzie dalej ze mną się zadawał. O dziwo, wtedy odpuścił. A ja? Wpadłam na to, żeby przerzucić na niego brudną robotę z gnębieniem mnie i z wyzwaniem zarazem. Dlatego pomysł podekscytował mnie podwójnie. Nie wątpiłam, że mojemu wojakowi on też się spodoba.

Na następnej randce wysunęłam z jego spodni skórzany gruby pasek i podałam mu go. Nie spisaliśmy umowy z podpunktami, rodem ze śliskiego romansu. Nie urządziliśmy panelu dyskusyjnego pod tytułem „Jak to na nas wpłynie?”. Powiedziałam, że szczęśliwi nie są ci, którzy stoją nad brzegiem i dumają, czy zanurzyć stopę w wodzie. Szczęśliwi to ci, którzy od razu wchodzą w nurt sytuacji.

Nie musiałam powtarzać dwa razy. A on po prostu przerzucił mnie przez zagłówek kanapy. Ze ściąganiem ciuchów też się nie cackał.

Serce wyrywało się z mojej piersi, kiedy czekałam na jego pierwszy ruch. Okazał się na tyle zdumiewający, że gdybym stała, grzmotnięcie ścięłoby mnie z nóg. Wymierzał mi następne, a ja ponownie stawałam się zwierzęciem. I tym razem zwijałam się z bólu mocniejszego niż jakiegokolwiek cięcie. Sama bym go sobie nie sprawiła, nigdy! Tak często cierpiałam w milczeniu, lecz teraz wrzeszczałam głosem opętanej, która poddawana jest egzorcyzmom.

– Krzycz! Krzycz, ile chcesz! – podkręcał mnie i siebie.

Chlast!, sieknął, aż podskoczyłam. Podrzuciłam pośladkami i wydarłam się na całe gardło.

– Głośniej!

Chlast!

Rzuciłam się do przodu, instynktownie. Mój krzyk szedł przez całe ciało, od ust do serca, od serca do brzucha.

– Nie wierć się!

Chlast!

Zatrzęsłam się. Wgryzłam się w pięść, żeby wytrzymać i opanować łzy, które cisnęły się do oczu.

Razy od Czarka stały się pewne i wyważone. A może były takie od początku? Kto go tam wie, ile suk wytresował do tej pory? Moje serce wciąż było mocno. Równie mocno. Skóra nie piekła mnie, ona płonęła. Pięść miałam całą poznaczoną zębami. Puściłam ją, dopiero gdy między udami poczułam metalową kłamrę paska. Jakież to był nagły, przyjemny chłód! Podrygiwałam, przesuwając się po jej krawędzi.

Kochanek rzucił pasek i odwrócił mnie. Ze strachem i z błaganiem: „Ocal mnie”, popatrzyłam wielkimi oczami w dzikie oczy. Wojak z mojego oprawcy stał się jedyną moją nadzieją. Znajdowałam się w jego mocy, zależna wyłącznie od niego. Rozsunął rozporek i położył się na mnie, a ja wiłam się i gięłam pod nim niczym schwytny wąż. Mocno oplatałam rękami jego szyję, prawie go podduszałam. Najpierw poskręcana, potem się rozprężyłam.

Dawno nie przeżyłam takiego wstrząsu i oczyszczenia.

W łazienkowym lustrze oglądałam tył posiniaczonego ciała. Ślady na tyłku i części pleców były całkiem rozległe, malownicze. W szerokiej palecie odcieni, od wypłowiałych żółci po śliwkowe fiolety. Niezłe pamiątki!

Ulga zniknęła o wiele szybciej niż one.

Kiedy znów i znów próbowałam z Czarkiem tego samego, moja skóra owszem, stawała się gorąca, coraz gorętsza. Natomiast ja w środku pozostawałam zimna. Zupełnie, jakbym nie była główną bohaterką sadystycznego spektaklu, a najbardziej obojętnym widzem, który zna jego przebieg na pamięć. Mocne emocje nie chciały się powielać. Miałam dość tego, że wciąż potrzebuję nowości. Bałam się, że skończy się i ta potrzeba, a ja pozostanę z niczym.

Wtedy wojak rzucił tak zdumiewającą nowość, że omotał mnie nią i zamotał mi wszystko. Snuł marzenia, że razem uciekniemy z tego miasta, od tych wspomnień. Kobieta po przejściach i mężczyzna z przeszłością wyprują je z siebie, prując w Bieszczady. Słowa buch, koła w ruch! – i już opowieść kochanka wiozła mnie w pociągu.

– W podróży zdążymy się napić, wytrzeźwieć i jeszcze raz napić. Będziemy obrażać moralność i uczucia religijne. – Przyciągnął mnie do siebie.

– Na miejscu nauczymy się pędzić bimber. Co ty na to?

– Wchodzę w to!

– Ja będę naklejać etykiety i wiązać kokardki na butelkach. Po pracy będziemy snuć się po wichrowych wzgórzach. Bez ograniczeń.

– Wolność i swoboda – przytaknął. – No i potańcówki w remizie. Kupię ci złote pantofelki.

Podczas układania tych żartobliwych planów cieszyłam się na poważnie, że wchodzimy w nowy etap znajomości.

Po powrocie do siebie zabrnęłam w fantazje równie daleko, co w dzieciństwie. Albo i dalej. Nuciłam pod nosem: „Tyle dziewcząt innych znał, a wybrał właśnie mnie i potem tylko na mnie patrzył”^{5]}. Tańczyłam przy tym na palcach. Wyobrażałam sobie, że wiruję z moim księciem, cała w tiulach i w tych złotych pantofelkach. W rzeczywistości Czarek nigdy jeszcze ze mną nie zatańczył, ale w mojej wyobraźni prowadził nas tak pewnie, jakbyśmy przetańczyli ze sobą niejedną noc.

Bal nigdy się nie kończył, a po Kopciuszku nie pozostawało ani jedno wspomnienie. Oto ostateczny dowód na to, jaką galaretę zrobiłam sobie z mózgu! Po jednej rozmowie!

Uroiłam sobie takie nie wiadomo co, że do łez doprowadziło mnie zachowanie księcia na następnym spotkaniu. Najpierw chciałam z nim pogadać. Nie chodziło mi o żadne uczuciowe wynurzenia – wstydziłam się z tym ujawnić – miałam problem z przypisami do mojej pracy magisterskiej. Temat arcyciekawy, jakże do mnie pasujący: motyw Lolity. Nie wiem, czy nimfetki z portretów domagały się oglądania ponętnych póz w rzeczywistości, czy dopiero te prawdziwe nimfetki obudziły we mnie pomysł opisanie ich wizerunków. Tak czy inaczej, od Czarka oczekiwałam naukowej pomocy. Szybko i fachowo udzielonej, bo potrzebnej mi na jutrzejsze seminarium.

Machnął ręką i powiedział, że wie, o co chodzi, ale wytłumaczy mi wszystko później. Teraz mamy ciekawsze rzeczy na głowie.

To raczej on miał w niej wyłącznie jedno.

Wyminęłam go, odwróciłam się do okna i oparłam o parapet. Z drugiej strony bębnił o niego deszcz. Światło żyrandoli w bloku naprzeciwko przebijało się zza gęsto marszczonych zasłon. Przyszło mi do głowy, że ich kolor jest nietrwały,

skoro zabarwia się od światła lub od nocy. Czarek podszedł tak cicho, że wzdrygnęłam się, gdy przysunął się do mnie. Nasze odbicie w szybie rozmazywało się, wiatr wiał przesywająco. Kochanek przylgnął do mnie całym ciałem, jakby chciał mnie ochronić. Nie odepchnęłam go. Robił swoje, a ja patrzyłam na krople, które osuwały się w dół szyby i zamieniały w strugi. Gdyby podobne szramy przecięły moją sylwetkę od stóp do głowy, rozpadłabym się. Szyba jednak trwała, nieruchoma. Ja za nią, powtórnie podobna lalce, takiej z dziurką. Czarek przyciskał mnie coraz bliżej okna, przeciskając się do mojej głębi. Szyba wnet zaparowała od naszych oddechów.

– Niewygodnie mi. Stań inaczej. No, do cholery!

Dopiero przekleństwo wyrwało mnie ze stuporu. Nie powiedziałam: „Zostaw, już nie chcę”, a poprawiłam się i oddawałam mu się nadal. Po wszystkim podniosłam z podłogi butelkę.

Piłam, nie patrząc na niego.

– Wszystko okej? – zapytał. – Coś się stało?

– Nie. Nic się nie stało, daj mi chwilę – uspokajałam.

A stało się wszystko. Podałam się mu, by zemścić się na sobie za złudzenia, ale nie poczułam ulgi. Właściwie nigdy nie miałam dla niego duszy. Och, indywidualistka się znalazła! Chciałaby taka siedzieć w pociągu (kierunek: Bieszczady), na specjalnym miejscu. W wagonie pierwszej klasy, razem z lejdis, które dla wojaka są czymś więcej niż tylko dupami. Zwodziłam siebie, że z czasem do nich dołączę, a on zacznie traktować mnie inaczej. Lepiej. Co innego przygoda, a co innego dłuższa relacja. Lecz od początku ten babiarz i bajarz zapewne mnie wkręcał. Chciał wzruszyć wyssanymi z palca historyjkami, żeby mnie wydrażyć, nie tylko palcem. Dałam się nabrać i co? Jednak przykro? Zaczęłam się cenić?

Mieściło się we mnie około stu łyżeczek smutku. Gdybym odkręciła głowę jak nakrętkę, tyle bym wlała do środka. Zmięte chusteczki przypominały kwiaty. Wojak nigdy nie dał mi kwiatów, a teraz miałam w zamian całe bukiety. Każdy kolejny dzień życia był kolejnym dniem wycia. Przestałam czuć się przebojowa. Przecież faceci instynktownie wiedzą, która łatwo im się podda i odda. A oni nie będą musieli jej ofiarowywać zbyt wiele, wystarczy sam tani bajer.

Odezwały się we mnie nieprzebrane ilości bólu. Starego, nowego, różnie. Piszę, że „nieprzebrane”, bo nie segregowałam ich. Opadła czarna kurtyna. Pod jej naporem osunęłam się nisko. Z żabiej perspektywy nie widziałam nic dobrego. Re-re, kum-kum, re-re, kum-kum.

Po tygodniu księżę raczył się odezwać do księżniczki, która zamieniła się w żabę.

– Wiesz, że widziałem twojego sobowtóra? – zagadnął.

– Nie mam sobowtóra – zaprzeczyłam tonem mieszkanki warowni na szklanej górze.

– A właśnie, że masz! Chude nogi, futerko, ciemne włosy. Już miałem podejść i uściskać – roześmiał się czarująco.

Nie okazałam, że góra zaczęła topnieć. Jeszcze czego!

– Może wiesz, jak się nazywa? To znajdę ją i porównam.

– Nie, nie wiem. Jak się zorientowałem, że to nie ty, nie podchodziłem. Masz czas dzisiaj? – Przeszedł do sedna.

Nie zbyłam go, ponieważ się wzruszyłam. Tym, że zobaczył mnie w obcej kobiecie. Tęsknił! On tęsknił! Za mną!

Dalej się spotykaliśmy, nieregularnie, ale jednak. Miałam bowiem do wojaka słabość, przez którą nie potrafiłam wyrzec się jego siły.

ROZDZIAŁ II

Morskie opowieści

Kiedy zobaczyłyśmy się, same po raz pierwszy od naszych występów w Domu, lolitka zaczęła się motać i miotać. Kajała się, że jej zachowanie było nie na miejscu. Miała nadzieję, że nie zraziłam się do niej. Uspokajałam, żeby się nie przejmowała, bo i ja pozwoliłam sobie na zbyt wiele. Lecz ona ciągnęła swoją śpiewkę. Podczas międlenia tematu w końcu pocałowałam ją, żeby zdjąć winę z jej warg i przerzucić na moje. Pomogło. Znow zachowywałyśmy się swobodniej, a ja odzyskiwałam moc. Wszystko chciałyśmy sobie powiedzieć naraz: to znasz, to widziałas, tego słuchałas?

Miałam prawo się zauroczyć i zamroczyć, ale musiałam pilnować, żeby nikt mnie na tym nie przyłapał. Na lekcjach z III c stałam się jeszcze bardziej oschła. Rzadziej zwracałam się do nowej. Absolutnie nie dawałam po sobie poznać, co mnie łączy i z kim.

Na nasze spotkania po szkole specjalnie dla nimfetki rozpuszczałam włosy. Coraz częściej spacerowałam z nią po Pietrynie z duszą na ramieniu. Nie miałam oczu dookoła głowy, a przydałyby mi się. Ryzykowałyśmy, że ktoś ze szkoły zauważy nas jeden raz, drugi, aż zacznie pytać, czemu tak się prowadzamy? Rozgadane, rozchichotane i pod ramię?

Dobrze, że obie lubiłyśmy i wymuskane widoczki, i te mniej oczywiste. Jakby z pocztówki zalanej herbatą, zarysowanej, przedartej. Przerzuciłyśmy się zatem na oglądanie takich pocztówek. Robiłyśmy pikniki przy wieży ciśnień w okolicach Dworca Kaliskiego. Ona nawet w szkiełku z potłuczonej butelki potrafiła dojrzeć diament.

Na uczelni brakowało mi pozytywnych bodźców. Praktyki praktykami – w miarę przywykłam do ich reguł i, powiedzmy, specyfiki. Za to pisanie pracy magisterskiej z przyjemności zmieniło się w horror. Pal licho skomplikowane przypisy! Gorzej, że uroiłam sobie, że moja magisterka będzie z każdej strony, na każdej stronie – ba!, w każdym słowie – znakomita. Miała oddać wszystko, co zbadalam i pragnęłam wyrazić o omawianych obrazach. Miała rozkładać dwuznaczną siłę ich wyrazu na czynniki pierwsze. Ale udoskonalając napisane zdania, nie posuwałam się w pisaniu tekstu. Bałam się, że nie zdążę obronić się przed wakacjami, a bez tego nie miałam nawet cienia szansy na obiecany etat w szkole. Inną możliwością były studia doktoranckie, na które usilnie namawiał mnie promotor. Z tym że wydawało mi się, że to zbyt wysokie progi na moje roztańczone nogi.

Mijał tydzień za tygodniem, a każdy z nich zbliżał mnie do końca studiów i

pewnego trybu życia. Ciągłego, znanego, bezpiecznego. Przesuwał w stronę niewiadomych. Nie umiałam z nikim porozmawiać o strachu. Czarek był zbyt zadufany w sobie, żeby zrozumieć podobne rozterki. A nowa? Taka młodziutka?

Swoją drogą, sama jej obecność rozpraszała moje zmartwienia przynajmniej na pewien czas. Wraz z nią powróciła do mnie cała miłość, którą dałam innym. Pod postacią lolitki malowała mi obrazy, pisała listy, piekła chrupiące ciastka z posypką z niebieskich migdałów. Moje piersi stały się nabrzmiące, jakby napełnione mlekiem. Po to, żebym wykarmiła nim kociaka, który nie przestawał się o mnie ocierać.

Wykorzystywałam mój wpływ do całkiem szczytnych celów. Namawiałam nimfetkę, żeby spróbowała dostać się do liceum plastycznego. Podarowałam jej nowy gruby szkicownik i powtarzałam: „Ćwicz, ćwicz, ćwicz”. *Voilà!* Zaczęła chodzić na kurs przygotowujący do egzaminów do plastyka!

Z własnej inicjatywy przeprowadzała również porządki w sobie. Postanowiła rzucić palenie, co skończyło się na wyrzucaniu wypalonych papierosów. Cóż, dobrze chociaż, że paliła ich mniej. Zapisła się na zajęcia fitness, na których hulala na trampolinie. Była energiczna, gdy ją poznałam, ale teraz rozpierała ją nowa, inna energia. Podcięła u fryzjerki włosy na uroczego pazia, zafarbowała na jeszcze mocniejszą ultramarynę. Nazwałam ją wtedy „niebieskowłosą paziówną”; śmiała się z tego, ale serdecznie. Nie mogłam się na nią napatrzeć, kiedy zbliżała się do mnie sprężystym krokiem, omotana w nowe poncho. Wiatr rozwiewał jej włosy, a ona szczupłymi palcami odgarniała cisnące się do oczu pasemka. Spod nogawek krótkich spodenek wystawały koronkowe wykończenia pończoch. No, no, no...

W nowych pracach w tajnej teczce pojawiły się nie tylko uściski kobiecych rąk, lecz także kobiece sylwetki splecione w miłosnych uściskach. Najładniejsza była akwarela, na której jedna kochanka stała za drugą, czule składając dłonie na piersiach ukochanej. Wspierała brodę na jej ramieniu w taki sposób, że linią twarzy idealnie wpasowała się w linię szyi tamtej. Trwały tak, miękko wtulone w siebie, uśmiechnięte samymi kącikami ust, kruche i nierozłączne. Jeśli wyplątałyby się ze swoich ramion, byłyby jak rośliny wyrwane z ziemi. Powoli zwiędłyby i uleciałyby z nich życie.

Życzyłam lolitce, aby stała się artystką, która odda to, co tkwi w kobietach kochających kobiety. Rozkoszowałam się tym, że przenosi uczucia do mnie na sztukę. Mimo to nie dawałam się namówić na wolne chaty i inne takie.

W tym czasie ona coraz częściej zastanawiała się, czy ujawnić rodzicom swoją orientację.

– Nie chcę żyć w ukryciu. Czemu mam się wstydzić tego, kim jestem? – argumentowała.

– Lepiej dobrze sobie przemyśl tę decyzję. Wybadaj teren. Rzuć uwagę o

biseksualistkach albo o lesbijkach. Na razie niczego nie mów wprost.

Chyba ją uspokoiła ta porada. Za to małolata zaczęła mnie wypytywać, w jaki sposób odkryłam, że jestem bi. Czy powiedziałam o tym swoim rodzicom? Nie chciałam dzielić się z nią moją historią, a już na pewno nie teraz, ponieważ w mojej głowie pasły się podrywające ją gąski. Całkiem niemałe stadko, o czym za chwilę. Rzuciłam tylko, że do kobiet ciągnęło mnie od dziecka, a orientacja wyklarowała mi się na studiach. Dodałam, że moi rodzice są zbyt konserwatywni, żebym mogła mówić im o takich sprawach.

Niezła była ze mnie dyplomatka. Nadawałabym się do objęcia własnej placówki.

Nie umiałam zaufać paźównie do końca po tym, gdy odkryłam jej drugie, internetowe życie. O ile w szkole kreowała się na outsiderkę, o tyle na fejsbukach, instagramach i innych snapchatach nadrabiała. Moja buntowniczką lansowała się artystycznym buntem i odpowiednim do niego wizerunkiem, bez dwóch zdań. Konsekwentnie i kusząco. Dzień po dniu, zdjęcie po zdjęciu, post po poście. Napawała się nieskończonymi wyrazami uwielbienia, które spływały w komentarzach. Ciekawe, w jakim tempie nimfetka poszybowałaby ode mnie do gąski, która pisała je najczęściej? Co, jeżeli w rzeczywistości jestem dla lolitki przejściową zachcianką? Wiadomo, jakie one są. Żyją od kaprysu do kaprysu.

Nie było mowy, żebym się zwierzyła niebieskowłosej z moich obaw i potwierdziła je bądź obaliła. Trochę odsunęłam się od niej, co zwałam na uczelniane sprawy. I... błyskawicznie zatęskniłam. Miałam zagwozdkę, co właściwie mi da ponowne zamknięcie się przed nią, dlatego mimo wszystko postanowiłam uchylić drzwi. Po naszej krótkiej przerwie zaprosiłam ją do siebie, do akademika.

Przygotowałam wizytę na tip-top. Ja, dawniej kucharka od siedmiu boleści, pichciłam spaghetti z krewetkami. Nie żałowałam białego wina do sosu. Dolewałam je i odmawiałam zdrowaśki, żeby obiad się udał, bo ona lubiła owoce morza tak samo jak ja. Pod talerz dla niej wsunęłam liścik.

Po zachwytach nad moim talentem kulinarnym (z trudem opanowałam się, żeby nie parsknąć śmiechem) odczytała list na głos.

– Czas spędzony z Tobą przypomina mi Twoją bransoletkę, tę uplecioną z muliny. Po naszym pożegnaniu odplątuje ją, aż otrzymuję pojedyncze pasemka. Rozkładałam je obok siebie: spojrzenia, słowa, gesty, kroki. Delikatnie biorę jedno po drugim i sprawdzam, czy z każdej strony wyglądają identycznie, czy jaśnieją albo ciemnieją. Zbieram włóczki i kręcę nimi, coraz szybciej i szybciej, by wspomnienia ożyły. Kiedy wirują, gubią jednak ostrość, barwy, kilka wypada mi z ręki. Przestaję i podnoszę te, które upadły. Na nowo nizam na mulinę zapamiętane doznania. Przekładam jedną nitkę nad drugą, starannie wiążę supelki, dociskam. Niektóre zamieniają się w złączenie naszych ust lub palców. Kiedy na powrót stają

się nierozzerwalną plecionką, nie wiem już, co było rzeczywistością, a co skojarzeniem z nią. Ważne, że bransoletka znów się trzyma i daje się założyć na rękę.

Nowa była wniebowzięta tymi słowami. Wniebowzięcie w pełni jej się należało. Za wszystko, co robiła dla mnie. Dla nas.

Nie umiała długo beczynnie usiedzieć w jednym miejscu. Sięgnęła do plecaka po blok i uparła się, że będzie robić szkice do mojego nowego portretu.

– Nie, rysuj mnie z pamięci – zaprotestowałam. – Poznaj jeszcze jeden szczegół – dodałam i bez skrzepowania pozbyłam się bluzki.

Lolita, zachwycona ważką, przesuwiała dłońmi po ażurowych skrzydłach. Muskała je wszystkimi palcami. Spod nich promieniowało znajome ciepło. Poruszające się po moich plecach ręce stapiały się ze skrzydłami. Zamieniały się w nie.

– Też chcę mieć tatuaż – stwierdziła.

– Dlaczego?

– Bo może zastąpi mi okaleczanie się.

Przez kręgosłup przeleciał mi dreszcz, jakby nagle jej dłonie stały się lodowate. Odsunęłam się. Co innego podejrzewać, a co innego zyskać pewność. Narzuciłam bluzkę, odwróciłam się.

– Nie chcę tego robić – ciągnęła. – Ale głos w głowie... On wie swoje.

– Możesz go już teraz nie słuchać. Tatuaż to tylko symbol – przekonywałam.

Nie trafiało do mnie to przerzucanie winy na głos. Jako świeżo nawrócona z tym większym zapalem namawiałam nimfetkę na konwersję.

– Miałam o tym na wykładach z psychologii, wiesz? – blefowałam. – Za każdym razem, gdy bierzesz żyletkę, wzmacniasz głos. A gdy jej nie bierzesz, odbierasz mu siłę – mówiłam z zaangażowaniem.

Nie mogłam znieść myśli, że ona naprawdę się tnie. Mimo to – a może dlatego – że robiłam identycznie przez szmat czasu. Ale paziówna? Taka barwna? Na ile ona wciągnie się w okaleczanie? Kiedy straci inne kolory na rzecz samej czerwieni? O nie, ja jej na to nie pozwolę!

Obrazowo przedstawiłam młodej teorię i praktykę, jak ma zastąpić jeden gest innym. Pokiwała głową. Głęboko popatrzyła mi w oczy, aż poraził mnie osobliwy blask. Obiecała, że będzie pamiętać o wskazówkach, jeśli głos odezwie się ponownie.

Dobre i tyle.

Ostrzegłam ją jeszcze, że na początku będzie jej cholernie trudno. Nie przyznałam się, że sama wciąż tęsknię za żyletką, tą nieodżałowaną kochanką. A rozmowa dodatkowo zmotywowała mnie, żebym nie prowokowała naszego powrotu do siebie.

* * *

Tuż przed majowym weekendem znalazłam w torbie nowy list, oczywiście doręczony przez moją gołąbeczkę; tym razem obok inicjałów odbiorcy wymalowała konika morskiego. Przeczynałam, że coś się święci, bo od tygodnia podpytywała mnie o plany na wolne dni. Jej propozycja okazała się propozycją nie do odrzucenia. Dołączyła do niej bilety.

Postawiłam oczy w słupek i chwyciłam za telefon.

– Gdańsk? Naprawdę? Jak na to wpadłaś?

– Moja ciocia tam mieszka. Zgodziła się, żebym przyjechała z przyjaciółką.

Cieszysz się?

Czy się cieszyłam? Oczywiście, że tak! Otworzyłam usta, ale nie potrafiłam wydobyć z nich ani słowa.

– Nikt jeszcze nie zrobił mi takiej niespodzianki – powiedziałam w końcu.

Nie cudne, a okrutne były manowce, na które chciał zabrać mnie Czarek, lecz zbladły przy czekającej mnie najprawdziwszej podróży. Chociaż miałyśmy spędzić razem zaledwie trzy dni, poszłam na zakupy, które w porównaniu z innymi były potrójne. Nie chciałam zabierać ze sobą kompletu czarnych mundurków. Miałam ochotę stać się zwiewną, kwietną, rozkwitającą. Dla paziówny, rzecz jasna.

Na sklepowym polowaniu nie mogłam się zdecydować, czy celować w bluzki i spódnice z wzorami roślin, owadów, ptaków czy może w mieszane? Weszłam do przymierzalni z całym naręczem ciuchów, pod którym się uginałam, ale w każdym z tych ubrań czułam się niezręcznie i żałośnie. Odwiesiłam wszystkie z powrotem. Nie umiałam być papuzką, jak lolitka, pozostałam więc sobą, krukami. Chociaż wcale nie zdechłam. Z Manufaktury wyszłam z torbą, w której niosłam czarne podkoszulki, czarne spodenki, czarną sukienkę w białe paski, czarne trampki i czarne sandały. Najbardziej zadowolona byłam z prezentu dla nimfetki, kolczyków perełek.

W marynarską kieckę odstroiliłam się już na podróż.

Nie dość że pociąg miał spore opóźnienie, to jeszcze w żółwym tempie włókł się po opłotkach. Siedziałyśmy tak ściśnięte, że nie dało się odetchnąć. Prowadziłyśmy niezbyt głośną rozmowę, bo cały przedział nastawił radary uszu, a my nie chciałyśmy dostarczać mu rozrywki. Zajęłyśmy się słuchaniem muzyki. Lolitka uśmiechała się lekko, kiedy do ucha płynęły jej ulubione mrużanki. Ukołysana nimi przysnęła.

A ja przerzuciłam uwagę na inną nimfetkę.

Siedziała odwrócona do okna, przy stoliku, na którym położyła książkę. Część włosów spięta klamrą; długie pojedyncze pasma opadały na jej smukłe plecy. Układały się niczym struny na pięknie zwężających się skrzypcach. Patrzyłam na delikatne dłonie, naznaczone wystającymi żyłkami, przerzucające kartki powieści.

Niebieskowłosa ocknęła się przy sprawdzaniu biletów, gdy konduktor

poprosił o legitymację szkolną, której nie znalazła ani w kieszeniach kurtki, ani spodenek. Nie było jej też w żadnym zakamarku plecaka i pośród karteluszek, paragonów czy innych świstków z portfela. Bez słowa sprzeciwu zapłaciła karę, bo liczyła na przyływ gotówki od ciotki. Najważniejsze było, żeby do niej dojechać i chłonać, chłonać, chłonać!

Miałyśmy przesiadkę w Bydgoszczy, a w Gdańsku ciotka odebrała nas z dworca późnym popołudniem.

Mieszkanie korpulentnej pani około sześćdziesiątki, niedawno owdowiałej, stanowiło hołd złożony boazerii oraz rzeźbionym meblóściankom, a także obrusom i obrusikom, serwetkom i serweteczkom, kryształom i różom z plastikowymi kolcami. Te ostatnie stały wszędzie, gdzie dało się je ustawić w tym skansenie PRL-u. Dostałyśmy z lolitką do dyspozycji własny pokój, też w drewnie i z wątpliwymi dekoracjami, z regałami wypełnionymi tomami pozółkłych encyklopedii, z całymi światami do zgłębiania. Zasłony uszyto z mięsistego, poprzecieranego w paru miejscach aksamitu, przypominającego futro zdarte ze zdezelowanego pluszaka. Nad naszym łóżkiem wisiała smętna Maryjka. Tak, miałyśmy spać w jednym, bo: „Jest duże, a ja nie będę ścielić wam dwóch. Po co? Chudzinki jesteście, to się pomieścicie”. Takiej gospodarności oczywiście przyklasnęłyśmy.

Przy kolacji, nad talerzem pysznych pierogów rozwodziłam się nad tym, że bardzo boję się matury z matematyki, choć piszę ją dopiero za rok. Nimfetka chichotała, zamiast mi współczuć i tworzyć ze mną pozory. Chciałyśmy pozbierać ze stołu talerze, lecz ciotka wyrwała nam je z rąk. Nie zgodziła się też na zrobienie zakupów; przed naszym przyjazdem zapełniła całą lodówkę. Okazała się typową kwoką, której dorosłe dzieci opuściły kurnik, a dostała nas na krótkie zastępstwo. Tak zachłannie zagarnęła nowe kurczęta pod swoje skrzydła, że grzechem byłoby spod nich uciekać. Ucieczką sprawiłybyśmy jej przykrość.

Nasza pierwsza wspólna noc nie była grzeszna, a grzeczna. Nie z obawy przed cienkimi ścianami ani ze względu na wystrój i nastrój zapyziałego pokoiku. Lolitka każde miejsce natychmiast wypełniała sobą, więc nawet najbardziej szpetne nabierało czaru. Chociaż próbowała mnie skusić, odmówiłam, jasno i wyraźnie. Po poznaniu serii jej przygód, po przeżyciu własnych przygód w tysiąc i jedną noc, nie miałam zamiaru traktować młodej przedmiotowo. Naprawdę.

Nie działał na mnie argument, że jako drapieżnik prowadzi i zna ciemne życie. Gotowałam się na samą myśl o tym, że jakiegokolwiek napalone samce lub samice ciągnęły za włosy moją perelkę. Jej włosy były stworzone do delikatnego rozczesywania, odgarniania ich z twarzy, wtulania się w nie. A ja wmawiałam sobie, że wpłynę na nimfetkę jeszcze mocniej niż dotąd. Że dzięki temu nikt więcej nie pogardzi nią w taki sposób, jak gardzono mną. Co zresztą odbywało się na moje życzenie i odpowiedzialność. Miałam pomóc jej wzrastać, by sprostała swojemu

talentowi i nie pozwoliła nikomu sobą pomiatać.

Ona wstała pierwsza. Ja, wciąż zawinięta w kołdrę, podglądałam ją ukradkiem. Malowała się przed lustrem ustawionym na stoliku. Siedziała do mnie tyłem, ale widziałam odbicie jej twarzy. Miała regularne szlachetne rysy i jaśminową cerę, naturalnie zaróżowioną. Nie musiała, nie powinna się malować! Jednak z namaszczeniem nakładała podkład, wklepywała róż, rysowała kreski na powiekach, podkreślała rzęsy. Na chwilę znieruchomiała ze szczotką we włosach.

Wykorzystałam ten moment i podeszłam do niej, cicha i bosa. Delikatnie rozginałam palce, jeden po drugim, aż wyjęłam szczotkę z dłoni. W zamian wsunęłam paczuszkę.

Po odkryciu, co jest w środku, lolitka zdjęła swoje kolczyki i uradowana poprosiła, żebym założyła jej nowe, perłowe. Delikatnie wsuwałam srebrne sztyfciki w płatki uszu, przebijając się na ich drugą stronę. Przez moment zastanawiałam się, kto pozbawił moją przyjaciółkę dziewictwa i kiedy, w jakich okolicznościach. Och, po co się nad tym zastanawiam – strofowałam się w duchu. A ona wypełniała usta błyszczącym, który zostawiał na nich świecące drobinki. Wygięła wargi w hollywoodzkim uśmiechu. Moja gwiazdeczka!

Na kuchennym stole czekały na nas parujące miseczki mleka z chrupiącymi płatkami. W dalszym ciągu programu do chrupania przewidziano bułki. Do nich, do wyboru, do koloru: dżem truskawkowy, miód, twaróg, kilka rodzajów sera żółtego i wędlin, sałata, pomidory, ogórki, rzodkiewki. Z egzotyki pomarańcze, mandarynki, banany i kiwi. Wystarczyłoby tego dla sąsiadów i jeszcze by zostało. Ale nie było, że nie zjemy.

– Musicie mieć siłę na cały dzień! – oznajmiła ciotka.

Spróbowałam negocjacji, że zabiorę bułki jako wałówkę na wycieczkę, ale ona mnie wyprzedziła. Naszykowała dla nas oddzielną wałówkę. Lolitka poddała się od razu i włożyła ją do plecaka, a ciotka wcisnęła nam jeszcze po bananie. Popatrzyłam na nią wzrokiem osłupiałej małpki.

Z ulgą zamknęłyśmy za sobą drzwi. Ustaliliśmy, że zwiedzanie Gdańska przekładamy na jutro, a dzisiaj zaatakujemy Sopot.

Razem z tłumem parłyśmy od dworca w stronę morza. Nikt się nie zatrzymywał, nikt nie potrafił oprzeć się jego wołaniu. Nikt nie zwracał uwagi na to, że trzymamy się za ręce. Ot, przyjaciółki.

Nimfetka upierała się, że zobaczyła mnie w kartach, kiedy pytała o szczęście. Wróżąc, zaklinała je, żeby wreszcie nadeszło. Cieszyła się z przyłapania na zegarku takich godzin, jak 7:07, 8:08, 9:09, 10:10, bo wskazywały, że idzie. Pająki przyjmowała z wdzięcznością, ponieważ na ich cienkich nóżkach również szło. Powoli, małymi krokami. Ale doszło!

Znów nie wiedziałam, co odpowiedzieć małej czarownicy na te zwierzenia. Próbowałam wszystko przekazać mimiką. Z nadzieją, że jestem dobrym mimem, a

ona migiem pojmie.

Ostatnio spacerowałam po plaży w listopadzie. Bardzo krótko, między odhaczaniem kolejnych punktów objazdu naukowego. Wstyd się przyznać, ale wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłam morze. Po południu, w zapadającym zmroku, czarne i niezgłębione. Bijąca o brzegi potęga zrobiła na mnie wrażenie. Tej samej nocy przyszło mi się, że leżę na plaży, zupełnie bezbronna. Nie mogłam się ruszyć. Patrzyłam na grzywy fal, które wylewały się na piasek i próbowały dosięgnąć mojego ciała. Zastanawiałam się, kiedy im się uda i czy morski prąd zagarnie mnie dalej, w swoją głębię.

Czy lolitka była tą, która mnie stamtąd podniosła? Zaczarowała wszystko?

Razem z nią zobaczyłam teraz szafirową wodę pod błękitnym niebem. Nie warczała groźnie, jak w listopadzie. Rozśpiewała się pogodnie. Wiał nie ostry, lecz ciepły wiatr. Zdjęliśmy pończochy w jakichś krzakach, żeby spacerować bosy. Jej drobne stopy zostawiały miękkie ślady w piasku. Ciągle trzymając się za ręce, wbiegałyśmy w chłodne fale i przeskakiwałyśmy je, aż podfruiwały nam spódniczki. Piszczaliśmy, gdy piana lizała nasze kolana. Ponad nami łopotwały skrzydłami krzykliwe mewy. Pochylałyśmy się, zbierając muszelki. Otrzepywałyśmy je z piasku i licytowałyśmy się, która znalazła ładniejsze. Zbudowałyśmy podmurowany nimi zamek, z dachem z mewich piór.

Zachowywałyśmy się niczym dwa beztroskie dziewczątka. Cała weszłam w te chwile – moje myśli były nimi, były nimi moje włosy. A kiedy rozchyliłam usta do pocałunku, chwile te dostały się do nich.

Dopiero kiedy odsunęłyśmy się od siebie, poczułam na karku igielki ciekawskich spojrzeń. Nie przejęłam się. I tak nikt nas tu nie znał. Nadmorska i morska przestrzeń stały się przestrzenią wolności, na całej swojej długości i szerokości.

Moja artystka dokończyła ostatni szybki szkic i znudziło się jej plażowanie.

Kręciliśmy się w pobliżu hotelu. Na scenie przed nim trwał koncert. Zespołu nie znałam. Grał gitarowo, melodyjnie, skocznie. Muzyka zaczęła w nas tętnić, więc musiałyśmy ją z siebie oddać. Wirowałam zatem z księżniczką, prawdziwą, a nie mieszkanką zamku na piasku. Precz z każdym księciem obiecane cacane! Obrót! Księżniczka obracała mnie raz po raz, aż kręciło mi się w głowie. Ponownie zwróciłyśmy na siebie uwagę, bo nie tańczył nikt poza nami. A po koncercie nimfetka z właściwą sobie brawurą wtargnęła na hotelową grządkę z kwiatami. Zerwała wszystkie szybko, lecz starannie. Każdy bratek miał inną barwę. Ich płatki leciutko drżały, zawstydzone muśnięciami wiatru.

Nasze kroki wciąż były taneczne, kiedy przemierzałyśmy deptak, mocniej zatłoczony niż przed południem. Trudno było znaleźć wolne miejsce w kawiarni. Na szczęście trafiłyśmy na moment, gdy jedna z par podnosiła się od stolika.

Lolitka stała się pucharkiem lodów z owocami. Tym razem smakowała

truskawkami z bitą śmietaną. Śmietana ściekała po brodzie, a truskawki się nie kończyły. Napychałam się nią, ile wlezie.

Dzień minąłby naprawdę sielsko, ale o zachodzie słońca skusiłyśmy się na drinka. No dobra, na parę drinków. Sprowokowały one przemianę paziówny w drapieźnika. Rzuciła innym przeciągłe spojrzenia, zarzucając sieć. Wzruszałam ramionami, chociaż było mi przykro, że moje zainteresowanie już jej nie wystarcza. Szybko obstąpili nas poszukiwacze wrażeń, niezdający sobie sprawy, kto poszukuje ich najzachłanniej. Te błyskające ślepiami wilki obwąchiwały nasze ciała, prawie trącały je zimnymi nosami. Lolitka oczywiście objęła fuchę wadery. Chwała jej wysokości, tronującej na barowym stołku!

Odpędziałam wilki od siebie. Żaden mi się nie podobał, każdy mnie denerwował. Z przyjemnością połączoną z obrzydzeniem spoglądałam na miks artystki, nastolatki i kurewki. Przypomniały mi się moje wariactwa. Sięgnęłam do ich bagażu, wepchniętego do tej pory pod stół, i przyciągnęłam dziewczynę do siebie. Wessałam się w jej wargi, a potem je gryzłam, by dziki pocałunek sprawił ból. By ukarał ją za gorycz, którą mnie poczęstowała po samych słodkościach. Tak, posmakowałam krwi nimfetki, ale wcale się nie nasyciłam. Miałam ochotę pociągnąć ją za włosy, bo była z niej taka sama porcelanowa laleczka do czesania jak ze mnie. Za włosy i zawlec do domu! A wilki niech wyją do księżycy ile sił w płucach, proszę bardzo!

Ledwie ocknęły się z osłupienia, a zaczęły przerzucać się propozycjami i adresami hoteli. Każdy chciał nas zobaczyć w tak zwanej akcji.

Dziękuję, nie skorzystam.

Pożegnałyśmy towarzystwo – ja patrzyłam spode łba, ona szczerzyła się bez troski – ruszyłyśmy w drogę powrotną do Gdańska, na kolację u ciotki. Żeby nie wyczuła od nas alkoholu, z zapalem żułyśmy miętowe gumy. Lolitka próbowała wydmuchać ze swojej balony. Od czasu do czasu dotykała nabrzmiałych warg koniuszkiem języka. Sprawdzała, czy już zakrzepły na nich kropelki krwi. Uśmiechała się przy tym nieznacznie. Nie miałam pojęcia, czy drwi sobie ze mnie, czy wyraża zadowolenie.

W mieszkaniu siedziałam przy stole jak na rozżarzonych węglach, ale starałam się zachowywać normalnie. Ładnie i składnie opowiadać o wycieczce na plażę. Podziękowałam ciotce, bo dzięki niej nie burczało nam w brzuchach, choć na mieście zjadłyśmy tylko deser. Nawijałam kolejne słowa starannie, jak makaron na widelec, ale razem z posiłkiem zakończyłam nawijkę. Żeby nie zapadła niezręczna cisza, moja „przyjaciółka” stwierdziła, że padamy z nóg i idziemy spać. Ciotka chyba niczego nie podejrzewała albo nie dała po sobie niczego poznać. Tak czy siak uratowałyśmy sobie dupy i byliśmy dumne z tego wyczynu.

Lolitka jako pierwsza poszła zmyć z siebie wiatr, sól i piasek. A ja zza uchylonych drzwi przyglądałam się, co robi właścicielka mieszkania w swoim

centrum dowodzenia, boazeryjnym saloniku. Ciotka wpatrywała się w migający ekran telewizora jak zahipnotyzowana; wyrywała się z tego stanu tylko po to, żeby sięgać do szklanki z duraleksu po solone paluszki. Wydała mi się bezgranicznie samotna, skoro wieczór spędza z mieszkańcami *Na Wspólnej* czy innymi serialowymi męczyduszami. Po kąpeli nimfetka uspokoiła mnie, że ciotka ma swoje kumoszki. Odwiedzają się, plotkują, piją nalewki domowej roboty (prawdziwy ulepek!) i tak dalej. Pokiwałam głową.

Nie ujawniłam jej, że właśnie znów dręcą mnie myśli o własnej starości. Co prawda wyglądałam podobnie jak nimfetki, ale „nic nie może przecież wiecznie trwać”^[6] – w końcu przestanę przyciągać i pociągać im podobne. Kogokolwiek! W samotności zamienię się w pomarszczony i suchy kwiat z papierowej chusteczki. Z upływem lat mój charakterek wyostri się. Sama stanę się męczyduszą, zupełnie nie do wytrzymania. I nie będę mieć nikogo, bo przyjaciółek nie miałam nigdy. Pocieszałam się, że jeszcze nie nadeszła ta pora, traktowana przeze mnie jak apokalipsa. Chociaż spotkać nierządnicę babilońską to dopiero byłoby coś...

Kiedy wróciłam z łazienki, tapczan czekał, a pod pościelą rysował się znajomy kształt. Kształt ciała lolitki. Apokalipsy nie ma, nierządnicą jest – pomyślałam. Zamknęłam drzwi i podniosłam koldrę. Nimfetka roześmiała się cichutko.

Zgasiłam światło, lecz nie zasunęłam zasłon. Przez szybę i cienką firankę przeświecał blask ulicznych latarni. Syciłam się widokiem spełnionego marzenia. Ileż to razy karciałam się, że chcę z niej ściągnąć artystyczne szmatki i mieć ją bez dekoracji? Właśnie miałam, nawet niezależnie od siebie. Jej nagość osnuwała ciepła, słodkawa, rozluźniająca woń. Wanilia. Ach, przecież to afrodyzjak! Pogratulować pomysłu.

Usiadłam na brzegu łóżka, a piękna przesunęła się ku mnie i trąciła palcami stóp.

Nimfetki są urodzonymi spryciarzami. Skoro ona poznała mój odzew na jej występy przed facetami w łódzkim Domu, w sopockiej knajpie podrywała ich specjalnie. Po to, żebym dała się ponieść zazdrości i spełniła życzenie, któremu dotąd odmawiałam. Ale jeszcze mnie nie przebłagała. Patrzyłam przecież na wiele cudownych obrazów, które nie wzbudzały we mnie żądzę posiadania. Wystarczyło, że dotknęłam ich wzrokiem, i już odkrywałam tajemnicę. Mogłabym więc siedzieć na tym tapczanie do świtu, napawać się do woli jakże przyjemnym widokiem i zapachem oraz przeświadczeniem, że dawno przejrzałam intencje paziówny na wylot. Właściwie dlaczego miałabym jej tym nie podręczyć?

Jednak ona nie pozwoliła mi być dręczycielką. Zniecierpliwiona moim bezruchem zgięła nogi i oplótła nimi moją talię tak, że nie mogłam się ruszyć ani nadal zgrywać niedostępnej. Wygrała czy dałam jej wygrać? Nieważne. Wszelkie moje wahania i postanowienia obróciły się wniwecz.

Pochyliłam się nad nią. Wydatne piersi garnęły się do moich rąk. Ugniatałam je i szczypałam sutki. Puszczalam je tylko po to, żeby złapać znowu. Lolitka, poddając się pieścizotom, wyginała szyję. Pocierała o mnie miejsce, które zostawiało mokre ślady na mojej koszulce nocnej. Wsunęłam dwa palce do jej ust, a potem, zwilżone śliną, pomiędzy jej uda; płatki otuliły śliską gładkością pręcik między nimi. Kiedy go wysuwałam, jeszcze się do niego garnęły, jakby należał do nich. Raz po raz sprawdzałam, jakie są jedwabiste i rozgrzane tym, co biło z kochanki – samą esencją o intensywnym, ostrym zapachu, który mieszał się z wanilią. Ta poddała się jego sile, stała się mniej wyczuwalna. Płatki pozostawiały na moich palcach lepki pyłek, który dawałam jej do spróbowania. Smakował. Nimfetka przeżyła się, jakby co najmniej miała dostać orgazmu.

Nie tak prędko, mała! Poczekaj, aż zajmę się jednym punkcikiem. Poczekaj, aż będzie pulsował i rósł. Dopiero wtedy doprowadzi cię do obłądu.

Masując ją tam, razem z nią rozkoszowałam się kolistymi drobnymi ruchami, które potrafią sprawić wiele. Granatowe włosy rozsypywały się po poduszce. Łaskotały ją swoimi pierścieniami, kiedy spełnienie wstrząsało wspaniałym ciałem. Dobrze, że tapczan nawet nie jęknął pod nami. Nie wydał, ani wtedy, ani później, żadnego z naszych sekretów.

Podnosząc się z niego, kochanka podała mi swoje wargi i wsadziła między moje zwiny język. Zsuwała mi ramiączka koszulki, coraz niżej, aż odsłoniła biust. Zataczała językiem kręgi wokół brodawek. Wzięła jedną między wargi i ssła mocno. Odsunęła się na moment, a ja włożyłam jej do ust drugą; pragnęłam jak najdłużej karmić kociaka. Zatapiałam palce w starganych włosach i przyciskałam do piersi śliczną twarz.

Zamarłam, kiedy lolitka osunęła się na mnie. Ściągnęła mi koszulkę, ale zostawiła majtki. Przewróciła się na bok. Dotykając mnie przez bieliznę, wymuszała błaganie ciała o więcej, aż w końcu wsunęła dłoń do środka. Przeciągnęła ją w dół, zanurzyła we mnie palce. Czułam się, jakby kwiat między moimi nogami miał usta, język i gardło. Szczodrze rozdawał pocałunki i liźnięcia. Rozstawiłam nogi na całą szerokość, a wilgoć zaczęła ciec mi po udach. Próbowalam zsunąć bieliznę, ale nimfetka przytrzymała moje nadgarstki. Ponownie drażniła mnie tkaniną – szorstka koronka raz po raz muskała nabrzmiałe miejsce, a ja nie mogłam jej rozszarpać. Lolitka napawała się moim szalem. Wreszcie zdjęła ze mnie majtki i zanurzyła tam twarz, spijając cały nektar.

Zasłoniłam usta, żeby nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Cóż, nowa zawsze musiała uzyskać to, co chciała. Barowe wilki podkreśliły nas do tego, żebyśmy udowodniły sobie raz na zawsze, że należymy do siebie. Tamtej nocy odniosłam wrażenie, że nie liczy się to, czym się różnimy. Byłyśmy sobie równe. Wszystko wydarzyło się tak naturalnie, że kobieca miłość wydała mi się jak przyrodzona ludzkości od początku świata. Oto dwie Ewy – albo dwie Lilith

– w raju rozkoszy. A może jedna, skoro w harmonii zgranych ze sobą ciał stałyśmy się jedną energią? W niej pomieszało się, kim dla siebie jesteśmy: nauczycielką i uczennicą, duchowymi bliźniaczkami, namiętymi kochankami?

A jednak... Miałyśmy być bliźniaczkami z serca, nie z brzucha. Miałam otulić ją troską, nie sobą. Mimo to nie żałowałam przyjemności, które sobie sprawiłyśmy.

Wiele się nie zmieniłam.

Rozleniwione, rozmarzone oczy lolitki późno powiedziały mi „dzień dobry”. Schowane pod kołdrą ścisaliśmy się i obsypywałyśmy czułościami, odkrytymi wczoraj, odkrywany dzisiaj. Nie chciało nam się wychodzić z łóżka. Nikt nas nie poganiał, bo ciotka klepała zdrowaśki w kościele. Postanowiłyśmy pozostać w mieszkaniu do obiadu, a potem wyruszyć na miasto.

Trzeci dzień maja był słoneczny i pachniał bzem. Oberwałyśmy białą z krzewu niedaleko kamienicy i uplotłyśmy z niego wianki. Tak wybrałyśmy się w odwiedzin do Neptuna. Nie pamiętam, na którym straganie kupiłyśmy dwa łańcuszki i dwie połówki jednego serca. Kiedy szłyśmy, połówka mojej nimfetki kołysała się w ponętym rowku pomiędzy piersiami. Miałam ochotę zatrzymać ją, wyjąć ten napęczniały biust spod cienkiej bluzki, chwycić go w dłonie i ugniatać od nowa.

Po południu starówkę zalało złociste światło. Po białej w niebo igle ratuszowej wieży spływało w dół. Umieszczony w niej zegar mocno bił blaskiem. Zachłanne na przestrzeń światło przesuwano dalej, po dachówkach kamienic. Dodawało blasku ich fasadom, cudnym jak z obrazka, oraz zdobiącym je rzeźbom, które potęgowały tę cudowność. Przyciskało nos do szyb i składało na nich całusy. Tryskało wraz z wodą z fontanny i zalewało uliczki. Ciepłe, w miodowym odcieniu, nie męczyło oczu. Złoto zaczęło osadzać się także na przechodniach, a ja zorientowałam się, że kiedy przychodzi do mnie ten kolor, wraz z nim pojawia się kobieca miłość. Lolitka miała złote nawet oczy i rzęsy, po same ich koniuszki. Tylko kolor jej włosów pozostał niezmienny. Atramentowe morze lśniło wspaniale.

Uprzedziłyśmy ciotkę, że wrócimy późno. Pragnęłyśmy złowić widok nocnej Motławy. Noc nie zabierała miastu barw; wychodziły nam naprzeciw, wprost z wody. Nie mogłyśmy się napatrzeć na odbicia budynków i świateł w tym falującym zwierciadle. Spacerowałyśmy w tę i z powrotem. W końcu zatrzymałyśmy się przy jednym ze statków wystylizowanych na piracki. Z pokładu rozlegały się grane na żywo szanty. Nie weszłyśmy jednak do środka tawerny Czarna Perła z prostego powodu – żeby nie zapać i znów nie zamartwiać się, co powie ciotka, jeśli przyłapie nas w swoim domu nietrzeźwe.

Przycupnęłam z nimfetką na murku i zaśłuchałyśmy się w muzykę, mocno wtulone w siebie. Schwytane w swoje ramiona przypominałyśmy dwa kulące się ptaki. Od czasu do czasu patrzyłyśmy spomiędzy piór. Nasze małe serca

przepelniał trzepot lęku. Wiecznie głodne próbowałyśmy karmić się sobą. Wtedy wiedziałyśmy już, że obie znamy żyletkę. Na pewno rano mignęły jej moje blizny.

Nie miałam pewności, czy to, co mnie z nią łączy, jest przyjaźnią z bonusem, czy kochaniem. Po prostu chciałam podarować jej coś, czego ja, młoda i zaniedbana emocjonalnie, nie dostałam od nikogo. Z całych sił zapragnęłam, żeby tej nimfetce wiodło się jak najlepiej. Poprzednia nie dorównywała jej charakterem i wrażliwością.

W całkiem szczytnym celu skorzystałam więc z romantycznej okazji, aby wziąć lolitkę pod włos. Powiedziałam, że krzywdząc siebie, rani i mnie. Wszak jesteśmy ze sobą połączone. Przytaknęła. I również wymusiła na mnie obietnicę, że nie będę zadawała sobie cierpienia.

– I nie pozwolę innym, by mi je zadawali – dodałam, a ona powtórzyła te słowa jak echo.

Nie wiem, której z nas pierwszej popłynęły łzy.

Byłam pewna, że podobne chwile się nie powtórzą. Na pamiątkę tamtej majówki nie mam zdjęć, które mogłabym oglądać i próbować odtworzyć. Wszystko musiałam pomieścić w pamięci. Wtedy jednak bardzo chciałam zdobyć esencję danego momentu, jego pigment. Rozpuściłabym go w wodzie nalanej do miski, zanurzałabym głowę i obserwowała wpływające zdarzenia. Albo lepiej – uczestniczyłabym w nich od nowa! W identycznych, niezmiennych ani o kroplę. Wspaniale byłoby ponownie dostać nawet nie całość, a jej wyjątkowe urywki. Te niepowtarzalne sekundy, gdy łzy mieszają się ze łzami. Piękne przez swoją ulotność. Najpiękniejsze.

Tamtej nocy lgnęłyśmy do siebie mocniej niż nad Motławą. Chciałam podarować mojej lolitce niezapomniane doznania. Kto wie, kiedy znów będziemy spać razem? A i sobie je sprawiłam, bo piękna odkryła przede mną całą swą kobiecość, gdy zgięte kolana podciągnęła pod brodę, a stopy oparła o moje ramiona. Przytrzymałam jej jędrne pośladki i głębiej wślizgnęłam się językiem. Wreszcie miałam na nim ten smak! Mieszankę żywiołów, słonego morza i nagrzaną ziemi!

Przymknęła powieki, bo jeszcze było jej mało. Pobudzała się, masując piersi, aż drgały. Ponownie wydawała mi się skąpana w złocie, ale od wewnątrz. Przypominała Danae z obrazu mojego ulubionego malarza Klimta. Łapczywie zlizywała blask, a on płynął nieprzerwanie.

Złoto jest też kolorem natury osiagającej bujną pełnię. Złota głowa słonecznika coraz mocniej schyla się w dół, ociążała od nasion. Chce oddać je ziemi wraz ze swoją potęgą. Właściwie nimfetka, nawet erotycznie znużona, była dopiero co rozkwitającym kwiatem, a mimo to odnalazłam w niej dojrzałość królowej urodzaju.

Nie miałam pojęcia, jakim cudem jutro wrócimy do świata. Wszystko

przewracało mi się w żołądku na myśl o Łodzi. Lolitka także się denerwowała. Do tego stopnia, że wybudziła siebie i mnie ze snu. Usiadła, cała sztywna, z oczami błyszczącymi lunatycznie, gorączkowo. Mokre poskręcane włosy kojarzyły się z wodorostami. Gładziłam ją po nich, a potem głaskałam wstrząsane szloch ramiona. Uspokajałam ją, dopóki nie położyła się ponownie.

Rano nie kojarzyła tego ataku.

Poduszka oddała mi zgubione przez nią włosy. Przyglądałam się im i przypominałam sobie, jak wplatałam w nie palce. Odjechałyśmy w południe, wylewnie dziękując ciotce, która jeszcze na peronie wołała, że zaprasza nas na wakacje.

Podczas podróży z nudów wybebeszałyśmy kieszenie. Paziówna wyjęła uschniętą gałązkę bzu i parę muszelek, a ja zwiędłe bratki. Rozplakałyśmy się podczas pożegnania na dworcu w Łodzi, jakbyśmy zegnały się na zawsze.

ROZDZIAŁ III

Raj utracony

Nad morzem odłączyłam się od internetu, więc teraz w wolnej chwili nadrabiałam zaległości na wszechwładnym fejsie. Sięgał od narodzin do śmierci, od cierpienia do gwiazd. Przeświałł nawet najmniejsze epizody pomiędzy nimi. W dobrym tonie było chwalenie się na nim wszystkim, czym się da. W jeszcze lepszym tym, czym się nie dawało pochwalić.

Ja za wiele się nie udzielałam, pozostając użytkowniczką bierną, choć wierną. Przesuwałam życie po życiu, zapakowane w posty, linki, pliki jpg i inne załączniki. Full wypas, ze śniadaniami, lunchami, obiadami, deserami, koktajlami, kolacjami. Spożywanymi przez matki, żony, kochanki, ojców, mężów, kochanków, ich potomków i inne domowe zwierzątka.

Na tych ostatnich się zatrzymałam, bo podczas mojej nieobecności Czarek kupił sobie dwa szczury. Rozbrajająco się z nich cieszył, dosłownie radością dziecka. Gryzonie patrzyły na mnie inteligentnymi oczyskami i wystawiały pyszczki zza prętów klatki. Nie cierpię wprawdzie umieszczania Bogu ducha winnych stworzeń w aresztach domowych, ale ci więźniowie stworzyli mi okazję. A przecież nie przepuszczałam żadnej. Na czacie pogratulowałam wojakowi wąsatej parki, a on zaprosił mnie do obejrzenia jej na żywo. Kupiłam każdemu nowemu lokatorowi po pęczku marchewki. Zawiązałam kokardy dla zgrywy i mogłam już złożyć mniej lub bardziej oficjalną wizytę.

Wojak od razu porwał mnie w objęcia, a ja się z nich nie wyrывałam. Zapytał, czy tęskniłam. Cóż, nie widzieliśmy się najdłużej w całej pokręconej historii naszej znajomości. Chichocząc, odparłam, że nie tęskniłam, wcale a wcale. Zamknął mi usta mocnym pocałunkiem, który przedłużył, aż od niego zadrżałam.

Jego łóżko też czekało na mnie z otwartymi ramionami. Usiadł na nim, chciał, żebym przed nim uklękła. Lecz ja wywróciłam ten scenariusz do góry nogami. Nie odpięłam srebrzystej klamry przy jego pasku, a przy moim. Nie rozsunałam suwaka w jego džinsach, a w swoich. Ściągnęłam je i stanęłam tak, żeby mój brzuch znalazł się tuż przy jego twarzy, a wagina na wysokości jego ust. Trzymałam go za włosy i poruszałam się razem z jego językiem. Nie byłam już żadną poddaną. Żadnym kopciuchem, żadną księżniczką. Byłam królową, której od dawna należał się hołd. Czekala, czekała, aż upomniała się sama.

Zapatrzona we mnie lolitka dodała mi tupetu. Gniew na Czarka, który od dawna we mnie wzbierał, znalazł ujście i wzmógł satysfakcję.

Myślałam, że wezmę od niego to, co planowałam, dokładnie tak, jak planowałam, i już. I wystarczy. Moje zamiary obróciły się w proch i pył. Rozłąka

sprawiła, że nasza namiętność wybuchła ponownie. Gdy wojak rzucił mnie na posłanie i przytrzymał za ręce, po mojej skórze przebiegły jeszcze większe ciarki. Instykt walki jest wspaniały! Mimo to dałam się posiąść przeciwnikowi. Zaciągnęłam się jego wonią – mieszanką korzennych perfum, paru wypalonych od rana papierosów i wyraźną nutą alkoholu (pił beze mnie?). Była tak inna od tej kobiecej! On między moje wargi niecierpliwie wsuwał ciepły język, a między rozchylone uda nabrzmiały penis. Nie liczyło się nic, poza wspólną wibracją.

Mężczyzna dawał mi inny typ rozkoszy niż kobieta. Owszem, piękno Ewy budziło moje zachwyty i żądze. Uwielbiałam go kosztować. Celebrowałam wtedy każdą chwilę, każdy najmniejszy gest. Próbowalam je zapamiętać, żeby odtwarzać w głowie, kiedy tylko będę chciała. A seks z Adamem nie był dla mnie odświętny, lecz codzienny, lepiej poznany. Ewa nie pozwalała mi posmakować tego, co Adam. Z nią nie czułam się wypełniona do granic. Ona nie posuwała mnie brutalnie, potrzęsając z całą mocą, aż stawałam się jej ruchami. Potrzebowałam więc i Adama, i Ewy, żeby stworzyć własny zmysłowy raj, w którym niczego mi nie zabraknie. Krainę mlekiem i miodem płynącą.

Po raz pierwszy w życiu trafiła mi się szansa na zaspokojenie niezaspokojonego apetytu.

Na niewinne pytanie Czarka o majówkę równie niewinnie odparłam, że spędziłam ją z przyjaciółką nad morzem. Nie przyznałam się do puszczenia w niepamięć naszej umowy i pójścia z rzekomą przyjaciółką do łóżka. Nie mogłam okazać się następną wiarołomną kobietą w jego życiu. Nie chciałam go ranić ani tracić.

On, jak zwykle, poświęcił wolny czas na wojaczkę. Planował wyjechać na rekonstrukcyjną imprezę również w najbliższy weekend. Ochocho zaproponowałam, że podczas jego nieobecności mogę zająć się szczurami, karmić i poić niebożątka. Przekonywałam, że zaopiekuję się nimi lepiej, niż zaopiekowałabym się własnymi dziećmi.

Nie tylko się zgodził. Jego twarz rozjaśnił dokładnie taki sam uśmiech, w jakim zakochałam się parę miesięcy temu. Naszą transakcję uznałam więc za bardzo udaną.

Całodzienne i całonocne schadzki z lolitką w mieszkaniu Czarka wydawały mi się bezpieczniejsze od tych w akademiku. Nadal miałam bzika na punkcie ukrywania się z nią przed Łodzią, znajomymi i obcymi oczami. Najchętniej spotykałabym się z nimfetką w bunkrze. Lecz nowy realny pomysł podsunęło mi właśnie internetowe zdjęcie szczurów. Fejs jest jednak niezawodny.

– „Przyjaciel mój wyjeżdżał, mówi do mnie: masz tu klucze. Przez ten czas, jak mnie nie będzie, możesz mieszkać z nią, u mnie”^[7] – podśpiewywałam, niesłuchanie zadowolona z własnej inwencji i interwencji. Na podobną melodię przedstawiłam najnowsze wieści paziównie. Nie śpiewała wraz ze mną. Musi

trochę pokręcić nosem, żeby podkreślić swoją atrakcyjność, tłumaczyłam sobie, żeby nie ogarnął mnie niepokój pod hasłem: „Dlaczego ona się nie cieszy?”.

Do weekendowego festiwalu miłości przygotowywałam się starannie. Kobietom powinno się postawić pomnik za heroiczne użeranie się z ciałem. Z wyrytym na cokole napisem: „Za wytrwałość w depilacji, za cierpliwość w nacieraniu się antycellulitowymi specyfikami, wdzięczni Rodacy”. Na tym cokole nie stałaby Nike. O tym, że ciało nam nie ustępuje, najlepiej świadczyłby Syzyf.

Komu skóra nie zamienia się w popękany krajobraz księżycowy, a brzuch nie okrągleje jak księżyc w kolejnej fazie, jeśli nie dba o siebie? A jeszcze te nieustanne troski o dopasowanie ciucha, który odkryje i zakryje, co trzeba. Ciekawe, jakie to byłoby uczucie nie przejmować się, czy wyglądam tak czy nie tak. Ostrzyć się na zapałkę, mieć dwadzieścia identycznych kompletów czarnych bluz i spodni. Nie porównywać się i nie rywalizować z innymi kobietami.

Mężczyźni mają mniejsze problemy. Wyjdzie jeden z drugim w powyciąganym swetrze i ważne jest, co dopowie, a nie, co dowygląda. Od początku sprawnie sobie to wszystko urządzili, my – o wiele gorzej. Jednak udowodniłyśmy im, że choćby waliło się i paliło, odnajdziemy w sobie siłę w dążeniu do idealnego piękna. Byłyśmy przekonujące, ponieważ niektórzy poszli w nasze ślady. Za nimi idą kolejni. Jest jeszcze jedna ważna sprawa – jeżeli nikomu nie oddaje się zadbanego ciała, a trzyma się je dla siebie, w wielu oczach wyświetla się obraz nieudacznicy/nieudacznika, kosmitki/kosmity.

Natomiast ja, na razie, świeciłam przykładem i wywiązywałam się z moich obowiązków w stu procentach. Największą obsesję miałam na punkcie ogolonej arcygładkiej cipki. Wydepilowana, wypiękniona i wypachniona zainaugurowałam festiwal w piątkowy wieczór.

Wojak potrzebował odpowiedniej dawki mnie przed bitwą, na którą miał wyruszyć bladym świtem. Zgrywałam się, że urządzimy razem rekonstrukcję ostatniego spotkania żołnierza z ukochaną. Powtórnie natchnął mnie do pseudoromantyzmu. Ubłagałam kochanka o wbiecie się w mundur, obojętnie który. Kiedy go zobaczyłam, miałam ochotę zagwizdać z podziwu. W rzeczywistości wyglądał w nim jeszcze ponętniej niż na zdjęciach. Już nie dziwiłam się tym biednym sanitariuszkom. Ściągnęłam z niego mundurową kurtkę, narzuciłam ją na siebie. Przez moment wyobrażałam sobie, że te panienki skaczą wokół mnie, a ja wydychuję papierosowy dym prosto w ich twarze.

Obszerna przydługa kurtka sięgała o wiele niżej niż moja sukienka, przylegająca do ciała niby druga skóra. Prezentowałam się podobnie jak Flip w ciuchach Flapa. Czarek nałożył mi rogatywkę. Niby próbując zachować powagę, stanęłam na baczność i zasalutowałam, co wypadło jeszcze bardziej komicznie. Wojak popukał się w głowę, ale zaczął się śmiać razem ze mną. Co tam, cała ich zabawa w wojnę jest identyczną zgrywą i nikt mi nie wmówi, że nie! Na

prawdziwej wojnie o życie, cudze, swoje, wszyscy posralibyśmy się ze strachu.

Z trudem, bo z trudem, ale namówiłam kochanka do puszczenia hitu ze starej płyty Fogga, *Ostatniej niedzieli*. Zagroziłam, że w przeciwnym razie zaśpiewam *Pierwszą brygadę*. Na podstawie tego, co zapamiętaliśmy z filmów, odstawiliśmy taniec, który miał być tangiem. Moja dłoń na jego ramieniu. Jego dłoń na mojej talii. Splotły się palce. Ręce napięły się jak cięciwy. Na lewo patrz, na prawo patrz, strzelaliśmy spojrzeniami. I stawialiśmy krok za krokiem. Wolny, szybki, szybki, wolny. Brakowało mi tylko róży w zębach, kiedy Czarek odchylił mnie na swojej ręce. W okamgnieniu przyciągnął z powrotem. O ile na początku tańczył ze mną z łaski na uciechę, o tyle później wciągnął się w ten popis, okręcając nas zwinnie wokół naszej osi. Następnie odsunęliśmy się od siebie i okrążaliśmy się nawzajem. Zataczaliśmy coraz mniejsze kręgi. Przypominaliśmy drapieżniki, tylko kto tu na kogo polował?

Podeszłam do wojaka z tyłu. Przyłgnęłam do niego, oparłam dłonie na jego barkach. Wyciągnęłam udo w przód, a on przycisnął je bliżej siebie i pogładził. Kiedy puścił, odwrócił się i rozchylił mi kurtkę. Świat mógł się zawalić w każdej chwili, ale nie w tej. Przesuwałam się po jego ciele, ocierałam piersiami o twarde brzuch i twardniejące podbrzusze. Napięcie między nami aż buzowało!

Wszystko działo się w okolicach sofy. Czarek popchnął mnie na nią zdecydowanym ruchem. Wpadłam w nią jak w puch. Sama także stawałam się miękka, miękkły mi nawet kości. Nie wiem, gdzie wylądowała rogatywka. Leżałam na kurtce i wysuwałam z niej ręce. Całowałam kochanka nieprzerwanie, gdy pochylał się nade mną. Rozłożyłam nogi i opasałam go nimi, przyciągając do siebie. Pośpiesznie odpinaliśmy sobie nawzajem resztę guzików i zamków. Wojak podrażniał moje zmysły, aż zrobiłam się wrażliwa na każdy centymetr jego skóry, każdy napięty mięsień, każdy drapiący mnie włos. Zmieniliśmy pozycję. Usiadłam mu na kolanach. Penis sztywniał i powiększał się w mojej dłoni. Czarek położył mi ręce na talii, a ja energicznie podrzucałam ciałem, nabijając się na niego. Patrzyłam prosto w ciemne oczy, w których błyskały iskry, aż buchnęły płomieniem. Podobny płomień poruszał się we mnie. Nie mogliśmy się sobą nasycić. Naprawdę. Jakbyśmy nie widzieli się nie wiadomo ile i na taki sam czas mieli się rozstać.

Obudziłam się obok pustej poduszki.

Wojak nawet się ze mną nie pożegnał. Poczucie żalu miała załagodzić lolitka. Wysłałam po nią na przystanek. Nie mogłam doczekać się naszego spotkania, bo w piątek przy jej nazwisku w dzienniku wstawiłam nieobecność. Wyobrażałam sobie, że powitanie będzie radosne i gorące.

Jak zwykle ubrała się artystycznie. Emanowała niebezpieczną energią – pobladła twarz kontrastowała z gorączkowym wzrokiem. Prawdę mówiąc, cała jej uroda nabrała gorączkowości. Niebieskowłosa wydawała się nie z tego świata, w połowie zanurzona w innym, półprzytomna. Identycznie wyglądała naszej ostatniej

nocy w Gdańsku. Przeładowane tajemnicami wypowiedzi, kompletnie do niej niepodobne, nieobecność w szkole i sweter z długimi rękawami założony w upalny dzień układały się w niepokojącą całość.

Po zaparzeniu nam kawy u Czarka zapytałam młodą wprost, czemu nie zdejmie swetra. Spiorunowałam ją wzrokiem. Wtedy dowiedziała się, co odgadłam.

Nie powiedziała ani słowa. Odsunęła się na krzesło, wstała i odwróciła się od stołu. Kardigan zwisał z oparcia jak omdlały. Ona usiadła ponownie i wyciągnęła na blacie lewą rękę – od przegubu do łokcia biegł rząd poprzecznych czerwonych, a więc całkiem świeżych, sznytów. Brutalnie przedzierały się przez skórę. Przeraził mnie ten widok, chociaż sama go zażądałam. Nagle zdałam sobie sprawę, jak ja dawniej musiałam przerażać tych, którzy widzieli moje rany. Owszem, w kryzysowych chwilach z reguły myślałam o ostrej przyjaciółce, a zaraz potem o pytaniach, jakie zadaliby mi lolitka i wojak. Okaleczanie, niezmiernie prosty dla mnie gest, który wszedł mi w nawyk, dla nich byłby prawdziwym ciosem. Znakiem, że jestem z nimi nieszczęśliwa. Ale ja zmądrzałam, a moja nimfetka miała zmądrzeć ze mną. Czy na darmo przysięgałyśmy, że koniec z wyrządzaniem sobie krzywdy?

– Czemu nie dotrzymałaś słowa? No, czemu?! – Prawie walnęłam pięścią w stół, choć sama nieraz łamałam obietnice.

– Przypomniałam sobie, jak to jest – odparła z przekąsem na mój atak.

– Czy wiesz, co teraz czuję?

– Przepraszam. – Spokorniała nagle. Schowała rękę za siebie i wbiła wzrok w podłogę.

– Mnie? Siebie przepraszaj!

– Rany tak mocno krwawiły, że miałam za swoje...

– Wieczna cierpiętница i ofiara! – Nie wiedziałam, czy krzyczę na nią, czy na siebie. – Zróbmy konkurs na najmocniejsze pocięcie się, co?

Milczała. Nie mogłam na nią patrzeć, patrzyłam więc w sufit, żeby ochłonąć. Cokolwiek ustalić.

– Zapiszesz się w poniedziałek do psychologa – perswadowałam głosem matki przemawiającej smarkuli do rozumu.

– Dobrze – przytaknęła, zupełnie jak grzeczna córka. Szkoda, że jeszcze nie dygnęła. – Nie opanowałam się... Będę z tym walczyć, naprawdę – zarzekła się, ale chyba głównie po to, żeby mnie uspokoić.

Sytuacja była jak farsa nad farsami, bo przecież ja bym w życiu do psychologa nie poszła. Mój pomysł wziął się stąd, że naprawdę nie widziałam innego rozwiązania dla niej. Z dwojga złego lepsza już ta instruktorka od „normalności” niż tonięcie we własnej krwi.

Robiłam dobrą minę do złej gry, lecz i tak denerwowałam się, że młoda właściwie nie żałuje swojego postępków. Wtem przypomniało mi się, że posiadam

nad nią przewagę: większą wiedzę i doświadczenie. Pewnie paziówna przegrała w zderzeniu z rzeczywistością po powrocie znad morza. Słońce zbyt raptownie przyćmiła codzienność. A ja nie miałam czasu na złagodzenie jej melancholii podczas zaćmienia. Zrobiło mi się jednak szkoda smutnej lolitki i pożałowałam wybuchu. Urządziłam jej wspaniałą kąpiel, by odtworzyć naszą dawną cudowność i by moje sumienie odpuściło.

Napełniłam całą wannę pianą. Ukucnęłam przy kochance i myłam jej włosy. Kiedy spłukiwałam je prysznicem, przyglądałam się, jak nasiąkają wodą i otulają tył głowy. Wciąż nie mogłam się nadziwić ich nasyconej barwie. Dostałam hopla na jej punkcie; tego wieczoru przypominała hiacynty. Odgarniałam mokre pasma opadające na oczy ukochanej. Sięgałam wtedy po kielichy kwiatów, z których ściekały krople deszczu.

Wychodząc z wanny, ta córka wody cała już ociekała i nią, i błękitem. Pod cienką skórą uwidoczniła się siatka żył, zupełnie jak na jej obrazach. Biegła od serca do serca i zagarniała całe ciało. Wycierając je, czułam pod rącznikiem każdą wypukłość, każde zwężenie, zgięcie i szczelinę.

W łóżku pokrywałam je całusami. Punkt po punkcie, dygot po dygocie, westchnienie po westchnieniu. Nasze ręce, dłonie, nogi utworzyły ze sobą jeden splot. Znów stanowiłyśmy jedność, którą trudno było rozpleść. Pot na skórze nimfetki zraszał mnie, a jej wagina poila moją. I vice versa. Nie miałam dość. Nie miałam dość!

Tamtej nocy nie mogłam zasnąć, a kolejny dzień przywitałam bardzo wcześnie. Podparta na łokciu z przyjemnością obserwowałam cień rzęs na jasnych policzkach i blade usta. Dolna warga była bardziej wydatna od górnej. Po moim cmoknięciu obie zgodnie wypełniły się czerwienią. Lolitka, oddając mi pocałunek, nie wiedziała, czy jeszcze przebywa w ramionach snu, czy już w moich, taka wiotka... Napinała się i ożywała dzięki dotykowi. Jej piersi stawały się coraz bardziej zjawiskowe. Staralam się nie zwracać uwagi na poranioną rękę. Kiedy wpadała mi w oczy, zaciskałam powieki, byle o niej zapomnieć.

Po tym, jak pobudziłyśmy się obie, wyszeptaliśmy, żeby usiadła na mojej twarzy. Podniosła się i wbiła kolana w zmiętą pościel, a ja rozstawiłam nogi. Z przyjemnością odkryłam, że jest wręcz przepelniona wilgocią; nadawała połysk temu miejscu i czyniła je jeszcze bardziej podniecającym. Zgodnie całowałyśmy nasze płatki. Wsuwałyśmy w siebie języki, wachlując się tam ich końcami. Podobało się nam, że jednocześnie mamy na nich swoje esencje. Spijałyśmy soki, które puściłyśmy, w rozkołysanym rytmie.

Nie przestając lizać mojej dziewczyny, ujęłam półkule jej pośladków. Ściskałam tę sprężynującą miękkość. Przesuwałam palcami po szczelinie między nimi. Nigdy dotąd nie zbadalam małego otworu, więc kiedy musnęłam go dłonią, zdziwiła mnie jego aksamitność. Zawahałam się, czy posunąć się dalej. Czemu nie?

– pomyślałam. Czemu nawet w łóżku przerzucam na nią swoje przeżycia?

Przestałam pić z niej nektar, a ona przystąpiła do pieszczona własnej waginy. Sięgnęłam z nią po jej wilgoć i rozsmarowałam ją aż do tamtego miejsca.

Zwilżyłam wskazujący palec śliną i spróbowałam sięgnąć w aksamit. Lolitka drgnęła. Wysunęła ze mnie język, ale nie przestawała się kołysać, tyle że wolniej. Wykonywałam małe okrężne ruchy, żeby pokonać opór; udało się i powoli wnikałam w głąb. Moja kochanka w niczym nie przypominała już rozspanego kociaka. Wypinała się mocniej.

Podziwiałam, jak wspaniale przeży się jej kształtna pupa. Wsadziłam w nią kolejny, środkowy palec. Jęknęła. Tym razem tylko ja nadawałam rytm – popychałam tyłeczek, pomagając sobie dłonią, którą położyłam na jego połówce. Urywane, ale narastające jęki podniecały mnie. Nimfетка sunęła po mnie piersiami, muskała twardymi sutkami poniżej brzucha. Zaciskała kleszcze rąk na moich udach. Szczypała je tym mocniej, im bliższa była szczytowania. Krótki, ale w pełni rozkoszny krzyk nie przerwał moich ruchów – sama tego chciała! Nie czekałyśmy długo na jej drugi orgazm. Przyszedł, przywołany i spiętrzony poprzednim. Tak mocno na mnie napierała i ścisnęła mnie, że odruchowo wykrzywiłam twarz. Chociaż byłam naprawdę zadowolona z tego popisu żarliwości.

Obie leżałyśmy w niezmiennych pozycjach, lecz wciąż jej nie zmożłam! Śmiało sięgnęła do miejsca, które opływało w moją ekstazę, wstała i odwróciła się. Nachyliła się nade mną i wsadziła mi w usta palce, które skąpała we mnie.

– A ty, jak smakujesz sobie? – zapytała z błyskiem w oku.

A przecież miałam na języku smak nas obu. Podobny do jej smaku, lecz wyraźniejszy, intensywniejszy.

– Równie dobrze, jak ty mi – odparłam.

Szczury bacznie obserwowały nas z klatki. Nie, nie z obawą, że mój kociak na nie zapoluje. To było spojrzenie szpiegów, którzy zamierzali przekazać swojemu mocodawcy nie tylko to, co widzieli, lecz także każde zasłyszane słowo. Nawet te wypowiedziane najciszej.

Niestety, poezja nieubłaganie zamieniała się w prozę. Czekano mnie pranie pogniecionej, zapocone i poplamionej pościeli, zbieranie brudnych szklanek, talerzy i butelek z kątów, zmywanie, wycieranie, latanie z odkurzaczem, wyrzucanie śmieci. Czyli zacieranie każdego śladu naszej obecności. Zamartwiałam się, czy zdążę wysuszyć poszwę na kołdrę do rana.

Kociak nawet nie kiwnął palcem. W tym czasie sterczał przed łazienkowym lustrem i pindrował się na urodziny znajomej. Przypomniało mi się, jak sprzątałam mieszkanie Igora, podczas gdy on zajmował się sobą, lecz nie wywołało to we mnie wściekłości, a sentyment. Dobrze, że przed wyjściem seksownie wystrojona i wymalowana kochanka zadbała o mój kolejny orgazm. Zatarł kłopotliwe wspomnienia.

Wyszłam z nią, żeby zrobić zakupy. Przemykając między półkami, w środku gotowałam się z ciekawości, czy kotka nie urządzi łowów na urodzinach. Przecież znałam jej tak zwaną spontaniczność i zmienność nastrojów. Wypindrowała się tak, że tylko ją schrupać. Zaborczość podsuwała mi mnóstwo obrazów napalonych zdzir i skurwieli, a były jak żywe. Przyłożyłabym tam każdemu, kto by się do niej przystawiał! Prosto w twarz, na odlew – piekliłam się w myślach.

Przyląpywałam się na rosnącej zazdrości o oboje kochanków. Po wypakowaniu u wojaka torby z zakupami odsunęłam jeszcze dolną szufladę komody w pokoju. Od pewnego czasu potajemnie sprawdzałam liczbę prezerwatyw w sporej paczce i odejmowałam te, które zużył ze mną. Na następnej wizycie znów i przeliczałam pozostałe. Jeżeli rachunek się zgadzał, mogłam być pewna, że nikogo poza mną nie było. Przynajmniej ostatnio i w jego mieszkaniu. Chyba że te kurewki sanitariuszki brały pastylki? Podczas tropienia czułam się nie w porządku, bo przecież sama byłam nielojalna. Niestety, nie umiałam inaczej.

Lolotka po imprezie przesłała mi treściwe sprawozdanie: „Żebyś ty widziała, jak się toczyłam do domu! A jakiego miałam kaca!”. W poniedziałek szkołę ominęła szerokim łukiem. Na szczęście po wagarach poszła po matkę, a wraz z nią do przychodni. Udało im się zabukować termin u psychologa za dwa tygodnie, bo jeden ze stałych pacjentów przełożył wizytę.

Moja nimfetka przyznała mi się, że rok temu przezimowała w tej samej klasie przez depresyjne psychostany. Wtedy nie dała się namówić na leczenie, a jej rodzice nie nalegali zanadto. Mieli swoje problemy na głowie. Znajdowali się na krawędzi rozvodu przez alkoholizm ojca. Ech, skąd ja to znałam? Matka nie złożyła pozwu w złudnej nadziei na poprawę, a zapisanie córki do lekarza odraczała z podobnego powodu. Nie miały najlepszego kontaktu, więc dobrze, że tym razem się udało, wspólnymi siłami. O szczegóły akcji nie dopytywałam. Nie obchodziły mnie, liczyły się wyłącznie efekty.

W zmaganiach o zdrowie lolitki nareszcie miałam zyskać realnego sojusznika. Przyrzekłam sobie, że dopóki nie pójdzie na tę pierwszą wizytę, nadal będę pełniła niewdzięczną rolę terapeutki. Pocieszałam się, że to już niedługo, i dawałam się wciągać w kolejne sesje zwierzeń. Do przesytu, zmęczenia i spotęgowania poczucia hipokryzji, bo chora leczyła chorobę. Raz moja „pacjentka” przyznawała z dumą, że złe nastroje ją rozwijają, że dzięki nim patrzy na wszystko z innej strony i ćwiczy kreatywność. Potem zgadzała się ze mną, że na dłuższą metę ją hamują. Z nienawiścią do siebie załamywała ręce nad tym, jaka jest żalosna.

– Po co mi psycholog? – pytała. – Ja nigdy z tego nie wyjdę! Jestem zerem, zerem absolutnym!

– Nie jesteś! I wyjdiesz, jeśli podejmiesz próbę wyjścia. Prawdziwą. Ja mogę gadać, ale to ty musisz dojrzeć do zmiany. Żeby naprawdę zacząć z tym

walczyć, a nie żeby to była walka na pół gwizdka.

– Muszę dać radę. Muszę! – zarzekała się.

Byłabym spokojniejsza, gdyby powiedziała „chcę”.

Odreagowywałyśmy trudne rozmowy o trudnych sprawach numerkiem. I następny, proszę. Doszło do tego, że gdy mijałyśmy się na szkolnym korytarzu, nie widziałam jej, a kuliste piersi, półkule pośladków i sekretny zakamarek między nimi. Dostałam kręcka na jego punkcie. Zgrałyśmy się również w tym, bo ona uwielbiała pieszczoty w tym miejscu. Poznałam tę część jej ciała także ustami i językiem.

Kiedy całowałam ją tam po raz pierwszy, klęczała na białej pościeli. Rozsunęłam jej pośladki, a ona położyła swoje dłonie na moich dłoniach. Pragnęła, żebym rozchyliła ją szerzej. Pomrukiwała, czując tam czubek mojego języka i kropelki śliny. I nagle wyciągnęła ręce i przycisnęła do siebie moją twarz. Wpadłam w dwie miękkie poduchy i wsunęłam język głębiej, zupełnie, jak chciała. Nie puściła mnie i podrygiwała, szalona, potrząsając jędrnym tyłeczkiem. Zszokowana stałam się bezwolnym narzędziem w jej rękach. Sama nie wiedziałam, co właściwie czuję. Na pewno nie czułam upokorzenia. Przecież była moją bliźniaczką. Jej ekstaza równała się mojej.

Kto ją nauczył takiego odlotu?

Siebie nie pozwalałam pieścić w ten sposób; ciągle wzdrygałam się na myśl o przeżyciach, które wywołały u mnie takie, a nie inne podejście. Sądzę, że pewne pragnienia przerzuciłam na lolkę i zaspokajałam je poprzez nią. Przecież mogłam zrobić z nią wszystko. No, może poza jednym – nieraz marzyłam o zaciągnięciu jej na przerwie do szkolnej toalety i błyskawicznym zaspokojeniu nas obu. Nie odważyłam się. Szłam tam sama, gdy nie wytrzymałam napięcia, jakie we mnie wzbudzało marzenie, o widoku paziówny na lekcji nie wspominając. Masturbowałam się i wyobrażałam sobie, że oto sprawdzam, czy ona jest tam rozgrzana. Odsuwałam gwałtownie dłoń, jakby oparzona sobą, a tak naprawdę przestraszona, że zbyt długo zajmuję kabinę. Ta wiosna była naprawdę upalna, więc chyba nikogo nie dziwiły moje rumieńce po wyjściu?

* * *

Kiedy wpadałam w psychoseksualne transe z kochanką, zaniedbywałam kochankę. Skruszona najpierw wisiałam na telefonie, później na nim. Powtarzałam, że tęskniłam, skoro on lubił takie wyznania, które dodatkowo go rozpały. A jak dziękował mi za pełną lodówkę po weekendzie!

Latałam więc w tę i we w tę, w tę i we w tę. Istny goniec! Bycie w dwóch relacjach naraz nieraz wymagało czarów-marów, żeby utrzymać złudzenie, że to z tobą, tak, właśnie z tobą, łączy mnie wyjątkowa więź. Bez tego złudzenia nie miałam znakomitego seksu. A znajdowałam się w narkotycznym ciągu pożądania.

Nie opuszczałam erotycznego posterunku. Byłam zawsze wilgotną paletą,

pokrytą farbą, która nie zasycha. Tylko z niej brać, tylko w niej zanurzać pędzel. Wyczekiwałam chwili, gdy poczuję się, jakbym została nim przeszyta. Pulsował we mnie, aż stawałam się swoim środkiem, bardzo żywym i czułym, bezgranicznym. Unosiłam się niby w spazmie i opadałam. Dostarczał mi on też bólu, bo delikatne, a nadużywane narządy protestowały. Trzymając lusterko między nogami, krzywiłam się na widok ich zaczerwienienia. Kiedy pieczenie stawało się nieznośne, brałam rączkę prysznicową i polewałam się tam lodowatą wodą.

– Daj z siebie jeszcze trochę, błagam! – zaklinałam.

Innymi skuteczniejszymi kompresami na ból były... podniecenie i orgazm.

Tyle razy słyszałam, że jedyne ograniczenia tkwią wewnątrz nas. Czy mój ówczesny brak pewnych granic nie był osiągnięciem współczesnej filozofii? Podwójny romans potęgował ekscytację i doznania z każdym z kochanków. Ja, cyrkówka, wykorzystałam całą moją urodę i urok, aby wejść na nowy poziom wrażeń. Tak bardzo chciałam sprawdzić, czy uda mi się wykonać podwójne salto, że poniechałam ostrożności – tego samego dnia ściągnęłam do siebie lolkę i wojaka. Starannie pilnowałam czasu, żeby wymknąć się z jednych objęć w drugie. Stresowałam się jak cholera, ale udało się. W nagrodę za podjęcie ryzyka godzina po godzinie przez moje gardło przepłynęły ekstrakty męskości i kobiecości. Jednym słowem: ambrozja. Doznałam boskiej pełni. Czerpałam też dumę z tego, że tak dobrze się kryłam, aby ją dostać.

Nie dręczyłam się z powodu moich zdrad, ponieważ na żadnym z partnerów nie zależało mi do końca. Wydawało mi się, że jeżeli zacznę na którymkolwiek naprawdę polegać, zostanę zraniona i porzucona przy pierwszej lepszej okazji. Poza tym często, jeśli mówiłam szczerze, oni rozumieli mnie tak, jakbym posługiwała się językiem obcym. Największe porozumienie osiągałam dzięki uniwersalnemu językowi ciała.

Skupiając się na zadowalaniu kochanków i na byciu zadowolaną przez nich, dręczyłam się, że zbyt słabo koncentruję się na nauce i sztuce. By uciszyć te wyrzuty sumienia, spędzałam długie godziny w bibliotece uniwersyteckiej. Zresztą lubiłam przechadzać się między zapełnionymi po brzegi półkami. Zatrzymywałam się przy tych, które mnie interesowały. Sunęłam palcem po twardych grzbietach książek, od lewej do prawej, bez zatrzymywania się. Niech nie będą pewne, którą wybiorę – myślałam. Niech niecierpliwie czekają na uwolnienie z szeregu, żeby stać się wyjątkowymi w moich oczach i dłoniach. Kartkując tę wybraną, nie tylko przesuwałam wzrokiem po linijkach. Wsłuchiwałam się w szelest stronic. Sprawdzałam, czy papier jest gruby, czy cienki, chropowaty, czy gładki. Głaskałam śliskie ilustracje.

Wokół mnie rozciągała się uporządkowana cicha przestrzeń. Nawet nie było słychać kroków, bo tłumila je wykładzina. Zabierałam kilka publikacji ze sobą i

wiłam sobie z nimi gniazdko przy stoliku. Pisałam, rozważając pozycje lolitek na obrazach, jakże inspirujące, gdy rozkraczały się w samych pończochach, oraz ich równie ciekawe stany emocjonalne. Od znudzenia poprzez przekorę do rozwydrzenia. Zupełnie jakbym opisywała moje młode kochanki w różnych sytuacjach.

Życie idealnie spoiło się ze sztuką. Słowa pachniały dziewczęcą skórą: ciepłym mlekiem i obwarzankami. Ale też wbijanym w nią ostrzem, krwią dolewana do słodkiego mleka, znalazłam bowiem cały nurt z obrazami poranionych lolitek. Czasami urozmaicałam moje opisy cudzą poezją, dodając całości liryzmu, na jaki sama bym się nie zdobyła. Stanowiła piękne dopełnienie. Ta praca była kompozycją, w której starannie dobierałam akordy. By nie kusilo mnie bezustanne udoskonalanie, dawałam sobie limit czasu na napisanie danego rozdziału.

Kiedy pracowałam zbyt pieczołowicie i zamykałam się w bibliotece niby mniszka, wypominałam sobie, że opuściłam ukochanych. I tak w kółko. Z kompletem dotychczasowych doświadczeń próbowałam sporządzić odpowiedni grafik dni i nocy, żeby wystarczyło mnie wszędzie po równo, a poczucie winy znikło.

Paziówna prędko nim zachwiała. Poza lekcjami i starannie wytyczanymi spotkaniami zaczęła mnie na facebookowym czacie. Wysyłała nieskończone ilości romantycznych piosenek i zdjęcia swoich obrazów, a malowała nieprzerwanie. Jeśli mnie nie złapała, pisała istne poematy w esemesach albo telefonowała. „Będziemy zawsze razem!”, cieszyła się z całą naiwnością nastolatki. „Kochaj mnie nad życie!”, wygłaszała tonem rozkazu. Nie miałam najmniejszego zamiaru go wykonywać. Czułam się ostatnią żołą, skoro nie zależało mi na deklaracjach ściskających za gardło. One mnie podduszały.

Jeśli lolitce nie udawało się przyciągnąć mojej uwagi miłością, nie odpuszczała, a osaczała rozpaczą. Doszła do takiej wprawy, że układała całe scenki, które opisywała w wiadomościach. „Przepraszam bardzo, kto z państwa ma ochotę mnie stąd zabrać? O, pan się zgłasza! Dzień dobry, miło mi bardzo, więc pan jest chętny? Czy aby na pewno? Tak, proszę jeszcze przemyśleć, racja, i będziemy w kontakcie. Pani? Pani jest już prawie zdecydowana. Jeszcze ktoś? W takim razie będzie pani pierwsza na liście. Nazwisko? Śmierć? Nie, nie musi pani go literować, już zapisałam”.

Próbowałam przemawiać mojej aktoreczce do rozumu, żeby zeszła ze sceny. Oskarżałam ją, że pławi się w nerwicy. Stałam się naprawdę kłótniwa, bo czułam się, jakby to, co moje, wewnętrzne i ciemne, wypełzło z cienia. Syczało mi wprost do ucha, coraz głośniejsze i głośniejsze. Jeżeli lolitka była moim odbiciem, to raczej w krzywym zwierciadle.

Nie dawała mi nawet na moment odpocząć od siebie. Wyczerpana

zapraǳnęłam być offline na wieki wieków, zmienić numer komórki, ale nie mogłam zostawić dziewczyny. Nie w takim stanie. Ciągle dodawałam sobie otuchy myślą, że odkąd przekroczy próg gabinetu specjalisty, będzie zajmować się swoimi problemami z nim, a nie ze mną. Czekałam na ulgę.

Zamiast niej dostałam figę z makiem. Owszem, diagnoza została postawiona. Szablon dla lolitki nazywał się „borderline”. Wyczytałam w internecie, że osoby o takim zaburzeniu potrafią być równie cudowne, co nie do wytrzymania. No tak. Ale, ale, w niektórych przypadkach borderline tożsamość seksualna dorównuje niestabilnością nastrojowi!

Rozważałam, czy romans ze mną nie jest kolejnym syndromem tej przypadłości. A jeśli nimfetka jednak się rozmyśli? Przecież dopiero co kształtuje swoją tożsamość. A jeśli jej psycholog okaże się ultrakonserwatywny, ultrakatolicki? Uświadomi łatwowiernej nastolatce szarlatańskimi metodami, że ona jest jednak hetero? Próbowałam się opanować. Przekonywałam samą siebie, że takie szachrajstwo jest niemożliwe. Przecież sama najlepiej wiedziałam, jak intensywnej przyjemności doznaje lolitka, gdy kocha się z kobietą, uspokajałam się więc, że na pewno jest bi albo les. Poza tym ja raczej nie miałam borderline, a wciąż balansowałam między byciem hetero a homo.

Do niepokojącej diagnozy dołączyła nowa wizyta, u psychiatry, i recepta na prochy. Moja kochaneczka odpowiednio ją wykorzystywała, nie ma co! Na swoich imprezach popijała antydepresanty alkoholem, a później dzwoniła do mnie i bełkotała sprawozdanie z odjazdu. Po tym, jak minął mi pierwszy wstrząs, znalazłam na nią sposób – namawiałam ją do podania słuchawki innej pannie Lali z tego balu. Że niby chcę zapytać tamtą, czy też ma odjazd. A tak naprawdę błagałam nieznaną mi imprezowniczkę o przypilnowanie, żeby lolitka natychmiast zwymiotowała. Następnie brałam od niej numer. Dzwoniłam nie po pięć razy, a po dziesięć i upewniałam się, czy nimfetka klęczy nad klozetem. Czy wszystko zwróciła i nic się nie dzieje.

Kolejnego dnia główna bohaterka afery zachowywała się, jakby afery nie było. Przecież wyszła z niej cała i zdrowa. Oto feniks odradzał się z zarzyganych popiołów. Moje nadwerężone nerwy? O nich akurat nie pomyślała, ale obiecywała mi rychłą przemianę. Wypatrywałam jej z takim utęsknieniem jak kiedyś wizyty u psychologa. Oczywiście na marne. Osobowość mojej dziewczyny rozpadała się albo zawsze była równie rozchwiana. Psychowizyty wpłynęły na nią tyle co nic.

Właściwie nie poznawałam jej, odkąd wróciłyśmy znad morza.

Najbardziej bałam się sięgającej po nią ciemności, bardziej gęstej niż ta, którą znałam z autopsji. Młoda przebywała w niej za mgłą, której nie umiałam rozproszyc. Nie trafiałam do mojej dziewczyny prośbami ani groźbami. Wysłuchać niby wysłuchała, ale także puszczała je mimo uszu. Moje nawoływania, żeby stamtąd wróciła, pozostawały bez odpowiedzi. Chyba wcale nie chciała wracać.

Oddawała nastroje ołówkiem, zagarniając czernią rysika biel kartonu. Prace powstawały pod patronatem czaszki i skrzyżowanych pischzeli. Ukazywała na nich szkielety owinięte skrawkami brudnych bandaży, porzucone bezwładnie. Wciśnięte w siebie, żebro przy żebrze. Na obdrapanych murach, o które się opierały, majaczyły długie cienie. Owe rysunki kojarzyły mi się z tymi pracami Beksińskiego, których nie znosiłam najbardziej – patetycznymi kiczami prosto ze splądrowanego grobu.

Nimfetka najpierw przeniosła w swoje obrazy mnie, potem moje pożądanie, a teraz próbowała przenieść w nie, wzbudzić nimi moje przerażenie. Denerwowały mnie te zagrywki i moja bezsilność wobec nich. A jeżeli popadam w paranoję i przypisuję kochance intencje, których nie ma? – dumałam.

Wojak zauważył, że coś mnie trapi, i zapytał, co to takiego. Przełamalam się i wyjawiałam mu, że moja przyjaciółka, a dokładnie ta, z którą byłam nad morzem, właśnie ma swoje psychofazy. Opisałam je pokrótce. W opisie pominęłam jednak nie tylko to, kim rzeczywiście dla siebie jesteście, lecz także moje wnioski rodem z Radia Paranormalium.

Spodobało mi się, że on cierpliwie mnie wysłuchał. I nie owijał w bawełnę.

– Uciekaj od niej, gdzie pieprz rośnie – poradził.

Zgadzałam się, że powinnam tak zrobić, co nie zmieniało faktu, że nie umiałam. Na razie wyłączyłam przy nim swój telefon, ponieważ lolitka wydzwaniała przez cały czas. Nie obchodziło jej, że nie odbieram. Lecz ja w tej chwili nie zamierzałam zastępować jej psycholożki, psychiatry ani zostawać kierowniczką kolejnej akcji ratunkowej.

Skuliłam się na łóżku, a Czarek cudownie mnie głaskał. Ugłaskiwał mój stres. Wsunął mi dłoń między nogi, przypominając, że te czułości są przeznaczone przede wszystkim dla mnie jako jego kochanki. Nikogo innego, nikogo więcej. Wsadził ją pod bieliznę i muskał to, co pod nią ukryte. Ścisnęłam mu rękę udami, gdy pocierał moją łechtaczkę; chciałam zatrzymać ten gest, pograżyć się w nim bez końca. Gdy rozwarłam uda, wykonywał jeszcze powolne ruchy, ale wkrótce wzmógł ich tempo i moje doznania. Nie mogłam wytrzymać, że jego dłoń sunie przeze mnie, tańczy we mnie i mnie porywa. A on doskonale wiedział, że palcówka jest moją ulubioną pieszczotą. Wytarł mokrą rękę w moje włosy.

Po wszystkim nie ruszyłam się z miejsca ani nie zmieniłam pozycji. Nie przestawałam tętnić wewnętrzną siłą. Wojak swoim zwyczajem zakurzył papierosa. Milczenie, które zapadło, nie oddalało nas od siebie, ale zbliżało. Tyle razy żałowałam, że nie jestem lesbijką i przechodzę przez okrutne rozdwojenie. Przecież o niebo lepiej rozumiałam się z kobietami! Ale teraz wcale nie żałowałam, że pociągają mnie też faceci. Wszelkie zachowania wojaka wydawały mi się ultraracjonalne w porównaniu z tym, co wyczyniała lolitka.

Rozczarowałam się, że właściwie niczego nie nauczyłam jej od nowa, skoro

ona z taką łatwością wpadła w stare koleiny. Na początku odciągałam ją od destrukcji, choć rozumiałam jej typ myślenia i najchętniej spłynęłabym krwią razem z nią. Potem zapomniałam, co sama kiedyś przeżywałam, i chodziło mi już tylko o odpowiedzialność za bliską osobę. Porażającą, rzucającą mnie na kolana wobec borderline, którego nieprzewidywalności się bałam.

Moje ciepłe uczucia do lolitki rzeczywiście pogrążyły się w agonii. Kochanek udowodnił mi, że nie umrę razem z nimi, gdyż posiadam ciało pełne życia. Kiedy od niego wychodziłam, to życie ciekło po mnie cienką strużką. Szew dzinsów przyciskał majtki do pobudzonego miejsca. Wspólnie mnie tam drażniły.

Coś absolutnie nie do wytrzymania!

Siedząc w autobusie, na przemian zakładałam nogę na nogę. Zaciskałam i rozluźniałam mięśnie. Byleby znowu dojść, właśnie teraz! Nie przeszkadzało mi, że obok stoi wysoki brunet. Brunet wieczorową porą. Że jego krocze znajduje się na wysokości mojej twarzy. Śmiałam się z tego w duchu. Fantazjowałam, że robię mu, co trzeba. On patrzył w dal, niczego nieświadomy. Potracił moją nogę, kiedy autobus zahamował gwałtownie, pochylił się nade mną i przeprosił. Ciekawe, czy poczuł duszny, mdlący zapach, który unosił się z mojej fryzury i bielizny? Wyprostował się, a ja odwróciłam się do okna, bo właśnie nadchodziła ta chwila. Doszłam, a on wysiadł.

Wojak przyznał później, że miał nadzieję, że pomógł mi trochę odreagować. Nie zdziwiły mnie jego słowa – przecież na odreagowanie oboje znaleźliśmy i stosowaliśmy niezawodną metodę. Tak, pomógł mi. On i MPK.

Dopiero co, albo już następnego dnia, oglądałam nowy wyskok nimfetki, uwieczniony na zdjęciu. Zamieściła je na wszelkich swoich profilach, żeby nikt przypadkiem go nie przegapił. Zwłaszcza ja! Pozowała, siedząc przed lustrem, z maszynką do włosów w ręku. Podłogę pokrywały ścięte niebieskie pasma. Paziówna przestała być paziówną. Ogoliła się na zero!

Podpisała, że zrobiła to wczoraj. W swoim nowym wcieleniu uśmiechała się beczelnie.

„Jestem zauroczona i kurewsko dumna”. „Jesteś taka odważna i dzika”. „Mrraw, ale seksi”. No tak, im większy debilizm, tym większy aplauz.

Dla mnie fotografia była znakiem udreki, upodobania do dramaturgii i odróżniania się od reszty. A wszystko w wykonaniu panienki, która myśli, że jest pępkiem świata, i nie odcina pępownicy od chaosu. Mojej nie ukochanej, a przeklętej bliźniaczki.

Ona znów odważyła się na gest, który ja chowałam w głębi siebie. Przecież nie raz i nie dwa chciałam ogolić sobie włosy. Nie tylko z buntu, żeby raz na zawsze zakończyć starania o własne piękno, które i tak nie były w stanie mnie zaspokoić. Również z rozpaczy, żeby ujawnić wreszcie własne cierpienie. Lecz dopiero bliźniaczka uświadomiła mi beznadziejność tego pomysłu. Łącznie z

emocjonalnym ekshibicjonizmem. Powinna dodać zdjęcia żyletek do kompletu. Najlepiej upstrzonych kropelkami krwi jak gówienkami much.

Wysłałam na spacer, żeby odetchnąć, uspokoić się i pozbierać myśli. Czy ona nie zrobiła tego wszystkiego, bo nie odbierałam telefonu? Czy gdybym odebrała, posłuchałaby mnie? Zostawiłaby włosy i siebie w spokoju? Chciałam zakląć tę wariatkę w artystyczną romantyczkę, lolitkę, kruchego ptaka. W moje marzenie. Ona uczyniła je marzeniem ściętej głowy. Uwielbiając mnie, oddając mi swoje ciało, nie otworzyła rajszych bram, a klatkę. Zapędziła do niej też swoje udreki.

Sama była taką udreką!

Czy zaburzeniami osobowości da się wytłumaczyć krzywdzenie innych? Nie mnie było o to pytać, bo i ja krzywdziłam. W tym siebie. Czy po odłożeniu żyletki, wyparciu swojej ciemnej strony, przerzuciłam ją na spotkaną uczennicę? A ona ją przyjęła, więc stała się jeszcze gorsza? Dozorczą w klatce stało się moje wieczne poczucie winy. Jak miałam się stamtąd wydostać? Czym przepiłować kraty? Chciałam wyjść, tak bardzo chciałam wyjść, zachować głowę na karku!

Lolotka wciąż odstawiała akcje przyprawiające o jej zawrót, ale wciąż niczego mi nie zarzucała. Nawet tego, że zapłonęłam do niej uczuciami podobnie jak świeca, która ma piękny, wysoki płomień, lecz szybko się wypala. A musiała to wyczuć, gdy odmawiałam jej spotkań, ratując się byle jakimi wymówkami. Zostawienie mnie w spokoju w ogóle do niej nie pasowało.

Właśnie kończył się przedostatni tydzień moich praktyk. Nimfetka wychodziła jako ostatnia z naszej piątkowej lekcji. Nie umiałam spojrzeć na nią bez bólu, chociaż do szkoły owijała głowę chustą. Nikogo poza nami nie było w klasie. Drzwi pozostawały otwarte na oścież. „Ulubienica” swoim dawnym zwyczajem zatrzymała się przy moim biurku. I nagle wpiła się w moje wargi. Każdy, kto przechodził korytarzem, mógł nas zobaczyć! Oderwałam się od niej szybko.

Wybiegła z głośnym szlochem.

Wytarłam usta wierzchem dłoni. Nie ścierałam z nich miłości, a rozpacz, namiętą i niedojrzałą.

Po weekendzie dostałam oficjalne zaproszenie na dywanik. Nie udawało mi się ukryć zdenerwowania, choć plastyczka przekonywała mnie, żebym się nie przejmowała, bo podobno dyrektorka chce tylko podpisać moje dokumenty.

Oczywiście nie przygotowała dla mnie żadnych papierów. Cierpkim tonem, godnym siostry przełożonej, oznajmiła, że wie o tym, że jestem zbyt blisko z jedną z uczennic.

Ciekawe, od kogo się dowiedziała? Nie zdziwiłabym się, gdyby lolitka sama jej nakablowała. Skoro otrzymałam od niej judaszowy pocałunek...

Dyrektorka nie zamierzała jednak wyjaśniać i nagłaśniać „skandalicznego incydentu”, jak go nazwała. Zapewne sama chciała uniknąć problemów, że do

niego dopuściła. Miałam się natychmiast zabrać ze szkoły, oczywiście z niezaliczonymi praktykami.

Nie miałam nic na swoją obronę.

W myślach rozbrzmiewało mi zapamiętane z apeli hasło: „Sztandar szkoły wyprowadzić”.

Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, wybuchnęłam śmiechem. Histerycznym, bo tempo wydarzeń i one same nie mieściły mi się w głowie. Z drugiej strony może to los mi dopomógł, żebym nie męczyła się w roli nauczycielki? I żebym oblała podyplomówkę? Znakomicie. Jeszcze tylko obleję magisterkę i fajrant.

Po drodze do domu zahaczyłam o monopolowy. Już z butelką próbowałam rozsądzić, czy bliżej mi do skurwiela, sięgającego po intymność bez skrupułów i zobowiązań, czy do kurwy, rozdającej własną intymność lekką ręką. Pewnie byłam i nim, i nią naraz. Zawsze dwa w jednym. Miałam wrażenie, że Czarek razem z lolitką wiedzą wszystko o moich zdradach. W ramach zemsty zawiązali spisek, żebym czym prędzej odjechała na sygnale, zawinięta w kaftan bezpieczeństwa.

Witamy w psychuzszce!

Nie pamiętam, ile wypiałam. Pamiętam natomiast, że wódka wspaniałomyślnie likwidowała moje problemy. Dodawała mi rumieńców. Przyśpieszała puls. Sprawiała, że przepływało przeze mnie ciepło, a zaraz po nim ukojenie. Była doświadczoną kochanką, której nie trzeba pouczać, w jaki sposób ma sprawiać satysfakcję. I kochanką przewrotną, ponieważ równie dobrze przyprawiała o migrenę kolejnego dnia. Ledwie ustał ból głowy, a sytuacja dotarła do mnie powtórnie, z całą mocą. Nie mogłam ciągnąć jej w nieskończoność, bo wtedy naprawdę bym zwariowała.

Po czasie zdań pytających nadszedł czas zdań oznajmujących. Nie kocham Czarka. Używaliśmy siebie, to wszystko. Nawet ten wymarzony taniec krok po kroku poprowadził nas do jednego, zupełnie jak w pornolu. Ba, układy między aktorami pieprznych filmów są chyba bardziej klarowne niż nasz popieprzony układ. Nie kocham również lolitki. Jej charakter obrzydził mi nimfetki, kobiety w ogóle, siebie samą. Poza tym nie chciałam stać przy niej rano, wieczór, we dnie, w nocy, żeby zawsze być bidulce ku pomocy. W łóżku nigdy nie zgrywała bidulki!

Wypominałam sobie, że impulsywnie wpakowałam się w raj, w którym soczyste owoce zamieniły się w zgniłe. Zamiast jednak się nimi karmić, wołałam zerwać z kochankami. Kiedyś bardzo bałam się, że oni mnie porzucą, tymczasem właśnie zamierałam porzucić ich pierwsza. Oto ironia losu.

Napisałam do nimfetki, że koniecznie musimy pogadać. Nie wdawałam się w szczegóły, żeby nie odmówiła. Umówiliśmy się na mieście.

Ono żyło swoim życiem. Kamienice sypały się bądź rewitalizowały. Na kostce brukowej szczyrzył się różowy kleks lodów, lecz mnie nie było do śmiechu. Żołądek skręcał mi się w nieznany, ale nieprzyjemny kształt. Skręcił się mocniej,

gdy zobaczyłam ogoloną głowę nie tak dawnej ukochanej. Silny wiatr przerzucił moje włosy z pleców na twarz, a one okręciły się wokół niej. Kiedy je odgarniałam, kontrast między nami uwypuklił się jeszcze boleśniej.

Jej oczy, słowo po moim słowie, napępniały się łzami. Znow szlochała na cały głos, aż drżały wątłe ramiona. Tyle razy gładziłam je uspokajająco, ale teraz nie mogłam ich ani pogłodzić, ani obetrzeć mokrych policzków. Wtedy wszystko zaczęłoby się od początku i nigdy nie wy dostałabym się z klatki.

Tak dobierałam kolejne zdania, żeby mnie z niej wypuściła. Wyjaśniałam, że ja też jestem rozchwiana i że nasze rozstanie wynika właśnie z tego stanu. Wzięłam winę na siebie, żeby młoda się uspokoiła, ale ona i tak płakała nieprzerwanie. Przypominała mi bardzo kruche naczynie, którym grzmotnęłam o ziemię, a ono rozpadało się na coraz to nowe kawałki.

Odprowadziłam pogruchotaną i zdruzgotaną kochankę do tramwaju. To było najbardziej ponure odprowadzanie w moim życiu. Ona wlokła się noga za nogą, a przecież nie wypadało mi jej popędząć. Ludzie, siedzący w ogródkach knajp, które mijaliśmy, podzwaniiali sztućcami, wycierali usta serwetkami, przełykali piwo i oglądali się za nami. Tacy pewni siebie, tacy normalni, tacy piękni i tacy brzydzy. Wkrótce nie podnosiłam już oczu znad chodnika, żeby nie rejestrować ich obrzydliwego zainteresowania.

Kiedy wreszcie zostałam sama, nie opuszczał mnie brzęk tłuczonego szkła. Próbowałam go zagłuszyć. Przecież miałam prawo do takiej, a nie innej decyzji! Owszem, przeżyliśmy piękne chwile, ale nie wytrzymałam napięcia. I tego cholernego borderline.

- Tłumacz się, tłumacz! – krzyczałam w myślach na siebie.
- Mam prawo do poczucia bezpieczeństwa w związku.
- Tłumacz się, tłumacz, samą siebie przekonaj!
- Ona wypijała mnie jak pijawka.
- To ty jesteś pijawką!

Z tym przekonaniem położyłam się spać.

Przed północą zawibrowała moja komórka, którą trzymałam przy poduszce.

Odczytałam wiadomość od lolitki. Najpierw z niedowierzaniem, jakby mi się śniła. Przetarłam oczy i odczytałam ją raz jeszcze, z przerażeniem.

Napisała, że właśnie otworzyła nowe pudełko swoich tabletek i połknęła jedną po drugiej, do ostatniej.

Litery zaczęły skakać mi przed oczami, a telefon wypadł z rąk. Nie dawałam rady go podnieść, zupełnie jak unieruchomiona zaklęciem, a raczej kłutwą. Przypomniało mi się, że chciałam pozbyć się siebie w podobny sposób, i rozpamiętywałam tamtą sytuację. A tu należało ruszyć się, działać, zaalarmować jej matkę albo pojechać do ich mieszkania. Natychmiast!

Schyliłam się po telefon. Wyobraziłam sobie, że jestem spokojna, bardzo

spokojna i zrobię wszystko, co trzeba. Próbowałam się do niej dodzwonić, ale nie odbierała. „Napisz mi swój adres”, wystukałam w esemesie. I nic. A wiedziałam tylko, na jakim osiedlu mieszka.

Wcisnęłam numer dziewczyny, z którą moja eks często chodziła na imprezy i która pilnowała jej klęczenia nad sedesem w odpowiednich chwilach. Odebrała po trzech moich próbach, oczywiście zaspana, jak ja.

Wyjaśniłam sytuację bez ogródek, błagając ją o podanie adresu nimfetki. Mówiłam, że wtedy zatelefonuję po pogotowie i sama do niej pojedę. Ale tamta po mojej relacji wcale nie była roztrzęsiona. Powiedziała, że lolitka tylko mnie straszy – wspominała o tym, w co chce mnie wkręcić, a ona nie wybiła jej tego z głowy i stało się. „Tylko”, „i stało się”!

Mimo wszystko nie przestawałam prosić o adres.

Nie było jednak mowy o uzyskaniu go od niej. Dziewczyna uznała, że niepotrzebnie wywołam panikę i odtąd nimfetka będzie miała przechlapane u matki na amen. Nie miałam pojęcia, czyją stronę ona trzyma i która z nas do rana padnie trupem. Niedoszła samobójczyni wciąż nie odpowiadała na moje próby nawiązania kontaktu. Na szczęście odpowiedziała na wiadomość od przyjaciółeczki, która zachowała resztki przyzwoitości i powiadomiła mnie, żebym się nie przejmowała. U lolitki wszystko gra, a strachy są na Lachy. Nie skłamała.

Rano moja była dyżurowała na fejsie i wstawiała odpowiednio depresyjne cytaty. *Can you hear the silence? Can you see the dark? Can you fix the broken? Can you feel... Can you feel my heart?*^[8]

Nieracjonalna część mnie powtarzała, że powinnam zachować się jak ona. Żeby dokonała się moja pokuta. Pokuta za zbrodnię, że obdarzyłam uczuciami niezwykle wrażliwą dziewczynę i te uczucia jej odebrałam. A kto daje i odbiera, z tym wiadomo, co się staje. Niszcząc bliźniaczkę odejściem, zniszczyłam pewnie część siebie.

Czekało mnie jeszcze rozstanie z Czarkiem. Ciekawe, jak on zareaguje – zastanawiałam się. Powiesi się przeze mnie? Uspokajałam się, że przecież lolitce nic się nie stało. Tyle że ja trzęsłam się tak, jakby stać się miało! Kiedy o tym myślałam, dostawałam dreszczy i mdłości, na przemian.

Wojak nie rozglądał się za sznurkiem ani nie budził we mnie poczucia winy w inny sposób. Natomiast koniecznie pragnął poznać przyczynę mojej jakże nagłej decyzji.

– Od pewnego czasu chcę być sama. Bałam się powiedzieć ci o tym. Muszę skupić się na magisterce. Wisi nade mną jak siekiera. – Wymyśliłam na poczekaniu.

W rosnącym napięciu czekałam, aż on otworzy zaciśnięte w kreskę usta.

– Nie wierzę ci, wiesz? Ukrywasz to, co najważniejsze – oznajmił. – No nic. Nie będę cię wypytywał, bo to nie ma sensu. I tak nie będziesz szczera.

Kiedy do mnie mówił, jego twarz przypominała maskę. Dobrze znane mi spojrzenie stało się nieprzeniknione, ciemne aż do dna. Ja za to poczułam się przejrzana na wylot, przyłapana na gorącym uczynku.

Nie próbował mnie zatrzymać. Pewnie dlatego, że takich jak ja mógł mieć na pęczki. Mimo wszystko żal mi było naszej znajomości i jego... posągowej urody.

Kiedy wracałam od wojaka, nudności nie dawały mi spokoju. W akademiku nie mogłam ich znieść – z mojego gardła wydobył się śmierdzący strumień wszystkiego, czego w życiu nie dałabym rady wypowiedzieć. Nawet teraz, wyrzucając to z siebie, krztusiłam się. Jednak uczucia wagi ciężkiej nadal uparcie siedziały mi na żołądku. Nie chciały go opuścić i tym samym uwolnić mnie od swojego ciężaru. Dopiero po zobaczeniu na dnie sedesu kropli krwi przestałam próbować się ich pozbyć.

Od roku nie miałam współlokatorki. I nie chciałam mieć żadnego świadka moich wzlotów i upadków. W tych okropnych dniach i podczas okrutnych nocy najbardziej brakowało mi tej, która dawniej mnie nie opuszczała, bez względu na wszystko. Żyłki. Nie posiadałam już żadnej, musiałabym zatem sprawić sobie nową. I nikt nie dowiedziałby się o tym, skoro właśnie z nikim nie byłam. Przewracałam się z boku na bok i zastanawiałam się, czy poprosić o ostrą pomoc, czy jednak nie.

A co tam! Zarzuciłam płaszcz na piżamę i poszłam poprosić o nią w najbliższej drogerii. Nie przejmowałam się spojrzeniami przechodniów ani innych klientów. A później usiadłam na brzegu łóżka i drżącymi dłońmi odwijalam ją z papierka. Błyszczała, piękna i efektowna jak zawsze.

Popatrzyłam na swoje uda. Blizny bladły i zdawały się powoli wsiąkać w skórę. Właśnie miałam popsuć ten efekt, i to za jednym zamachem. Przerwać łańcuch. Wrócić do punktu wyjścia albo cięcie za cięciem dojść do samego końca.

Zrezygnowałam wyłącznie ze strachu przed ostatecznością. Czerwone pisaki musiały mi wystarczyć. Wymalować resztę mojego cierpienia. A może i całe? Od nowa.

Prześladowała mnie myśl, że sama dopuściłam do takiego, a nie innego obrotu spraw. Przez chciwość i zachłanność na doznania, jakże egoistyczną. Moja orientacja nie była łaską – w połączeniu z taką osobowością, temperamentem i pomysłami stanowiła ładunek wybuchowy. Granat! Owoc, od którego wziął on nazwę, wypełniają drobne czerwone ziarenka, symbol płodności i nieskończoności. Ich moc nie kończy się nigdy, moja nie była niewyczerpana. Pragnęłam wyrzec się biseksualizmu. Nie chciałam być dłużej jego ofiarą i nie życzyłam tego komukolwiek. Wmawiałam sobie, że wcale nie jestem bi, a tylko tak mi się wydaje.

Ot, urojenie, do kompletu urojeń.

Obiecałam sobie, że koniec z podwójnością. Pora zdecydować się na jedną

pleć – jedną, jedyną osobę – i trwać przy niej. Tak postępują normalni ludzie. Chciałam postawić na miłość, której nie potrzeba szaleństw. Bo ona sama jest szaleństwem, gdy ogarnia nie tyle ciało, ile duszę. Erotyczne akrobacje jej nie zastąpią.

Tylko taka miłość była w stanie mnie ukoić.

ROZDZIAŁ IV

Niewinność z odzysku

Już kiedyś kochałam całą sobą. Ile razy można do tego wracać? A co znaczą te rachunki przy wyroku przeznaczenia?

Nieudane, dopiero co zakończone relacje również nań wskazywały. Musiałam przez nie przejść, by zrozumieć, że Igor jest dla mnie, żaden inny. I ja jestem dla niego, żadna inna. Jeżeli ma inną, na pewno ją rzuci, kiedy już wpadniemy sobie w objęcia.

Połączyła nas przecież więź, z którą pozostałe nie wytrzymały konkurencji. Zdania zawsze nam się kleiły, obojętnie o czym. Lubiliśmy czytać sobie na głos, obojętnie co. Oglądaliśmy filmy, obojętnie jakie, aż oboje mieliśmy zaczerwienione oczy. Po prostu on nadawał każdej czynności sens i charakter, nawet odmalowaniu kuchni po pożarze, który sam wywołał. Przeżyliśmy razem rzeczy możliwe i niemożliwe. Wybaczalam mu wszystko, od razu, od ręki. Z nim nie groził mi żaden schemat.

Zapętlalam piosenkę Czerwonych Gitar, dobrze mi znaną z imprezowego repertuaru ojca. Najgłośniej wtórowałam przy słowach: *Rzuć między nas najdłuższy rok, najskrytszy żal, najgłupszy błąd. Rzuć między nas to, co w nas złe, a ja i tak odnajdę cię*^[9]. Odnajdę! Nie czas przecież się liczy, a intensywność uczuć. Prawdziwa miłość przetrzyma wszystko. Igor będzie mi wdzięczny za przełomowy krok ku niej. Ku niemu. Ku nam.

Istniały i mniej romantyczne przyczyny planowanego powrotu. Dostawałam trzęsionki na myśl o otwieraniu się przed nową osobą. A ile można było siedzieć ze śmierdzącym kołtunem, w powyciąganym swetrze i podartych rajstopach? Jak młodsza, niedorobiona siostra Bridget Jones.

Tęskniłam za stanem zakochanej manii.

Nieźle wygłodziłam się również dosłownie. Najpierw nie dojadłam, bo pędziłam, niesiona obowiązkami, stresem, ale i tańcem z obiema płciami (dorównałby wspaniałością tańcowi Salome, gdybym sama prawie nie straciła głowy). Po krachu podwójnego romansu nie chciało mi się nawet wychodzić do sklepu po jedzenie. Każde wyjście wymagało doprowadzenia się do jako takiego porządku. Poza tym mało co mi smakowało. Pusty brzuch dawał takie poczucie lekkości, jakbym uwalniała się od ciężaru dawnych win. Gromadziłam je z przyjemnością, lecz kiedy przeglądałam ich kolekcję po czasie, zrobiła na mnie odstręczające wrażenie. Pozwalałam głodowi przyssać się do żołądka, byleby ją pochłaniał. Gdy zrzucałam kolejną skórę, stawałam się podobna do węża.

Zawsze byłam dość szczupła, więc parę kilogramów w dół sprawiło, że

wyglądałam jak cherlawy Zgredek z wielkimi oczami. Nie powiem, że wygląd nie przypadł mi do gustu. Co z tego, że przy temperaturach powyżej dwudziestu stopni telepałam się z zimna? Chudość nie tylko przywracała niewinność wydrażonemu na wskroś ciała. Na chudym ciele było również mniej miejsca na zmarszczki, rozstępy, pokrzywki, pryszcze. Niestety, kiedy obrałam nowy cel, musiałam zakończyć głodówki. Dożyć się, nawet na siłę, żeby nie opadać z sił. Wpaść ponownie w rytm pielęgnacji. Nowy cel wydawał mi się wart nacierania ciała peelingami i balsamami, rozczesania kołtuna i tak dalej.

Aż w końcu ruszyłam dupę, już o skórze gładkiej jak u niemowlaka. Wydobyłam od wspólnych znajomych, których nie cierpiałam, obecny adres Igora; grunt, że na cokolwiek mi się przydali!

Były nadal mieszkał w Warszawie, na Pradze, ale przeprowadził się o kilka bloków dalej. Postanowiłam odwiedzić go bez zapowiedzi. Nie mieściło mi się w głowie, że nie zastanę nikogo albo że on odeśle mnie z kwitkiem. Skoro jesteśmy sobie przeznaczeni, los musi nam sprzyjać.

Jednak domofon nie odpowiadał na moje wołania. Cóż, losowi czasem trzeba dopomóc. Czatowałam, dopóki nie udało mi się dostać na klatkę schodową z całkiem zgrabną sąsiadką.

– Mojemu przyjacielowi chyba pomyliło się, o której miałam przyjść – powiedziałam i przycupnęłam na schodach w pobliżu drzwi.

Dziewczyna minęła mnie obojętnie i przystąpiła do wspinaczki po schodach. Z przyzwyczajenia obejrzałam się za nią, lecz szybko znikła z mojego zasięgu.

Postanowiłam, że jeśli Igor nie pojawi się do wieczora, ja wracam do Łodzi. Głośno burczało mi w brzuchu i zasychało w ustach. Mimo to nie ruszałam się z miejsca, żeby nie przegapić jego powrotu. Kiedy drzwi do klatki otwierały się, wstawałam i przechylałam się przez poręcz. Jednak nikt, kto wchodził na schody, nie był nim. Zastanawiałam się, czy nie pomyliłam adresu albo nie dostałam niewłaściwego. No nic, skoro siedzę tu już trzy godziny, mogę posiedzieć kolejne – myślałam. Przysypiałam i trwałam. Przysnęłam i trwałam.

To on potrząsnął moim ramieniem.

A ja patrzyłam w milczeniu w jego oczy – samo szczęście w kolorze czterolistnej koniczyny – i nie wstawałam z tych schodów, jakby przyklejona do nich na Super Glue. Nie wierzyłam, że Igor jest tuż obok, zmaterializowany ze wspomnień, nic niezmienny. Że nie mam zwidów z głodu, z pragnienia, z senności.

Wyciągnął do mnie ręce. Wtedy podniosłam się i przykleiłam się do niego. Wtulił nos w moje włosy; pewnie pachniały czekaniem. Miał nagrzaną słońcem skórę. Widocznie nie schładzała się z dniem, który dobiegał końca.

W mieszkaniu nie spuszczałam go z oka. Chodziłam za nim krok w krok, żeby na pewno mi nie zniknął. Kiedy przez nieuwagę przycupnęłam na krześle, od

razu wstałam. Asystowałam mu, gdy otwierał szafkę. Postawił na stole talerz, a ja, dokładnie naprzeciwko, drugi. Przytrzymałam pod powiekami ciepłe łyży i wyjmowałam z szuflady po dwa widelce i dwa noże.

Resztki makaronu z resztkami sosu smakowały mi wybornie. Igor natrząsał się, że mamy potrawkę prosto z domu dziecka, a ja się nią zachwycam. Pierwszy raz od tygodni jadłam ze smakiem, bo to on mnie karmił. Najwykwintniejsze danie świata nie dorównałoby tej odgrzewanej brei. Żadne: „Co u ciebie?” na razie nie padło. Igor zestresował mnie tylko uwagą, że zmizerniałam, ale migiem to naprawił. Jego otwartość, witalność i naturalność oczarowały mnie ponownie.

Wino, które przezornie ze sobą przywiozłam, miało zebrać resztki napięcia. Ale i tak bałam się, gdy on niósł mnie na rękach do łóżka. Podczas głodzenia się gasła we mnie erotyczna energia. Nie, nie sama z siebie – na złość sobie ją gasiłam. Martwiłam się, że tym razem ona zrobi mi na złość i nie pozwoli się rozniecić.

Ciało Igora znałam jak żadne. I w ogóle nie obchodziło mnie, czy jest ono posągowe, czy nie. Ukochany nie był niewolnikiem jego syzyfowego kultu. Nie odmierzał sobie jedzenia z geometryczną dokładnością. Na siłownię to chodził, to nie chodził. Brzuch raz miał twardy i napięty, raz wystający i mięciutki. Akceptowałam go zawsze, lecz do siebie miałam zupełnie inny stosunek: często obawiałam się, że nie jestem dla danej osoby wystarczająca. Dawniej nadrabiałam pozowaniem na wampa, prowokacyjnego kociaka. Lecz teraz przed Igorem nie umiałam przybrać tej pozy.

Byłam więc zadowolona, że on od razu przejął kontrolę. Pod jego dłońmi zacierały się odciski innych palców na mojej skórze. Nacierał ją sobą, aż przeszłam nim na wylot. Łącząc się z nim, złączałam się z tym, co było, jest i będzie. Naraz. W końcu rozplakałam się, a moje łyży wsiąkały w jego policzki. Razem z nimi spływały ze mnie strach i ból, nagromadzone w samotności. Właściwie żałowałam, że Igor nie był moim pierwszym i jedynym mężczyzną – ale miał nim pozostać. Dopadła mnie ulga, że w świecie nieskończonych wyborów nareszcie wiedziałam, kogo wybrać.

O tym, co u nas się działo, porozmawialiśmy dopiero rano. Przyznałam się do akcji z Majką, do nieudanego pomysłu na belferską karierę, do podwójnego romansu i jego burzliwego zakończenia. Ukochany nie pochwalał niczego, ale i nie krytykował. Zadawał całkiem celne pytania. Nie dziwił się żadnej odpowiedzi, jakby one doskonale do mnie pasowały. Ożywił się, kiedy przyznałam, że wszystkie osoby, z którymi romansowałam, nie równały się z nim. I że nikt nie będzie się z nim równał. Wyjawiał wtedy, że sam nie stronił od damskiego towarzystwa. Nie chciał wtajemniczać mnie w szczegóły, ale z żadną z tych kobiet nie poszedł do łóżka.

Był więc mój, naprawdę mój!

Kiedy wspomniałam o odstawieniu żyletki, stwierdził, że jego nałogi

również przestały dawać mu to, co dawniej. Chciałam wierzyć w te zapewnienia, więc uwierzyłam. Podążył jeszcze innym z moich śladów – pracował w księgarni, zupełnie jak ja poprzedniego lata. Z tą różnicą, że sprzedawał książki psychologiczne.

Powtórzył, że schudłam i że nie jest mi z tym do twarzy. Zastanawiał się, czy nie popadam w anoreksję. No tak, nie byłby sobą, gdyby nie wynalazł mi następnej choroby!

– Parę kilo poleciało mi z nerwów, teraz jest okej – ucięłam.

Nie postawiłam przed nim całej miski moich parujących flaków. Ani mru-mru o tym, że przez ostatni miesiąc głodziłam się, wymiotowałam, miałam wielką ochotę się pokaleczyć. Dlatego że odcięłam od siebie połowę świata, tę, w której rzęsy cienkimi czarnymi koniuszkami prawie stykają się z brwiami. Tę, w której piersi wychylają się zmysłowo zza dekoltu. Tę, w której uda lekko stykają się ze sobą tuż pod tym miejscem. Nic nie było w stanie oddać mojej rozpacz, oprócz „mizernienia”.

Za to Igor wydawał mi się o wiele spokojniejszy niż dawniej. Bardziej refleksyjny, wręcz wyciszony. Wrażenie nie było mylne, powrócił bowiem do praktykowania buddyzmu! Regularnie medytował i uczestniczył w specjalnych spotkaniach. Zaproponował, żebyśmy pojechali jutro do buddyjskiej świątyni. Zgodziłam się.

W drodze do niej przypomniały mi się moje dawne niedzielne wizyty w kościele. Tu wszystko było dla mnie nowe. Kiedy zdjęłam sandaalki, spacerowałam po ośrodku boso. Nie wiedziałam, czy drzę dlatego że podłoga jest zimna, czy dlatego że się denerwuję. Igor ironicznie zapewniał, że mnie tu nie zjedzą. Nie o to chodziło. Po prostu nie chciałam wtargnąć do modlitewnej sali jak słoń do składu porcelany. Nie miałam czasu na dalszą dyskusję ani wyjścia. Zaszumiały szerokie podwójne drzwi, które mój mężczyzna rozsunał przede mną.

Na stosie w kącie leżały maty; widok prosto jak z sali gimnastycznej. Do tego poduchy. W ślad za ukochanym wzięłam taki komplet i rozłożyłam pod ścianą. Wsunęłam poduchę pod tyłek. Usiadłam na niej w znienawidzonej pozycji po turecku, bo wszyscy siedzieli w takiej samej. Z tym że im było wygodnie, a mnie wcale. Przed sobą miałam ołtarz główny, z fotografią Dalajlamy, złocistym posągiem brzuchatego Buddy, oraz dwa boczne mniejsze ołtarze. Ozdabiały je podłużne obrazy z gmatwaniną wielorękich bóstw, pełne skłębionych kształtów i intensywnych kolorów. Poza tym dominowały biel, koncentracja i cisza. Nikt nie mrucał mantr, a szkoda, bo chętnie bym dołączyła.

Nastrój zakłócił mężczyzna, który rozłożył swoją matę przed jednym z bocznych ołtarzy. Padał na ziemię z hukiem, który zdawał się potęgować jego zapamiętanie w pokłonach, moim zdaniem zbyt ostentacyjnych. Zaintrygowała mnie też kobieta, która rozsiadła się pośrodku w obszernej szacie. Chyba specjalnie

rozłożyła ją tak, żeby zajmować jak najwięcej miejsca. Kojarzyła się z namiotem. Brakowało tylko powtykanych wokół śledzi.

Igor wyciągnął z kieszeni buddyjski różaniec. Ja zastanawiałam się, czy wstać i podejść do stolika, na którym widziałam broszurki z modlitwami. W końcu podniosłam się z nudów, ale nie potrafiłam skupić się na czytanej treści. Zapamiętałam z niej tylko cztery zalecane postawy: miłość, współczucie, współradość i bezstronność. Trzy pierwsze były piękne, czwarta do mnie nie przemawiała. Nie przestawałam się rozglądać wokół. Zwróciłam uwagę na kobietę z większym brzuchem niż Budda. Gdzie tam jemu do niej, najprawdziwszej bogini! Nosiła drugie serce pod swoim. Przechodziła przez salę całkiem energicznym krokiem, tylko migały nogi w turkusowych rajstopach. Na jej twarzy malowały się zalecane szlachetne postawy, podobnie jak na twarzach innych ludzi stąd. Wydawali mi się pogodzeni z tym, co wewnętrzne i zewnętrzne. Emanowali tą zgodą. Kontrastowali ze światem pełnym kurw, skurwieli, psycholek, psycholi. Ze światem, w którym matki i tatki zajmują się wyrządzaniem dzieciom krzywdy, a one ładują ją do plecaka i niosą dalej. Nie wytrzymują tego ciężaru, więc wysypują zawartość na innych, również pokrzywdzonych.

Gdybyż cały świat był taki, jak ta świątynia! Gdybym ja była taka jak ludzie stąd! A jeżeli łudzę się, a oni są hipokrytami z gatunku tych, co biją pokłony przed figurą, a wiadomo, kogo mają za skórą?

Mimo wątpliwości oswajałam to miejsce i przestawałam czuć się obca. Nikt nikogo do niczego nie zmuszał, a ja zaczęłam się wreszcie modlić. Do Maryi, ponieważ nie potrafiłam jej zdradzić. Wystarczało, że zapragnęłam szepnąć parę słówek Buddzie, a widziałam łzy ciekące po smutnej twarzy z obrazka na ścianie w Gdańsku. Prosiłam moją boginię, żebyśmy z Igorem nigdy, przenigdy, się nie opuszczali i zawsze byli dla siebie tacy dobrzy, jak teraz. Przymknęłam powieki i prosiłam dalej, niestrudzenie.

Igor ujął moją dłoń. Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego z wdzięcznością. Przenikała nas wspólna moc, porównywalna do tej w chwili intymnego zbliżenia. Zostaliśmy pobłogosławieni przez wyższą siłę, nie przez żadne konkretne bóstwo. On i ja. Nie posągi, nie bliźniacy, a dopełnienia. Rozchyliłam wargi tuż przy jego uchu, a ono wsłuchało się w szept, gdy wymawiałam te dwa najważniejsze słowa. Czy same w sobie nie były cudowną pieśczęcią?

Nie odpowiedział, ale ja nie wymuszałam wyznań.

Z moim mężczyzną, który zamienił się w buddystę, z lilii zabarwionej czerwienią stawałam się na powrót białą. Miłość do niego również pozwoliła mi odzyskać zbrukaną niewinność. Przecież od dziecka chciałam żyć w innych wymiarach – obrazach, piosenkach, snach. Nie w materii cielesnej, a duchowej, niczym nieskażonej. Tymczasem ciało zaczęło sprawiać mi niespodzianki.

Wymagać ode mnie nie wiadomo czego. Przechodziło z rąk do rąk, niczyje. Maniakalno-depresyjne pragnęło na przemian być to pieprzone, to ranione. Często wydawało mi się ciałem obcym. Lecz jego przygody dobiegły końca. Nie mogłam się na nie zbyt mocno gniewać, skoro Igor mówił, że ono jest stworzone do kochania, a ja do radości. Jego zdaniem, gdy siedziałam na schodach, roztaczałam ciemną aurę, która teraz znacznie pojaśniała. Raptowna przemiana zrobiła na nim wrażenie.

Moja dusza biegła dalej.

Spontaniczny weekend u niego był naprawdę niezwykły. Druga noc granatowa i cała rozgwieżdżona. Wspinaliśmy się na most po długich schodach, do samych gwiazd. Szliśmy potem, jedno za drugim, po wąskim chodniku. On tłumaczył mi, gdzie mruga do nas Wielki Wóz, a gdzie Mały. Mnie nie obchodziła astronomia, a melodyka jego słów, która sączyła się ze światłem z nieba. Zbliżał się pociąg, z coraz głośniejszym stukotem, aż wszystko wokół huczało. Most zatrzęsł się w posadach, jakby miał nie wytrzymać naporu. Kiedy pociąg nas mijał, wyjąc przy tym przeraźliwie, wydawało mi się, że za moment jego siła nas wessie. Wciągnie na tory, prosto pod koła.

Przylgnęłam do Igora z całej siły – kochanie, nie puszczaj! Pragnęłam razem z nim wpaść tam i umrzeć. Czy nie byłoby to idealne zakończenie? Nic by już nas nie rozdzieliło.

Pociąg w końcu przejechał, a my przetrwaliśmy bez szwanku. Popijaliśmy ruskiego szampana, zabranego specjalnie na ten obchód. Bąbelki pękały mi na języku. Dobre myśli wchodziły na miejsce złych. Śpiewaliśmy przy akompaniamencie szumu samochodów.

W mieszkaniu od razu otworzyliśmy okna na oścież. Napływające powietrze letniej nocy mieszało się z kadzidłem, które zapalił Igor; dym ulatniał się cienkimi smugami. Jego woń osnuwała nas i ulatywała zmieniona. Nasze ciała dodawały do niej aromat tego, czym nasiąkały podczas uprawiania miłości. Nabrałam odwagi, która dodała mi zapalczywości. Nasz seks był jak dziki seks potępionych, którzy cudem ocaleli, więc pragnęli więcej i więcej życia. Pogrążyliśmy się w ciężkim dusznym zapachu. Jego składniki coraz trudniej było od siebie oddzielić. Strużka potu spłynęła między moimi piersiami, lepka jak syrop. Ściekający wprost do pępka.

Rano wciąż nosiliśmy na sobie mgiełkę zapachu tej nocy.

* * *

Na powrót wpędzona w zakochaną manię nie myślałam o niczym innym. Udało się. On jest. Znów jest ze mną. Oto, co głównie grało mi w głowie. Żyłam wówczas w takim transie, że nawet nie zapytałam Igora o współlokatorów. Zresztą chyba ich nie było, skoro nikt nie wyściubił nosa z pokoju obok.

Tajemnica wyjaśniła się w trakcie mojego kolejnego pobytu w Warszawie.

Dowiedziałam się, że nowi studenci wprowadzili się do niego w październiku. Pochodzili z Ukrainy, a tutaj uczyli się na polibudzie. Podobno całkiem nieźle szło dogadać się ze starszym z nich, Siergiejem, ale nie miałam szansy tego sprawdzić, bo wyjechał do domu na samym początku czerwca, czyli ponad miesiąc temu. Został Misza, ponieważ miał do zaliczenia zaległości w kto go tam wie czym. Ponoć sto razy bardziej nieśmiały niż Siergiej. Według Igora ostatnio nie opuszczał swojego pokoju tylko dlatego, że ja przyjechałam. Teraz zakładaliśmy się, kiedy on w końcu stamtąd wyjdzie i czy zwycięży go pęcherz, głód czy pragnienie.

Ukochany uważał, że Misza przegrywa nierówne starcia z codziennością. Przede wszystkim dlatego, że przyzwyczał się do bycia obsługiwanym przez matkę. Siergiej mu matkował, ale mój mężczyzna nie zamierzał go niańczyć. Tym bardziej że tamten podbierał mu niemałe co nieco z lodówki.

– Pewnie brakuje mu pieniędzy i dlatego kradnie – skomentowałam.

– No ale chyba mógłby ze mną o tym pogadać? Nie bierze niczego przy mnie. Zawsze podjada jak mysz.

– Misza-mysza! Dobrze, że nie chrobocze po nocach!

Żarty żartami, ale nie życzyłam sobie, żeby wstydnąć dalej cichaczem pustoszył lodówkę. Nie ze mną te numery. To znaczy: nie ze mną pod jednym dachem. Zwłaszcza że tym razem przyjechałam pod ten dach na dłużej, żeby pomóc Igorowi w magisterce. W mojej pozostał do dokończenia zaledwie ostatni rozdział, a stan tej jego był bliski agonii. Pomysł, żeby wreszcie ją dognębił, wyszedł ode mnie. Koszty pokryli rodzice Igora, dając mu pieniądze do zapłacenia na uczelni i na utrzymanie się w stolicy do końca września. Miał tylko pracować nad tekstem, badaniami i spotykać się z promotorką. Na ten czas rzucił pracę, żeby nic go nie rozpraszało.

Zaoferowałam mu pomoc w wydobywaniu pierwszego rozdziału z rozsyпки, poprawianiu stylu oraz w asyście przy powstawaniu w bólach kolejnego. Na moim koncie leżały jeszcze pieniądze zaoszczędzone z akcji z Majką. Pracy zamierzałam szukać nie wcześniej niż za miesiąc. Albo i dwa.

Tymczasem przygotowałam listę zakupów, żeby wykarmić nas wszystkich. Wiedziałam już, co znaczy głód, a potem zaspokajanie go. Poprzez kolejne posiłki Misza miał skosztować i zaznać domowego ciepła, którego musiało mu tutaj bardzo brakować. Chciałam mu wynagrodzić nimi wszystkie głodne dni. Jego i swoje.

Wtedy po raz pierwszy zachwiało się moje przekonanie, że mnie i Igora łączy niezwykła więź. Dlaczego to on nie zaproponował pomocy współlokatorowi, jeśli znał sytuację? Gdzie podziało się jego współczucie? Buddysta i co?

– Odkąd nie ma Siergieja, ja zmywam po tamtym – odpowiedział na moje zastrzeżenia. – On się chyba boi płynu do mycia naczyń. Niczego nie sprząta, więc

sprzątanie też jest moją działką. Mam mu jeszcze podstawiać talerz pod nos? Czemu mam mu usługiwać?

- Nie usługiwać mu, a go poczęstować – sprostowałam.
- Sam się częstuje, więc nie widzę problemu – prychnął.
- Od dzisiaj z tym koniec. Ja gotuję wszystkim.
- Jak chcesz, Matko Tereso – stwierdził uszczypliwie Igor.
- Ale pierwszy obiad ty zanosisz mu do pokoju. Dobrze?
- A niech sam przyjdzie, królewicz!
- Mówmy ciszej, bo usłyszy...
- No i co? Jak krzyczałaś w nocy, też słyszał.

Miałam ochotę go trzasnąć, ale powstrzymałam się. Kątem oka dostrzegłam, że przyczyna naszej kłótni przemyka do łazienki. Czyli zwyciężył pęcherz.

Misza był bardzo wysoki i bardzo chudy, sama skóra i kości. Błady, wręcz przezroczysty, przypominał pustelnika, który żywi się wyłącznie szarańczą. Albo świętego szaleńca, jurodiwego. Nawet na odległość wyczuwałam jego strach. Nie mogłam uwierzyć, że w XXI wieku dwudziestolatek boi się obcej kobiety. Wypominałam Igorowi, że nie uprzedził współlokatora o moim przyjeździe, ale odparł, że ma już dosyć moich wymówek, i ostentacyjnie opuścił kuchnię.

Panowała w niej atmosfera porównywalna do tej w kipiącym garnku.

Garnek naprawdę kipiał. Zagapiłam się, wyobrażając sobie sposoby, jakimi ośmielałabym Miszę. Tym razem sprawdziłabym się i spełniła w roli nauczycielki, stwierdziłam. W programie naszych wciągających zajęć przewidywałam więcej praktyk niż teorii. Tak pokierowałabym jego dłońmi, by mięknąć pod palcami jak wosk. Fantazja, fantazja... Tylko i wyłącznie.

Złość wyparowała z mojego złośnika na tyle, że zgodził się iść z talerzem do pustelnika. Misza podziękował za obiad. Bardzo mu smakował. A niechby spróbował powiedzieć coś złego na pierś kurczaka w ziołach i purée! Kurs kulinarny u Majki nie poszedł na marne, a uzyskane umiejętności rozwijałam. Kto by pomyślał? Wyszorowałam brudne strugi starych obiadów, które zastygły między palnikami, tym samym zyskując czyste pole do popisu.

Po sukcesie nabrałam ochoty na przygotowanie deseru. Przewaliłam wszystkie kuchenne szafki do góry nogami. Mikser wyglądał na wyprodukowany co najmniej przed wojną, ale działał. Tortownicę trochę nadgryzła rdza, lecz to również mi nie przeszkadzało. Piekarnik strajkował. Prawie na skrzydłach poleciałam na zakupy, po sernik na zimno w papierku i maliny.

Po drodze znalazłam paletkę do ping-ponga, porzuconą na odłóżkowym z farby parapacie. Na chodniku trafiłam na zdechłego gołębia. Nikt nie zamiatał piór i bebeczków. Minęłam je przed przykurzoną witryną Taniego Armaniego.

Zauważyłam, że Praga jest łódzka, a Łódź jest praska. Obie pełne kontrastów, podejrzane, z brudami i mordami pranymi na wierzchu. I tu, i tam

bałam się zarówno wytapetowanych lambadziar w cekinach, jak i szaroburych dresiarzy. Ich grupki mogły zniecka, bez przyczyny, ruszyć do boju. „No co się wępchała? Zajebimy jej?”. Lub podboju. „Taką tobym wylizał”. Tu umykałam przed nimi na drugą stronę ulicy, prosto pod wystawę cukierni z Barbie, która wyciągała ręce do góry w triumfalnym geście. Najwidoczniej była zadowolona z wbicia jej nóg w tort. Ciasto robiło za jej falbaniastą spódnicę, obficie polukrowaną i ozdobioną różyczkami.

Z chodnika puścił do mnie oko różowy cekin. Pewnie odpadł z bluzki lambadziarze.

Po moim powrocie niemila woń zniknęła z kuchni, a powietrze przesiąkło wonią malin, słodsza od gumy balonowej. Owoce znikły w ustach Igora z prędkością światła. Dałam mu po łapach ociekających sokiem. Wyrwałam z nich papierową skrzyneczkę. Tłumaczyłam, że jest przeznaczona do innych, wyższych celów. Dociekał, co mi się stało, że zamieniłam się w gorliwą kucharkę, a ja przypominałam mu, że kiedyś drwił, że nie mam takich zainteresowań i sam musi nam gotować. Oto więc je zyskałam. Niech nie przeszkadza mi w samorealizacji i weźmie się za galaretkę. Przepis ma na opakowaniu.

Właściwie praca w kuchni jest jak wciągająca praca alchemika, który zmienia stany skupienia produktów. Z całości tworzy fragmenty, a z nich nowe całości, nowe smaki.

Słodkości chłodziły się w lodówce, a mój chłopak nie odrywał się od fejsa. Zachowywał się, jakby miał robaki w dupie. Nas dwoje mu nie wystarczało. Alchemia i chemia między nami też nie. Zapraszał na wspólny wieczór nowych znajomych, zgarniętych w Soho Factory.

Oto kolejne podobieństwo do Łodzi. Tak jak ona ma Offa, niby niepokornego, tak Praga ma Soho. Modnie i wygodnie, chociaż w postindustrialnym buntowniczym klimacie. Bunt, który jest cacy, bunt podany na tacy. W takich miejscach nawet kałuża staje się wydarzeniem artystycznym. Jednak nikt nie ma ochoty brnąć po kostki w prawdziwym błocie w celach pozaartystycznych. Tylko odpowiednio wystylizowany hipster/-ka, odróżniający/-a kicz od kampu, efektownie wypada na tle obdrapanym pazurami biedy. Dlatego że w tej biedzie nie żyje na co dzień.

Przeminęła epoka *Seksu w wielkim mieście* i looku na wysoki połysk. Nadeszła epoka dresowych sukienek, z metką od nieznanego projektanta (śpiesz się, śpiesz, zanim zaczniesz być znany!), odpowiednio ściarchanych conversów, swetrów à la Marek Hłasko. Lambadziara i dresiarz, również przerysowani, ale w imię czego innego, w naturalny sposób przynależą do zdezelowanych przestrzeni. Z tą różnicą, że nikt nie ma zamiaru ich rewitalizować. Z ich związków powinny rodzić się szakale, a z hipsterskich – hieny.

Ciekawe, jak wyglądałyby, wychodząc z macic. O zgrozo, wypierane tą

samą siłą, poganiane tym samym krzykiem: „Przyj! Przyj! Przyj!”. Lambadziary i hipsterki łączy brzuch, początek wszystkiego. Księga Rodzaju.

A kogo ja bym urodziła? Spomiędzy moich nóg wyszłaby zapewne główka hieny. Igor trzymałby mnie za rękę, a drugą dłonią troskliwie ocierał pot z czoła, krzycząc: „Przyj! Przyj! Przyj!”. Ale, ale, zza główki wyłoniłby się raczej korpus szakala. Futro miałby mieniące się, puchate, nogi jak zapalki. Zwierzak ujrzałby świat czarnymi połyskującymi wilgocią koralikami i dostałby napadu czkawki. Zamiast mlekiem poilibyśmy go ruskim szampanem. Ukochany kołysałby stwora w beciku, żeby ten usnął i dał nam pożyć. Ach, jak słodko wyglądałby razem! Ach, z jakim zaciekawieniem panie zerkałyby mi do wózka na wielkich kółkach, w stylu retro! I pomyśleć, że dawniej obawiałam się błogosławionego stanu jak diabeł wody święconej... Teraz stałam się gotowa na poświęcenie godne prawdziwej Matki Polki. Byle tulić do piersi połączenie hipsterstwa, lambadziarstwa, dresiarstwa we mnie i w Igorze. Nic, tylko usiąść do dziergania hieno-szakalowi kaftaników.

Nie miałam śmiałości zdradzić wiadomo komu tych myśli, bo jeszcze wzięłby je na poważnie („ona chce być ze mną w ciąży!”) i/lub zgasił mnie ciętą odpowiedzią. Nie słuchałby argumentu, że jego obecność po prostu ożywia moją wyobraźnię, tyle że ja, z obecną figurą, nie nadaję się do urodzenia niczego. Zresztą Igor był właśnie niesłychanie zajęty. Kiedy znajomi zgodzili się przyjść, wyciągnął z kąta przykurzoną gitarę i próbował ją stroić.

Punkt siódma zobaczyłam w przedpokoju grubo ciosaną wenus z Willendorfu. Duży biust opadał w dół, zwyciężony przez siłę grawitacji. Biodra miały szerokość szafy trzydrzwiowej. Jej towarzysz wyglądał przy niej na suchotnika, który dopiero co wyszedł z sanatorium. Był blondwłosym kędzierzawym młodzieńcem, który na pewno zainspirowałby wielu homoseksualnych artystów doby renesansu. Mnie wcale się nie spodobał. Rozszerzając usta w uśmiechu, przywodził na myśl typy z horrorów, które okazują się psychopatyczne. Nie tworzył stadła z lampucera, ale oboje niepokoił mnie jednakowo. Intuicyjnie, bo logicznie rzecz biorąc, nie mieli mi czym zagrozić.

Lampucera, choć wyglądała na starszą ode mnie, okazała się o parę lat młodsza. Studiowała na ASP sztukę intermedialną, czyli takie nie wiadomo co na granicy różnych dziedzin. Niezdecydowaną na nic pseudonowoczesność. Jednak nasza studentka puszyła się z dumą pawia. Moja matka podsumowywała podobne osoby krótko, ale celnie: „Wyżej sra niż dupę ma”. Suchotnik studiował twórcze pisanie. No, jeszcze lepiej!

Typowi znajomi Igora. Prawdopodobnie niebieskie ptaki vel kury nieloty.

Żeby nie wyjść na z góry uprzedzoną i niemiałą, pró-bowałam zamienić z lampucera chociaż parę zdań na krzyż. Rozmowa kulała, a potem ugięły się pod nią obie nogi i padła. Pozostało nam krzywo na siebie patrzeć. Poprosiłam zatem

blondyna o przeczytanie fragmentów opowiadań, o których wspominał. Podałam mu laptopa, żeby odszukał je na swoim blogu. I w mig tego pożałowałam. Teksty przepelniały nieznośne dłużyzny, bogato okraszone wyświechtanymi frazesami i metaforami pasującymi tam jak pięść do nosa. Kombinowałam, co zrobić, byleby on przerwał czytanie. Na darmo szukałam pomocy u Igora, gdyż on w tym czasie patrzył w wylupiąste oczy tamtej, wprost zafascynowany – syrena śpiewała mu chrapliwym głosem o swoich internarkotykowych doświadczeniach. Znaleźli temat rzekę i popłynęli z nurtem. Wszystko wokół ignorowali. Mnie także.

Wzięłam więc mojego ukochanego, podkreślę – mojego! – pod ramię, żeby wydostać go z tej toni. Poprosiłam o pomoc przy podaniu gościom ciasta, jakby to wymagało nie wiadomo jakiego wysiłku. Szkoda mi było dla nich mojego wspianego sernika, ale mówi się trudno i żyje się dalej.

– Ty wiesz, jak ona cię traktuje? – utyskiwałam przy lodówce.

– Normalnie? – zapytał z przekąsem.

– Normalnie jak zdobycz!

– Zazdrosna jesteś?

Nie odpowiedziałam. Trzasnęłam drzwiczkami, aż prawie wyleciały. Wbiłam nóż w sernik z zacięciem godnym morderczyni. Podałam Igorowi talerzyk z największym kawałkiem.

– To dla mnie?

– Nie. Zanieś Miszy. I galaretkę. – Spróbowałam wcisnąć mu do ręki salaterkę, ale bez powodzenia.

– Sama zanieś. Ja nie jestem jego sługusem, mówiłem ci.

Odwróciłam się na pięcie i zapukałam do tajemniczego pokoju. Odpowiedział mi krótki pomruk. Brzmiał jak zgoda na wejście.

Misza siedział przy biurku, wpatrzony w najjaśniejsze słońce ekranu. Jego długie palce pianisty biegały rytmicznie po klawiaturze. Kiedy się odwrócił, osłupiał, jakby ujrzał zjawę. Nawet nie odgarnął grzywy, która opadła mu na czoło. Powiedziałam, że tylko przyniosłam deser, po czym postawiłam go na biurku. Wtedy uśmiechnął się, choć bardziej do blatu niż do mnie. I tak zrobiło mi się cieplej na sercu. Zapytałam, czy chce do nas dołączyć. Misza pokręcił głową i ponownie się uśmiechnął, tym razem przeprasząco.

Nie musiał przepraszać. Rozumiałam go doskonale. Mnie też wcale nie chciało się siedzieć z tamtymi. Byli na tyle zainteresowani terkotaniem o sobie, że nawet nie zapytali, czym ja się zajmuję. Igor chwycił za gitarę i grał wszystko, czego zażyczyła sobie tamta paniusia. Przede mną nigdy nie ujawnił się ze swoim talentem! Mało to, próbował czytać w jej myślach i uprzedzać życzenia. Znalazł się, casanova jeden!

Wróciłam, a jakby mnie nie było.

Nie wzięłabym takiej lampucery do trójkąta, choćby mi dopłacano. Mogłaby

nawet rzucić się przede mną na kolana i błagać, żeby mnie wylizać. Niechby na największym seksualnym głodzie, moim albo swoim! I tak powiedziałabym nie.

Zresztą koniec z bi. W tej chwili nikt nie mógł nazwać mnie nienormalną ani niezdrowo interesować się tym, że całuję kobietę lub publicznie się z nią obściskuję. Czy – w gorszej wersji – zaatakować nas obie i zgwałcić ciemną nocą w ciemnej bramie, nawracając na „normalność”. Kto by nas obronił? Kto by ukarał sprawcę? Policja umyłaby ręce. Jestem podobywatelką, więc powinnam się kryć. Nie prowokować. Ja jednak ciągle wiedziałam, co widzę w kobietach, choć w tej naprawdę nie zauważyłam niczego szczególnego.

Czemu zatem ona działa na Igora?

Musiałam ich na moment zostawić – fizjologia – a kiedy wychodziłam z łazienki, czatował już pod nią wstawiony pisarczyk. Upijał się szybciej niż ja. Wstyd, zwłaszcza dla faceta. Mimo wątlej budowy i chwiejności dał radę przycisnąć mnie do ściany przedpokoju. Próbował wsunąć mi ręce pod bluzkę, dwa zimne płazy. Szamotałam się z nim, aż go odepchnęłam. Wszystko zagłuszała dopiero co włączona muzyka, rycząca na cały regulator.

Wróciłam do pokoju, on pojawił się tam po paru minutach, z miną zbitego psa. Dobrze sobie, bo to raczej ja powinnam skomleć, ale odstawianie sądu, z samą sobą w roli pokrzywdzonej, było ponad moje siły. Suchotnik położył uszy po sobie i też milczał. Obrzydliwiec! Intuicja dobrze mi podpowiadała, gdy od początku coś mi w nim nie grało.

Kiedy artyści ze spalonego teatru zamknęli nareszcie drzwi z drugiej strony, mój mężczyzna oskarżył mnie o strojenie fochów. Oświeciłam go, jak wspaniałego ma kolesia i że tak się nim zajmował, że tamten musiał zająć się mną. Wypomniałam, że i na mnie nie zwracał uwagi, skupiony na odstawianiu chłopaka z gitarą. No i stwierdziłam, że ona nawet nie jest ładna. Ot, gruba lampucera z polakierowanym tapirem rodem z lat osiemdziesiątych. Że łańcuch, który miała na szyi, najprawdopodobniej ukradła krowie. Że z Mućką łączy ją nie tylko on. Dodałam, że nie chcę jej więcej widzieć podczas mojego pobytu tutaj. Suchotnika tak samo.

Igor ciskał się, że zawsze plułam jadem na jego koleżanki. Och, co za żal! Wyrzuciłam mu, że swoim nowym znajomkom nieba by przychylił, a własnego współlokatora traktuje nawet nie jak mysz, ale jak szczura. Cynicznie podziękowałam za gościnę i zaczęłam pakować dopiero co rozpakowaną walizkę.

On uspokoił się pierwszy i zaczął uspokajać mnie. Obudziło się w nim współczucie, ale wyłącznie z powodu mojej sytuacji z suchotnikiem. Miał mu przyłożyć w wolnej chwili. Dałam się ugłaskać wyłącznie ze strachu przed tym, że niesłuchanie łatwo wpadliśmy ponownie w dawny zaaferowany styl.

Wyżyłam się potem na fejsie. Wykorzystałam wypróbowany lolici sposób na ulgę. Zainspirowałam się Marią Eleną, wybuchową bohaterką filmu Woody’ego

Allena, niedawno oglądanego razem z Igorem. Oto, co napisałam: „Mario Eleno, patronko wszystkich złośnic i zazdrośnic, módl się za nami. Spraw, by lampucerom podrywającym w naszej obecności ukochanych lakier wyżarł włosy, a tusz do rzęs zamoczył oczy. Spraw, by nowo poznane kobiety szybko traciły urok nowości. Spraw, byśmy nie czuły się jak zaniebawiane żony, od których każda inna jest lepsza. I daj nam siłę, by strzelić lampucerze, gdy ta za bardzo się panoszy”.

Później obejrzałam sobie konto tej lampucery.

Tworzyła rzeźby ze śmieci, co współgrało z jej stylem. Jej prace byłyby odkrywcze jakieś pół wieku temu albo i wcześniej. Ulżyło mi, że są wtórne i beznadziejne. Dlaczego zatem ciągle czułam pod skórą, że ona stanowi niebezpieczeństwo? Istna obsesja!

Na orzeźwienie wzięłam prysznic. Lecz kiedy chciałam umyć włosy, poleciały na mnie strugi lodowatej wody. Ciepłej zabrakło zniecka, a ja nie należę do grona morsów. Prędko zakręciłam wodę i rozkaszałam się gruźliczo. W łazience unosił się smród spalenizny.

Dzień okazał się naprawdę pechowy.

– Igooor! – krzyknęłam na cały regulator.

Żadnej reakcji. Zdzierałam gardło i wołałam go jak do kolejnego pożaru w naszej kontrowersyjnej karierze. Cholera wie, co tak śmierdziało i czy nic nie płonęło w jakichś instalacjach?

Kiedy łaskawie się pojawił, z miną fachowca wydał diagnozę, że właśnie skutecznie popsuł się bojler, który psuł się od dawna. Wyłączył go. Poprosiłam, żeby zagotował mi na gazie ciepłą wodę do włosów i niecierpliwie na nią czekałam, zawinięta w ręcznik. W kącie znalazłam miskę. Wreszcie Igor łaskawie przyniósł parujący garnek. Uwaga, uwaga! – wodę do niego wlał i zagrzał nie kto inny, a Misza. Akurat plątał się po kuchni. Igor nie byłby sobą, gdyby mu nie natrajlował, co mi się przydarzyło.

Zmieszałam ukrop z zimną wodą, bo na to obaj panowie nie wpadli. Ustawiłam miednicę na podłodze, przelałam do niej połowę zawartości garnka. Przykłękłam i naga pochyliłam się nad nią, żeby namoczyć włosy. Oto wieś spokojna (choć nie wiem, czy wesoła) w środku stolicy! Dobrze, że nie trzeba nosić wody ze studni. Pomna przyjemności, jaką sprawiłam tym lolitce i jakiej sama chciałam zaznać, poprosiłam Igora, żeby umył mi głowę. Niech wreszcie i mną ktoś się zajmie, stwierdziłam. Igor był mi to winien i na szczęście się do tego poczuwał.

Ukucnął przy mnie i zebrał moje mokre włosy na czubku głowy. Kiedy muskał ją opuszkami palców, po karku biegały mi mrówki. Wcierał szampon delikatnymi miękkimi ruchami, a ze mnie uchodził stres. Nie mogłam uwierzyć, że tak piekliłam się o lampucerę. On najwidoczniej nic do niej nie czuje, skoro właśnie dla mnie przeznacza tyle czułości – myślałam. Odłączyłam się od ziemi.

Zapomniałam, że tkwię na podłodze, a przed oczami mam pływające w misce wysepki piany. Znajdowałam się w innym wymiarze, łagodnym i kojącym, zupełnie nieważka. Przypomniałam sobie chwile prosto z dzieciństwa, pobyty u babci na wsi. Trawy i zboża kołysały się, rozbujane podmuchami wiatru, a ja udawałam, że składają mi ukłony. Odkłaniałam się im z podobną kurtuazją. Cichutko szumiały, w ich szum zaś wkradało się cykanie świerszczy. Niektórym kłosom podawałam rękę, a potem gładziłam je nią. Teraz dłonie ukochanego ocierały się o pasma moich włosów w identyczny sposób.

Ocknęłam się z letargu, gdy lunął na mnie strumień wody prosto z garnka. Ugięłam kark pod jej naporem. Włosy posypały mi się na twarz, wlały w oczy i usta.

– Uwaaaaj! – piszczałam, aż zachłysnęłam się wodą.

Kiedy próbowałam wstać, Igor powstrzymał mnie, kładąc mi ręce na ramionach. Rozmasował je. Przesunął dłońią z góry pleców na dół, a potem do przodu. Sprawdził, co się we mnie dzieje podczas masażu.

Już nie byłam dziewczynką na wiejskiej drodze, a kobietą z krwi i kości.

– Nie odwracaj się – usłyszałam, a zaraz potem dźwięk rozsuwanego rozporoka.

Odsunęłam miskę i podparłam się na przedramionach, wypięta. A on przytrzymał się moich bioder i zwarł się ze mną. Poruszał moim ciałem, rozcierał na mojej skórze krople pokapujące z mokrych pasm. Przyłgął do mnie mocniej, a jego ubranie przyklepiło się do mojego ciała. Nie należałam do siebie, a do Igora i do wody. W środku wrzałam nim, a na zewnątrz ociekałam nią. Tym razem nie przeszkadzały mi lejące się na dekolt, piersi i brzuch strugi. Poddawałam się mieszance dreszczy z zimna i podniecenia. Jeszcze moment, a nie mogłabym nabrać powietrza; ukochany nie dawał mi szansy na wytchnienie, a podduszał, gdy naprężał się we mnie.

Potem odwróciłam się, przysiadłam na piętach i wtuliłam się w niego ufnie. Nie wiem, jak długo suszyłam się w tym uścisku. Byłam za to pewna, że bez udziału osób trzecich nasz związek byłby o wiele lepszy.

* * *

Od poniedziałku wpadliśmy w nowy ciąg – pracy nad jego magisterką. Podeszłam do sprawy z zapalem, bo chodziło przecież o przyszłość mojego ukochanego, a terminy nas goniły. Igor umówił się z promotorką, że wyśle jej w przyszłym tygodniu dwa gotowe rozdziały. Pokazał mi trochę zapisanych stroniczek i stos nieprzeczytanych książek o ADHD, którego dotyczył temat. Teorii potrzebował około czterdziestu stron, więc: „Damy radę”. Łał! U mnie czterdzieści stron miał jeden rozdział, z czterech. Ale Igor przekonywał, że w jego pracy ważniejsze są badania, które przeprowadza nad nadpobudliwymi dziećmi. Niezły argument, choć nie miał jeszcze nawet połowy z nich.

Odłożyłam swoją magisterkę na bok i na razie poprawiałam te jego stroniczki. W literkach czułam się całkiem niezła. On czytał i czytał. Tamte dni pachniały wspólną koncentracją. Oczywiście mieliśmy podkrążone, lecz niestrudzenie pracowaliśmy dalej. Nie pozwalałam mu odpuścić i nie odpuszczałam sama. Kiedy jego tekst dzięki mnie nabierał płynności, dostawałam skrzydeł. Wreszcie uda mu się zrobić to, co odkładał! Ponownie zachowywałam się tak, jakby jego życie było moim.

Dźwięk budzika zamienił się w hymn triumfalny na powitanie nowego dnia. Z nim budziła się radość. Z radością szłam po bułki, jeszcze ciepłe, kruche i miękkie. Takie najbardziej smakowały moim chłopcom, więc przygotowywałam z nich śniadania. Włączałam wtedy radio, podśpiewywałam i kręciłam biodrami. Mój tyłek chyba odbierał fale radiowe. Zarzucałam nim jak Beyoncé i Shakira razem wzięte.

Chłopcy pałaszowali, aż im się uszy trzęsły. Okruszki zostawały im w kącikach ust. Kto chce serwetkę? Komu dolać mleka do kawy? Dla wielu takie sytuacje są codziennością, dla mnie były nadzwyczajne. Podobnego życia nie zaznałam w domu, w którym nie jadało się przy jednym stole. A jeśli już – w ramach potwierdzającego regułę wyjątku – nawet wtedy moi starzy przeklinali siebie nawzajem. Przypominali smoki rozdzierające wielkie paszcze, ziejące ogniem, trzepoczące skrzydłami i ogonami. Budzili w nas grozę. Mój brat nie podnosił oczu znad talerza, a ja udawałam ślepa, głucha i niemą. Dlatego że najmniejszy ruch, najbardziej niewinne spojrzenie, obojętnie jakie zdanie stawało się punktem zaczepienia, żeby smok mocniej przyłożył smoczycy lub odwrotnie. Jeśli któreś z nich zakrztusiło się przy niedzielnym obiedzie kompotem, wyobrażałam sobie, że się nim dławi. Wtedy przynajmniej przestaliby się na siebie drzeć na wieki wieków – myślałam. Amen. A ja, półsierotka, dostałabym może szansę na odjazd do domu dziecka. Gdzie będzie, jak będzie, ale na pewno spokojniej. Jednak oni okazali się niepokonani.

Wciągając rosółowe kluski, snułam czasami wizje, że oto wiszę na drzewie za blokiem, o, dyndam na skakance. Już uwolniłam się z tego domu raz na zawsze. Wciągałam te kluski, aby szybciej, pierwsza odstawiałam miskę, od razu do zlewu, i wymykałam się do siebie. Projektowałam sobie w myślach ubranko do trumny. Do niego koniecznie czarne lakierki na sprzączkę.

Mimo tych wspomnień umiałam stworzyć zupełnie inną atmosferę przy stole u Igora. Tam panowała harmonia, a ja miałam własną sierotkę – Miszę, któremu byłam gotowa nieba przychylić. Chciałam powiedzieć do niego: „Synku!”, jednak wtedy i on, i Igor wyszliby z siebie i stanęli obok. Lepiej niech mlaskają i głaszczą się po brzuchach.

Chciało mi się przyrządzać te śniadania, potem obiady, desery, kolacje naprawdę codziennie. Mniej chodziło tu o zmysłowy wymiar gotowania, jego

kolory, zapachy, smaki. Często obojętne mi było, co podam na stół. Apetyt mi wrócił dlatego, że poczułam się potrzebna. Po prostu lubiłam karmić innych. Skoro karmienie moim ciałem zakończyło się dramatycznie, trzeba było rozładować tę potrzebę inaczej. Rozwieranie ust, ssanie, przełykanie, ciepło rozchodzące się po brzuchu, senność po akcie – wszystko z łóżka miałam przy stole. Paniczne poszukiwanie bliskości przestało przesłaniać mi świat, bo ją wreszcie odnalazłam. Byłam matką-karmicielką, kapłanką domowego ogniska, a nie wyłącznie kochanką.

Mirem domowym zachwiała sprzeczka o poprawki, które wstawiłam do tekstu Igora. On, zamiast za nie podziękować, czepiał się ich. Nie miał racji i nie pozwalał sobie powiedzieć, że jej nie ma. Nikomu, nawet *Słownikowi języka polskiego*. Dopiero kiedy porównał swoją nedorobioną wersję z moją, zmienił zdanie. Powiedział, że czytając całość, czuje się, jakby chodził po ogrodzie z przystrzyżoną trawą i powyrywanymi chwastami.

Przyszła pora na zasianie słów w nowym rozdziale. Polegało to na tym, że pilnowałam go, żeby nie odchodził od biurka. Donosiłam mu kawę, herbatę i jedzenie. Brakowało mi tylko fartuszka. Kwestią sporną stał się internet. Tak, Igor potrzebował go do sprawdzania pewnych pojęć. A przy okazji non stop sprawdzał fejsa. Zwracałam mu uwagę jak smarkaczowi na lekcji, aż o to też się posprzeczailiśmy.

– Już miałeś etap pójścia za pragnieniami – mówiłam. – Ten etap dobiegł końca. Trudno ci przejść do obowiązków, bo przyzwyczyłeś się do pragnień. Jak obiecujesz promotorce, że coś zrobisz, bądź słowny i to zrób. A nie rzucasz słowa na wiatr. Potem będziesz się roztkliwiał nad sobą, jaki jesteś niedobry. Już ja cię znam.

– Magda, może byś mi odpuściła kazania? – pytał. – Belferka z ciebie nie zeszła? Nie jestem z gimbazy i chyba wiem, co robię, nie?

– Nie wiesz. Robisz nie to, co trzeba – wyjaśniałam cierpliwie temu upartemu dzieciuchowi w jego skórze.

– A ty wszystko wiesz, bo jesteś genialnie kurewsko mądra! – pyskował.

– Sam prosiłeś o moją pomoc.

– Ale nie o rozkazy.

– Nie rozkazuję ci, tylko wyjaśniam.

– Jasne. Jesteś gestapo! Nie da się z tobą dyskutować, zawsze masz rację. Teraz chcesz być miss perfekcji, bo w środku nosisz chaos. – Igor z przyjemnością mełł nową diagnozę między zębami.

– A co nosisz ty? Spadaj, sam nadajesz się do leczenia! – Nie wytrzymałam.

– Obym nie trafił do psychiatryka razem z tobą.

Nie odpowiedziałam, tylko zmierzyłam go od góry do dołu gniewnym wzrokiem. Obraziłam się i poszłam po laptop, żeby zająć się moją perfekcyjną

magisterką, skoro on stawiał sprawę w ten sposób, i potknęłam się o leżącego na podłodze Hemingwaya. No tak, Igor sięgał wyłącznie po uznanych pisarzy, że niby ma gust. Najlepiej po amerykańskich. Każdy poza Hemingwayem, Faulknerem, Steinbeckiem, aha, i Kerouacem, pisał według niego gnioty.

Sam tak się ociążał z tworzeniem, że każdy twórca gniotów był od niego bardziej produktywny. Niczego nowego nie namalował. Od roku! Kiedy odrywałam oczy od ekranu, spoglądałam na ścianę nad tapczanem. Wisiały na niej wycięte z gazet oczy i usta, parę pożółkłych kart do tarota oraz niestaranne rysunki wykonane jego ręką. Oto, czym zastąpił farby i płótno! Wszystko przypominało zapis snu wariata.

Tego dnia wariat podczas kolacji nie odzywał się do mnie. Za to Misza, który przełamał się i regularnie jadał razem z nami, od czasu do czasu rzucał słówko. Podobało mi się, że nikogo nie udaje. Poza tym znakomicie rozumiałam nieśmiazków. Sama byłam kimś, od kogo uciekałam. Musiałam udawać kocura, żeby inni pręgowani drapieżcy nie pacnęli mnie łapami. Nie rozorali pazurami, nie odkryli całego miękkiego mysiego mięsa i nie pożarli go łapczywie. Igor był wyjątkiem, bo przed nim nie dawałam rady się zasłonić. Dotknął we mnie tego, co nietykalne.

W łóżku odwróciliśmy się do siebie plecami. Nie tak dawno mieliśmy pierwszy wspólny orgazm, teraz po raz pierwszy żadne z nas nie zabiegało o zgodę.

Oto postępy w naszym związku.

Już pewien czas temu zaszły w nim zmiany, straciłam bowiem ochotę na wsadzanie sobie piórek w dupę. Przestałam się stroić w burdelowe kompleciki, w imaginarium już nie z mojej imaginacji. Kładłam się w podkoszulku Igora, bo w nim czułam się na luzie, a przy tym bezpieczna. Jaka to była rozkosz, mieć go na sobie przez całą noc, przesiąkać nim przez tkaninę! On jednak kręcił nosem na tę nowość i powtarzał, że czuje się, jakby spał ze swoim kuzynem. Gdyby nie był taki, czasami wystroiłabym się specjalnie dla niego. Ale jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Zresztą, gdzie tu kłopot? Wystarczyło, że zdejmował ze mnie bawełniany podkoszulek i miał to samo, co miałby pod satyną i koronką. Moja skóra była nawet miłsza w dotyku, skoro wsiąkły w nią hektolitry balsamów. Najważniejsze, że miłość bez gorsetu i podwiązki stała się dla mnie nieskrępowana. Orgazmy wybuchały jeden za drugim. Raketowe wyrzuty wydzielin i emocji, absolutnie nie do wytrzymania.

Aż przyszedł ten przełomowy, wspólny. Przestałam czuć, że chwytam mojego mężczyznę udami i że on jest we mnie. Istniała tylko energia zatracenia się, nic więcej. Zacisnęłam w tym momencie powieki i żałuję, że nie spojrzałam ukochanemu w oczy. Co bym w nich zobaczyła?

Dotarliśmy na szczyt i zjechaliśmy z górki na pazurki, do dzisiejszej sytuacji.

Mimo że odwrócona plecami do Igora czułam, że jego telefon cały czas wibruje. On się wiercił, odpisując. Przekręciłam się i niedyskretnie zapuściłam żurawia przez jego ramię. To lampucera, wywłoka jedna – stwierdziłam. Widocznie nie cierpiała zwłoki w odpowiadaniu. Nie zdążyłam zobaczyć, co do siebie wypisują, bo nagle on odłożył telefon. W tym geście dostrzegłam sam gniew, który jeszcze mocniej zabuzował w słowach.

Nie przebierał w nich i wyzwał mnie od zazdrośnic. Dodał, że ostatnio przypominam mu kwokę: z tym ciągłym siedzeniem w garach i trzęsieniem się nad Miszą jak nad jajkiem. Ten zarzut zabolął najmocniej. Kwoką to mogła być sześćdziesięcioletnia ciotka lolitki, ale nie ja!

Ściągnęłam z Igora koldrę i naciągnęłam ją na siebie pod samą brodę. Nie miałam zamiaru dolewać oliwy do ognia i przeżywać kolejnych ciosów. Udawałam, że zasypiam, byleby dał mi już spokój. A że nie mogłam zasnąć, bo on chrapał jak stary parowóz, rozpamiętywałam, co mi powiedział. Analizowałam każde słowo. Rozmyślałam, na ile jest prawdą, bo przecież niczego nie wytyka się bez przyczyny.

Tej udręki nie dawało się znieść przez całą noc. Tłumiąc szloch i potykając się o własne nogi, powędrowałam po ciemku do drugiego pokoju.

Z cichym szelestem wsunęłam się do łóżka Miszy. Potrząsnęłam jego ramieniem. Obudził się i popatrzył na mnie zdeorientowanym wzrokiem. Trwał w oszołomieniu i bezruchu. Po dłuższej chwili kilka razy zamrugał. Zrozumiał, że to nie sen, bo moje łzy na jawie sączyły się w jego poduszkę. Próbował otrzeć je wierzchem dłoni. Ten ruch był nieporadny, ale rozczulający. Drżał, gdy leciutko gładził mnie po włosach.

Wtedy naprawdę zasnęłam.

Ocknęłam się nad ranem i wróciłam do Igora, ale długo z nim nie poleżałam. Musiałam skoczyć po bułki i posmarować masłem górę kanapek, żeby wystarczyły Miszy na całą, jakże długą, drogę. W końcu pozaliczał, co miał do zaliczenia, i wracał na dalszą część lata do siebie. Na Ukrainę.

Nie zauważyłam, kiedy pojawił się w kuchni. Wyznał, że dziękuje mi za to, co robiłam dla niego, i że chce się odwdziaczyć. Wyciągnął z kieszeni... pierścionek z połyskliwym oczkiem, które na mnie łypnęło. A ja zamieniłam się w słup soli. W tej pozie słuchałam, że mama podarowała mu pierścionek na szczęście. On chce przekazać je dalej. Wahałam się, czy mogę przyjąć cenny prezent, lecz on przekonywał, żebym wzięła. Na moją nową drogę, bo Igor na mnie nie zasługuje. Ani na mój płacz.

Misza nigdy dotąd tyle do mnie nie powiedział. A miał taki ładny zaśpiew! Nie wzięłam jednak pierścionka. Uznałam, że nie będę pozbawiać go szczęścia. Sama pewnego dnia chwycę je za ogon. I już nie puszczę.

Po naszym pożegnaniu również i ja rozpoczęłam przygotowania do wyjazdu

przed czasem. Obowiązki spełniałam; Igor w trudzie i znoju kończył drugi rozdział. W niedzielę miał wysłać mi go do poprawki. Magisterka była najważniejsza, więc znajdowała się poza naszymi kłótniami.

Kiedy wszystko ustaliliśmy, w gardle urosła mi gęsia skórka i znów się rozpłakałam. On przeprosił mnie, ale i tak wołałam pojechać do siebie.

Odzywaliśmy się do siebie, przy czym Igor z łaski na uciechę. Starłam się nie brać tego do siebie zbyt mocno. Tak się przecież zdarza nawet w najlepszych parach, a co dopiero w naszej. Za dużo mu dawałam, za mało od niego oczekiwałam, wybiegając przed peleton. Czy jednak miłość nie powinna opierać się na pewnej bezinteresowności? Z drugiej strony czułam się tak, jakby on podstawił mi nogę podczas biegu. Mimo to nie wywróciłam się i biegłam dalej.

Dzisiaj już zdaję sobie sprawę, że nie ma skuteczniejszego dopingu od toksycznego uczucia.

Tablice na Facebooku u mojego mężczyzny i lampucery rozgrzewały się do czerwoności. Co rusz coś sobie podrzucali. Widziałam i nie reagowałam. Kumulowałam gniew, aż wybuchła bomba z opóźnionym zapłonem.

ROZDZIAŁ V

Prosto w twarz

Igor podesłał mi mniej niż zero. Biedak, zmęczył się i nie był w stanie dokończyć obiecywanego rozdziału. Dlatego musiał stymulować oklapnięty nastrój.

Na sobotniej imprezie, której hasło przewodnie brzmiało: „Za hajs matki baluj”.

Biforek był u lampucery, bo gdzieżby indziej? Delikatnie mówiąc, miała w nie najlepszym stanie swój platynowy tapir, bo poparzyła sobie łepetynę podczas ostatniego farbowania. Do tego stopnia, że podobno wylądowała w szpitalu pod kroplówką. Igor uważał, że gdyby nie moja klątwa, rzucona na fejsie, nic takiego by się nie wydarzyło. Jasne! Do tej pory miał mnie za kwokę, a teraz za wiedźmę. Ja jego zaś ciągle miałam za dzieciucha, którego trzeba pilnować, bo bez nadzoru wyłącznie miesza kijem w błocie.

Po biforku u odratowanej lampucery oboje zabrali jej przyjaciółczkę i ruszyli w miasto, dziękczynić. Mój mężczyzna uganiał się z nimi całą noc po hipsterskich spelunach, o czym także mnie informował. Opisywał je dokładnie, jedną po drugiej. Po jaką cholere? Po jego wycieczce miałam sobie przyczepić te widoczki do pamięci jak magnesy na lodówkę?

– Ty nie lubisz takich imprez, a ja musiałem się zresetować – powtarzał, cały w skowronkach, i rozwodził się nad wesołością tamtych dziewczyn.

Na pewno nie odmówiły mu chlania na umór, ćpania i kto je tam wie czego jeszcze. Moja reakcja mogła być tylko jedna. Wystrzelanie skowronków.

– Obiecuj, że już nigdy więcej się z nimi nie zobaczysz. Obiecuj, słyszysz?!
– wrzasnęłam na koniec przepelnionego wściekłością kazania.

Najpierw obiecał, po chwili się rozmyślił.

– Ja zawsze miałem koleżanki. I nie widzę w tym problemu.

– Ale ja widzę. Nie po to harowałam nad twoją magisterką, żebyś ty sobie tańczył z koleżaneczkami. Nic się nie zmieniłeś. Mam tego dość!

– A ja mam dość twoich ciągłych ale. Czy my aby na pewno jesteśmy dla siebie? Czasami wydaje mi się, że cię kocham. A potem robisz się skrajnie obca.

– Dobrze! Rozstańmy się, nawet teraz! Jak tak ci źle ze mną! Nigdy mnie nie doceniałeś, nigdy!

Rozłączyłam się.

Duchowe porozumienie okazało się złudą, zwidem, kompletną pomyłką. Przestałam rozumieć moją wielką tajemnicę wiary w Igora. Byłam z nieodpowiedzialnym nieudacznikiem, który tłumaczy się nastrojami. Niech się

wypcha!

Wyszarpnęłam kartkę z notatnika i wypisałam na niej wady Igora. Świetnie mi szło, bo ledwo upłynęła minuta, a wyrwałam następną. Latały po pokoju, a ja nie przestawałam sumiennie wyliczać jego grzechów. Razem wyszło ich dwadzieścia. Opierały się na „zapatrzeniu w swojego chuja, łganiu i opierdalaniu się”, czyli na egoizmie (również w łóżku, bo własne dobro zaczął traktować jak wspólne, a moje potrzeby zamieniać w zachcianki), kłamstwie i lenistwie. Opracowałam wersję ocenzurowaną, żeby odczytać wiadomo komu w celach wychowawczych.

Kiedy zatelefonowałam do niego, zgodził się wysłuchać. Ale po pierwszej dziesiątce tej listy przebojów zniecierpliwiał się.

– Magda, co ja mam z tym zrobić? – zapytał.

– Masz zmienić swoje zachowanie.

– Wiesz co? Musimy pogadać w cztery oczy, koniecznie. Będę w ten weekend w Łodzi.

Przestraszyłam się jego tonu. Raczej nie mówił o poprawie, a powtórnie napomykał o rozstaniu. Wyszłam na mojej liście równie dobrze, jak Zabłocki na mydle. Igor odejdzie do takiej, która nie będzie go ochrzaniać. Chryste, po co ja dzwoniłam?

Popełniłam w tym związku wszystkie błędy, jakie były do popełnienia, ale nikt nie miał prawa odbierać mi Igora! Wgryzłam się w jego serce, w ten kawał soczystego mięcha, i nie zamierzałam go puścić. Popadałam w ekstazę lub w rozpacz, zależnie od zachowania drugiej strony. Moja przeklęta bliźniaczka robiła identycznie. Pragnąc uwagi, nie mówiła o tym wprost, lecz próbowała ją uzyskać histerią. Za poczucie przynależności do kogoś cena była zbyt wygórowana, ale co to dla nas!

Do zbliżającego się spotkania z moim mężczyzną przygotowałam się perfekcyjnie: zakręciłam loki, w których tak mnie lubił, naciągnęłam krótką koronkową sukienkę. Pod spodem miałam seksowną bieliznę, niech mu będzie. Równie ważne było to, co niosłam w torbie: następna lista, tym razem zalet Igora, trzy razy dłuższa od listy wad. Bazowała ona na jego poczuciu wolności, kreatywności, tolerancji i nowych dobrych doświadczeniach, jakie mi dał. Za nimi stało coś niewyraźnego. Podczas tworzenia rozpiski utwierdziłam się w przekonaniu, że nie mogę stracić cech, za które go pokochałam.

Umówiliśmy się w parku. Tradycyjnie się spóźnił. Zdyszany wyjaśniał, że przyjechał rowerem, ale wcześniej zawieruszył mu się klucz do piwnicy. Nie czyniłam żadnych wyrzutów; obrażają się tylko kucharki i pokojówki, prawda? Usiedliśmy na ławce i przystąpiłam do czytania ukochanemu wyłącznie dobrych rzeczy o nim. W końcu na wojnie wszystkie chwytły są dozwolone. W lejach po bombach rozkwitnie sad, a ja wychowam go sobie w czasach pokoju.

Kiedy skończyłam, Igor uznał, że specjalnie tak manewrowałam, żeby wyszło mi więcej dobrych cech niż złych. Broniałam się, że wcale nie. Po prostu tym razem pisało mi się o wiele przyjemniej. Poddał się tej argumentacji; jemu jednak też było miło.

Czyli nici z rozstania! Hip, hip, hura!

Wsiadłam na rowerowy bagażnik i rozpoczęliśmy objazd alejek. Przyciskałam się do ukochanego, trzymałam nogi szeroko, żeby nie wkręciły mi się w koła. Wiatr targał moje loki, które powiewały za mną.

Było bardziej niż cudownie.

Pojechaliśmy do sklepu po wino. Igor rzucił rower w krzaki i pociągaliśmy je z gwinta nad sadzawką. Rozglądaliśmy się, czy w okolicy nie szwenda się patrol policji ani straży miejskiej. W brudnej wodzie taplała się para, która co rusz zanurzała się i wynurzała. Chyba uprawiali seks. Wokół nich pływał kudłaty psiak. Zaśmiewaliśmy się, że jest delfinem, aż w końcu się zakrztusiłam. Poza tym przedstawienie robiło się coraz bardziej ordynarne. Nie chciałam dłużej na nie patrzeć.

Wsiadliśmy z powrotem na rower i udaliśmy się dalej, do Parku Ocalałych.

– O, Igor! – krzyknął postawny gość w bejsbolówce, a mój ukochany zahamował gwałtownie.

– Uszanowanie! Dawno cię nie widziałem, stary! Co u ciebie? Co to za maniurka? No cześć!

Ech, wszelkie miejsca, i w Warszawie, i tutaj, najwyraźniej były naszpikowane dawnymi lub potencjalnymi znajomymi mojego mężczyzny...

Przysłuchiwałam się rozmowie – tamten wypluwał z siebie słowa szybko jak raper – i uśmiechałam się uśmiechem idiotki towarzyszącej, bo nie miałam pojęcia, co by tu wtrącić. A ich ogarnęła absolutna euforia spotkania po latach. Wspominali wspólne sikanie w zawodach kto dalej albo – „buhahaha, Magda, to lepsze!” – że raper nocował w piwnicy Igora totalnie spizgany i uwalony, zawinięty w stary dywan.

Należało uczcić takie spotkanie. Nie, nie tylko alkoholem, bo głód nie wybiera. Mój chłopak dawno nie robił grilla, a jego kumpel też by nie pogardził kielbachą z rusztu. Tylko gdzie, tak teraz, zaraz? Nie bez powodu wśród zalet mojego mężczyzny wypisałam gościnność. Kiedy był w Łodzi, nocował u rodziców, a że po południu wyjechali oni do domku na działce, od razu zaprosił znajomego i mnie do mieszkania. Grilla rozpalił się na balkonie, stwierdził. Nieważne, że grilla tam nie było. Co to za wyzwanie dla pomysłowych Dobromirów? Raper miał pożyczyć sprzęt od swojej nowej sąsiadki. Na podpałkę Igor zaproponował stare krzesła z piwnicy; wystarczyłoby je porąbać. Zaprotestowałam.

– Na bank się potrujemy!

Stanoło na tym, że kupimy węgiel, jak ludzie, do tego żarcie i alkohol, a kumpel Igora odda nam później hajs. Szykował się naprawdę nastrojowy wieczór. Nie miunczałam wyłącznie z tego powodu, że wino podtrzymywało mój (albo sączyło we mnie) dobry humor. Wstawiona raczej nie bywałam miągwą.

Ruszyliśmy na zakupy. W pobliskim markecie akurat zabrakło podpałki, za to cały jej zapas stał przed pobliską stacją benzynową. Igor uznał, że nie ma sensu przepłacać, wystarczy szybko biegać.

– Magda, bądźmy jak Bonnie i Clyde! Od czegoś trzeba zacząć, nie? – śmiał się.

A ja, wyglądająca z nim zza rogu, czułam się jak nastolatka. Czailiśmy się i czekaliśmy, aż odjedzie jedno audi, a pracownik stacji zniknie w budynku. Pochyliliśmy się, żeby nie zauważono nas przez okno. Igor cap za worek węgla i wiejemy! Kurzyło się za nami, dopóki nie zniknęliśmy za rogatką. Tam czekał rower.

– Wyślą w ślad za nami policję węglową – zażartował Igor.

Ileż życia tętniło w tych głupstwach, w trzęsącym się od śmiechu brzuchu! Szaleństwo, jakby mój ukochany huśtał mnie na oponie zawieszanej na drzewie, po samo niebo – „Trzymaj się, Magda, trzymaj się mocno!” – a ja piszczałam z uciechy.

Raper pojawił się punktualnie, do tego nie sam. Przyprowadził sąsiadkę, od której pożyczył ruszt. Akurat nudziła się ze sobą. O nie, nie miałam nic przeciwko niej: postrzępione nogawki spodenek odsłaniały smukłe nogi, opalony dekolt podkreślał zwykły biały top, na który zarzuciła koszulę w kratę w stylu Kurta Cobaina. Krótką fryzurę ułożyła w pazurki, tylko dalej ją mierzić! Swoboda jej zachowania wabiła.

Taka laska od razu pyta cię o papierosa, a jeśli masz, podajesz jej ogień. Chętnie podałam jej go i ja, przypatrując się, jak pochyla głowę i przez chwilę osłania szluga dłonią. Nie obnosiła się ze sobą. Nie zarywała do Igora, a wiadomo, że wyjątkowo ceniłam tę cechę u kobiet. Co więcej, drwiła z obu chłopaków i ich „pomysłowości”. A oni rechotali razem z nią. Przy wszelkiej maści znajomych Igora i znajomych jego znajomych zwykle czułam spinę, ale ta tutaj to był prawdziwy unikat.

Przygotowałyśmy razem talerzyki i sztuce, namówiłam bowiem dziewczynę, żeby pomogła mi nakryć stół, zamiast zajmować się z tamtymi grillem. Dym leciał do mieszkania, ale dziś nie bolała mnie głowa o to, że będę musiała później posprzątać. Kratka zagadnęła mnie, w której jestem klasie, przekonana, że chodzę do liceum! Najwidoczniej wyglądałam coraz bardziej dziewczęco i eterycznie, jakby w moim życiu nie tylko cofał się czas, lecz także nigdy nie działało się nic złego. Oto przewrotność losu!

Sprostowałam, że właśnie kończę studia, a ona prawie otworzyła usta ze

zdumienia. Opowiedziałam jej trochę o zajmowaniu się historią sztuki.

– Ciekawi cię wyłącznie malarstwo czy fotografia również? – zapytała.

Okazało się, że uwielbia robić zdjęcia.

Ponieważ także ja chętnie patrzyłam na świat przez obiektyw, tematów miałyśmy po kokardę.

Działką nowej znajomej był portret.

– Och, i ja się nim zajmowałam, z taką Majką, sama natura!

Kratka preferowała natomiast zdjęcia studyjne. Od czasu do czasu wynajmowała studio od swojej przyjaciółki i spraszała tam modelki. Mnie też sprosiła, z właściwym sobie luzem. Zgodziłam się od razu. Stwierdziła, że jeszcze nie portretowała dziewczyny w takim typie jak ja – delikatnej, ale pełnej życia.

Delikatna, ale pełna życia – powtarzałam z upodobaniem w myślach, wyjmując z lodówki kolejne piwa. Sąsiadka rapera nie wyglądała na rozdającą komplementy na prawo i lewo, komu popadnie, więc tym bardziej się nimi cieszyłam. Siedząc obok niej, strzepywałam z jej ramienia niewidzialne pyłki. Więc kiedy Igor wkroczył z żarciem, popatrzył na nas podejrzliwie. Przysunął się do mnie i chwycił za rękę. Ho, ho, ho! Tym razem to on jest zazdrosny – pomyślałam. I bardzo dobrze! Niech wie, jak to jest, gdy któreś z nas ma tak zwaną koleżankę.

Jego kumpel próbował rozładować napiętą atmosferę żartami suchymi jak przypalona kielbasa. Ale podlaliśmy wszystko procentami i jakoś grało. Razem z rozpuszczonym na cały regulator radiem, dolatującym z kuchni (nastawiłam je dla picu i zapomniałam wyłączyć). Wyłączyłam je, kiedy odniosłyśmy brudne talerze. Kratka zaoferowała pomoc w zmywaniu. Zuch dziewczyna! Panowie zaś skoczyli do monopolowego uzupełnić zapasy, które szybko upłynniłyśmy. Typowy podział na damskie i męskie obszary. Ponieważ zeszła już ze mnie Matka Polka, poczułam się w nią wrobiona. Sama miałam ochotę się przewietrzyć zamiast sprzątać, no ale cóż poradzić?

Gdy mieszałam skorupy w pieniąjącym się zlewie i podawałam je do wytarcia, moja pomocnica podpytywała niby od niechcenia, od jakiego czasu jestem z Igorem. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Czy do stażu doliczyć przerwy? Odparłam, że parę lat i że sporo ze sobą przeszliśmy. Podsumowanie: gość ma szczęście, że na mnie trafił. Kurczę, kolejna osoba ma mnie za lepszą od niego! Nie chciałabym się tym chwalić, ale nie przestawało mnie to dziwić. Igor był bardziej przebojowy, łatwiej nawiązywał kontakty, miał więcej znajomych. Ja przy nim wydawałam się znacznie bardziej cichuska, niż byłam naprawdę. Udałam, że wcale nie okrywam się pąsem po same końce włosów – z powodu następnych słów. Miłych. O mnie.

– Hej, Magda, czy mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie? – usłyszałam.

– Wal! – odparłam, wycierając ręce w ścierę.

– Pocałowałabyś się ze mną przy Igorze?

– Nie wiem.

Cholera, a miałam wyrzucić z głowy panienki! Co jednak zrobić, gdy same mi się do tej głowy wprasza? Istna inwazja! Ja nikogo nie zaczepiam, ja mam rączki tutaj!

– Ale dlaczego nie? – Z głosu nowej znajomej nie zniknął rozrywkowy ton.

– Dla zabawy?

– No pewnie! Tak się nie bawią grzeczne dziewczynki, co? Ty masz coś w sobie... Coś przewrotnego!

Kratka była trochę wstawiona, więc nie wiedziałam, czy w grę nie wchodziła pijacka szczerłość.

– *I kissed a girl just to try it. I hope my boyfriend don't mind it*^[10] – zanuciłam, zaśmiewając się. – Zobaczymy, nic nie obiecuję – wykręciłam się, by wilk pozostał syty, a owca cała.

Głowa mówiła jedno, za to ciało drugie. Ono sprawiło, że i głowa zaczęła kombinować. Jeden całus prędko odfrunie z warg, więc co mi po nim? A może namówić Igora na numerkę we trójkę? Pozbyć się rapera z mieszkania i wprowadzić plan w życie. Kratka wodzi za mną oczami, jeszcze trochę popije i zgodzi się zostać z nami bez problemu.

W końcu mój ukochany sam zaproponował zestawienie dwie na jednego, już dawno, dawno temu. Ja poznałam takie z Majką i jej, a raczej naszym, sponsorem. Powtórka mnie nęciła. Nie powiem, że nie.

Tymczasem Igor i jego kumpel wrócili ze sklepu. Obaj nieźle doprawili się po drodze. Alkoholem, ziołem? Nie wiedziałam, ale dokazywali jak dwa żrebaki. Mogłam się tego spodziewać. Pewnie ich młodzieńcza przyjaźń opierała się głównie na tym.

Towarzystwo się przetasowało. Kratka i raper wyszli na balkon na papierosa, ja z Igorem udałam się do łazienki na poradę. Tylko tam mogliśmy się zamknąć, bo reszta przestrzeni pozostawała modnie otwarta. Bez ogródek wyznałam mojemu mężczyźnie, że ona mnie podrywa i możemy zrobić z tego niezły deal. Oczywiście jeśli on ma ochotę.

Grałam uczciwie, skoro dowiadywał się o moim planie pierwszy. Który facet by odmówił?

Jednak Igora było stać na wszystko. Skwitował, że wypominam mu koleżanki, a chcę iść w tango z pierwszą lepszą lesbą.

Poniosło mnie od razu. Wyklócałam się, że ona wcale nie jest pierwszą lepszą, a interesującą i pociągającą. Nie tak, jak te jego brzydulińskie bez polotu! Wtedy uznał, że się zakochałam.

Chyba go pogrzało. Podejrzywałam, co się kryje pod tą złością. Ja wybrałam nam dziewczynę, nie on. Poczł się pozbawiony władzy.

Jeszcze nie przebrzmiała ta myśl, a Igor złapał mnie mocno, jakby chciał palcami przebić się przez skórę ramion, do samego środka. Spojrzałam zdumiona. Rany, aż tak mu odbiło? Czy ja jestem w programie o patologii, gdzie konkubent wyładowuje się na konkubinie? Tymczasem on odwrócił mnie, przylgnął do mnie całym sobą i wsadził mi ręce pod sukienkę. Mocno ścisnął moje piersi, szarpał je, gryzł mi kark. Napierał na mnie sztywnym penisem.

– Jesteś moja, rozumiesz? – Złapał mnie za włosy i pociągnął.

Podnieciłam się tym „moja”. Jednak!

– Moja! – Popchnął mnie na pralkę tak, że wyciągnęłam na niej ramiona. – Moja zdzira!

Nastrój opadł natychmiast, razem z sukienką i majtkami. Poruszałam się w rytm Igora jak automat. Skończył po paru ruchach.

– A ty jak? – zapytał. – Chcesz jeszcze? Eee, w sumie po co. I tak zaraz będziesz się z nią pieprzyć po kątach.

W odpowiedzi przylgnęłam do niego ustami, żeby uzyskać akceptację, poczuć się z nią lepiej. Przeprosić jego i siebie za swoje skłonności, za kolejny odwrót od heteronormy. Całowałam go tak natarczywie, a zarazem tak wiernopoddajczo, jak lolitka mnie po raz ostatni. Oddał mi pocałunek, ale bez większego zaangażowania. I wyszedł.

Szybko się obmyłam, wciągnęłam bieliznę, sukienkę, poprawiłam włosy. Miałam nadzieję, że moja nieobecność nie trwała zbyt długo. Na szyi i ramionach zauważyłam wyraźne ślady. Liczyłam na to, że nikt pod wpływem nie zwróci na nie uwagi. Sama otrzeźwiałam już dawno.

Wstydziałam się pokazać reszcie, a już zwłaszcza jej. Igor pojął ten wstyd od razu, gdy tylko do nich dołączyłam. Nie darowałby sobie, gdyby mnie czymś nie upokorzył w gratisie. Klepnął mnie w tyłek, aż plasnęło.

– Wąską w pasie dobrze pcha się – skwitował.

Jego kumpel ryknął śmiechem, a Igor do niego dołączył. Ona im nie zawtórowała, ale ich także nie zgasiła.

No tak. Wcale a wcale nie zwrócili uwagi...

Upijałam się od nowa na kanapie, w milczeniu. Nie przysłuchiwałam się też specjalnie trajlowaniu reszty. W uszach brzęczała mi „zdzira”. Podlatywała raz po raz, natrętna mucha robaśnica. Zdzira. Za nic nie mogłam jej odpędzić. Zdzira. Wydało się, co Igor tak naprawdę o mnie sądzi! Podejrzewałam to od dawna. Zdzira.

Byłam jak w malignie. Wyrwałam się z niej, kiedy nowa znajoma zamachała mi ręką przed oczami. Naciskała, by się zbierać, choć raper chciał spać na dywanie. Pożegnała mnie całkiem serdecznie. Byłam jej za to wdzięczna i przestałam się na nią gniewać. Tylko robaśnica wciąż nie dawała mi spokoju.

Zanim poszłam spać, zaszyłam się na dłużej w łazience. Puściłam wodę do

wanny i popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze. Kogo zobaczyłam? Stwora ze smutnymi oczami. Kąciki jego ust żałośnie opadały w dół. Bezradny Zgredku, tylko się nie popłacz! Oj, Zgredku zaraz i tak będzie skomleć, co?

Nie, nie będzie! Trzasnęłam się w policzek i wreszcie spojrzałam z lustra szeroko otwartymi oczami. Mniej w nich było cierpienia niż bezczelności. Dostaniesz za to jeszcze raz, mocniej, obiecałam swojej twarzy. Mocniej! Dostałam przekonana, że powinnam sobie zadawać jak największy ból. Na pewno większy od tego, który zadał mi Igor. Pociągnęłam się zatem za włosy, aż jęknęłam, i wrzuciłam do umywalki ich splątaną garść. Kolejny raz plasnęłam się dłonią. I z drugiej strony! Do tego odmawiałam w myślach litanie, żeby wygonić z siebie zdziwę, utłuc tę muchę na dobre. Jesteś pojebaną suką, popierdoloną dziwką, kryptolesbą, niewyżytą świnią, pomysłową jak sto debilek razem wziętych, zjebem bez przyszłości, bez perspektyw – obrzucałam się inwektywami. Opanowałam się nieco, ale mucha wciąż poruszała skrzydełkami. Jesteś poniżoną szmatą, pełzającą u stóp, by jeszcze bardziej się poniżyć, opętaną marzeniami, nieradzącą sobie z niczym, niekochaną, zamkniętą w sobie, strzaskaną po twarzy przez siebie – ciągnęłam.

Jeszcze jeden trzask i rozpląszczyłam robaśnicę na dobre!

A łzy i tak popłynęły Niagarą. Boże, Boże, Bożenko, jaka ty jesteś słaba! Znów wyżyłaś się na sobie, aby przysłonić to, że ktoś wyżył się na tobie!

Weszłam do wanny. Brr – zatrzęślam się z zimna i odkręciłam kurek z ciepłą wodą. Spływała wartkim strumieniem, a ja zanurzałam w niej głowę. Przypatrywałam się leniwie wijącym się pasmom włosów. Zanurkowałam pod powierzchnię i wstrzymałam oddech. Znieruchomiałam i w myślach błagałam wodę, by mnie zabrała, jednak ona nie chciała posłuchać. Nie wytrzymałam zbyt długo. Podniosłam się gwałtownie i zaniósłam kaszlem.

Do łóżka wsunęłam się bez słowa. Igor chrapał, zalany w trupa. Śmierdział identycznie jak mój ojciec w dniach swojej alkoholowej chwały. A mnie ogarnęła kolejna faza bólu. Przejmował do krzyku, lecz ja tylko zwiżałam się i otwierałam usta. Zupełnie jak niema ryba wyrzucona z wody. Przysięga, którą złożyłam lolitce w Gdańsku, była jednym z trupów na jej rysunkach. A być może każdym trupem.

Kolejnego dnia Igor powiedział tylko, że trochę go poniosło. Nie wytłumaczył, o co dokładnie mu chodzi, nie znalazł czasu. Spał do południa, później medytował, a po południu wybrał się na spotkanie łódzkich buddystów. Świętoszek się znalazł! Tym razem przypominał mi moją matkę, której modlitwa nie przeszkadzała dręczyć innych. A dręczenie innych nie przeszkadzało jej w modlitwie.

Rozstaliśmy się dość chłodno, ale umówiliśmy się na następny weekend w Łodzi. Chciałam się z nim zobaczyć, żeby na kolejnym spotkaniu wszystko nam się ułożyło. Nie mogłam jechać do niego do Warszawy, bo zaciskałam pasa na kaucję

za wynajem pokoju od października. A tylko Igor miał moc przykrycia swojej przemocy wobec mnie kocem, swoim ciepłem. Zresztą i ja dołożyłam kilka cegiełek w doprowadzeniu go do skrajności. Och, taka przemoc w miniskali, wszak z tasakiem za mną nie latał... Mimo całego zaślepienia pojmowałam, że znów się od niego uzależniam. Odejście było ostatecznością. Trzecie rozstanie w ciągu niespełna pół roku? Kto by dał sobie z tym radę?

Nie dopytywałam mojego chłopaka o magisterkę, żeby dodatkowo się nie wnerwiać. Ja swoją miałam gotową. Oddałam już promotorowi ostatni rozdział i w tygodniu pojechałam po werdykt. Profesor nie miał żadnych zastrzeżeń, ani merytorycznych, ani wobec stylu. Cała praca bardzo mu się podobała. Chwalił innowacyjność ujęcia tematu, wczucie się w dzieła (ha, ha!) i ich staranny opis. Ustalił termin obrony na początek października.

Nie posiadałam się ze szczęścia. Spadł mi kamień z serca, więc na moment stałam się niesłychanie lekka. Obecnie obrona magisterki to wyłącznie formalność.

Nie wiem, czemu w każdej szkole byłam porządna, ale poza nimi pozwalałam traktować się jak szmata. Cała ja, intelektualistka z pozorów, głupol w życiu. Moje ciało należało do tej głupiej części mnie; z umysłem nie znała się nawet z widzenia. Tak czy owak, nie miałam z kim świętować naukowego sukcesu. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie pojechać do brata albo, o laboga!, do rodziców, choć solennie obiecałam sobie, że moja noga tam nie postanie. To, co wyprawiali, budziło śmiech przez łzy. Z bratem utrzymywałam sporadyczny kontakt i od niego miałam wszelkie newsy. Pewnie znów chciał mnie nimi zwabić na rodzinne łono.

Otóż zaręczył się z tą swoją wyjątkowo pustą dziunią. Moja matka nadal za nią wprost przepadała, ojciec tak samo. Ona gotowała zakochanej parze niedzielne rosółki. On podsuwał przyszłej synowej co lepsze kąski. A ja chętnie opowiedziałabym dziuni, jak czuła jej teściówka potrafi być wobec dzieci. A teść to już w ogóle. Tyle że za namową przyszłej synowej zapisał się do przykościelnego klubu AA. Chodzili z matką na tamtejsze imprezy, jeździli na klubowe wycieczki. Oczywiście kłócili się nawet wtedy, ale podobno mniej ostro niż dawniej. I czekali na wnuki. A także na huczną wizytę córki marnotrawnej.

Chyba dostali kuku na muniu! I chyba dlatego wyleciało im z głowy, co mi – nam, sobie – wyrządzili. Otrzepali się po tym z łatwością psiaka po kąpieli. Radek puścił im wszystko płazem, wybaczył hurtem. Niech im się szczęści, daj Boże, ale beze mnie. Happy endy widocznie nie są dla takiej jednej Magdy.

Spełniły się moje szurnięte marzenia o sieroctwie.

Najbardziej szkoda mi było utraty dobrej relacji z bratem. Już nigdy mam mu nie powiedzieć, że jeżeli będzie zbyt cwany, pająki wciągną go za obraz? I nie pomoże mu wprawa w ich hodowli. A tak poważnie, to czułam przed nim wstyd. Miał stabilne życie, dostał już staż (płatny!), sprawdzał się w firmie. Tylko patrzeć,

a zatrudnią go po studiach jako programistę. Jego związek na pewno był normalniejszy od każdego z moich. W porównaniu z tymi osiągnięciami lolicia magisterka blakła. Kogo obchodzi, ile włożyłam w nią pracy? Kogo obchodzi sztuka?

Radek zawsze był synusiem jak z obrazka, Magda córką jak z horroru.

Często czułam się dogłębnie sama. I nie mam na myśli wyłącznie sytuacji rodzinnej. Raczej nie byłam częścią. Nawet w centrum uwagi nie byłam częścią. W środku miałam odrębną przestrzeń, bez ludzi. Znajdowało się w niej to, co kochałam, i to, co mnie pożerało. Różne emocje, które dopiero potem rozkładałam na ludzi. Często na obcych.

Koniec końców, w celu świętowania sama wybrałam się na Pietrynę. By poprawić sobie humor, zatrzymałam się, wtórując śpiewowi młodej ulicznej gitarzystki. Zrobiła mi miejsce, więc przycupnęłam obok niej, na skrawku murku; wystawał przed witrynę sklepu, w którym wszystko było po cztery złote. Dziewczyna miała na imię Danka. Drobna, ruda, w potarganym koczku, kojarzyła mi się z Małą Mi. Szarpała struny, aż migaly w oczach jej obgryzione paznokietki. Odpryskiwał z nich czarny lakier. Grała całkiem dobrze, a do tego wydzieriała się nie gorzej od marcujących się kotów. Przechodnie szli w takt jej piosenek.

Po drugiej stronie ulicy spacerował nie kto inny, a dyra z gimnazjum! Nie zauważyła mnie. W sumie szkoda.

Za to okoliczne obszcymurki i moczymordy bacznie przyglądały nam się z ławki. Drapały się po brzuchach, odsłaniając kolejne warstwy ubrania na cebulkę, dość brudną i śmierdzącą. Jeden zarośnięty brodaczk zaczął nawet klaskać do taktu. Jego nastrój udzielił się reszcie łoży – jej członkowie uderzali dłonią o dłoń, przytupywali, kołysali się na lewo i prawo. Prowodyr wstał i podrygiwał niedaleko. A cała reszta poszła za nim. Po prostu bohaterowie karnawału!

Coraz głośniej wydzieriałam się podczas tego kilkuosobowego święta ulicy. Ubaw żulików rósł również. Właściwie czemu nimi gardziłam? W czym byłam od nich lepsza? Mieli takie same kości, mięśnie, w tym sercowy: dwa przedsionki, dwie komory. Tak samo lubili tańczyć, żeby serce zabiło im mocniej. Tak samo szukali zapomnienia. Mimo że bałam się, że się do nich przylepię, zaczęłam płasać razem z nimi. Odór długo niemytych ciał ulotnił się (albo mój nos się do niego przyzwyczaił). Wszyscy śmialiśmy się w głos, łapiąc się pod ramiona i wirując. Obracali mną, aż furkotało. Kłaśnięcie i w drugą stronę! To był prawdziwy taniec. Taniec radości, nie podrywu. Ludzi, nie obiektów seksualnych. Po prostu taniec. W żadnym klubie nie bawiłam się równie dobrze.

– Królowo złota! – wołali na mnie.

Dance też udzielił się nastrój. Szarpała struny. Włosy powychodziły jej z koczka i łaskotały ją po policzkach. Zdmuchiwała je i grała dalej, niestrudzona. Obszczeły nas dwa mopsy. Przechodzące panusie popatrywały z

powątpiewaniem na pląsy, postukując pantofelkami. Gałganiarze są wspanialszy, bo prawdziwsi, proszę paniuś. Kto wie, może do nich dołączyć, wyjdę na ulicę, na Bal Gałganiarza. Ten Kopciuszek nie może się z nim równać, nie ma dwóch zdań. Właśnie dlatego, wzorem młodych aspirujących, wyrabiałam sobie odpowiednie znajomości na mieście.

Niestety, wszystko, co dobre, szybko się kończy. Musiałam dorzucić się żulikom do flaszki, skoro wyciągali ręce w oczekiwaniu. Obstąpili mnie i nie chcieli dać spokoju. Cóż, taka ich natura. Wysypałam jednemu w garść wszystkie drobne, jakie miałam.

– Królowo złota! – wrzasnęli jeszcze na odchodnym, po czym zabrali się i poszli.

Wróciłam na murek do Danki, a ona uznała, że jestem stuknięta. Niemało stukniętych tu widywała, a ja wyglądałam na nieszkodliwą. Phi, ona za to supernormalna! Nie zgłębiłam do końca sekretu, dlaczego koncertuje na ulicy.

– Bo lubię. Lubię tu siedzieć i grać.

O, i tyle się dowiedziałam.

Dalej zgodnie tworzyłyśmy kocią muzykę. Przerobiłyśmy prawie cały jej zeszyt z wypisanymi słowami piosenek i akordami. Wyśpiewywałam przy niej chyba to, czego nie wyśpiewałam, gdy Igor grał na gitarze przy tamtej. Fantazjowałam, że ludzie przechodzący Pietryną składają mi gratulacje z powodu magisterki.

Wieczorem podszedł do nas chłopak, taki szczypiołek z reklamówką. Wyjął z niej kanapkę dla Małej Mi i drugą, niby dla mnie.

– Nie jestem głodna – podziękowałam, więc wgryzł się w nią sam.

Wracał z pracy, a Danka jutro też miała do niej iść, cokolwiek robili. Z ich rozmowy wynikało, że mieszkają razem. Wyglądali mi raczej na rodzeństwo niż na parę. On przechwycił gitarę. Przystawali przy nas kolejno jego znajomi. Zapraszali nas do zrobienia wina w bramie. Nie miałam nic przeciwko nim ani przeciwko winu, ale musiałam powiedzieć „nie”. Jeszcze bym się z nimi w tej bramie pieprzyła, znając siebie i swoją żądzę przygód. Dziś już nie chciałam nowych. Pora było się zbierać.

Mała Mi machała do mnie, dopóki nie zniknęłyśmy sobie z oczu.

Przed snem zajęłam się tworzeniem kolejnego wykazu plusów i minusów rozstania się z Igorem. Nie miałam z kim o tym pogadać, a w samotności rozważania atakowały mnie cały czas, nadmiernie. Tyle że papier słygnie z tego, że przyjmie wszystko. „Plusy: nie jestem odrzucana, nie jestem poniżana, nie przeżywam, że on nie pisze/nie dzwoni, nie tęsknię, nie martwię się o niego, nie odczuwam jego sprzeczności i napięć, nikt mi dodatkowo nie niszczy pewności siebie, jestem spokojniejsza, bardziej pracuję nad sobą”. Z minusami poszło trudniej, choć wypisałam ich sporo. A następnie każdy rozważałam. Na przykład

minus: „Tracę przyjaciela i nie mam się komu zwierzyć” nie miał nic wspólnego z rzeczywistością, bo Igor przestał być moim przyjacielem. Wydawało mi się, że on najlepiej mnie rozumiał, a tak naprawdę nie rozumiał wcale. I przede wszystkim nie szanował. Po zawierzeniu mu swoich myśli nie poczułabym ulgi i bezpieczeństwa, a wyłącznie strach, że on wykorzysta je przeciwko mnie. Tak samo pozbawiony sensu był minus: „Nie mam z kim poszaleć”. Mogłam powariować choćby z ludźmi z ulicy i stać się na tę chwilę częścią. Zatem jedyny minus, jaki pozostawiłam na liście, głosił: „Nikt mi nie ogrzewa wiecznie zimnych dłoni i stóp”.

Po postawieniu ostatniej kropki nadal byłam w kropce. Wydawało mi się, że tym razem postępuję wobec Igora i nas zbyt niesprawiedliwie. Wahałam się, czy nie nazbyt pochopnie przekreśliłam nasz dorobek. On, mężczyzna, rozhuśtał oponę, na której siedziałam, i sobie poszedł, a ja sama nie potrafiłam jej zatrzymać. Zbliżał się weekend, który miał dowieść, czy warto dalej siedzieć na huśtawce, czy lepiej z niej zeskoczyć. Na łeb na szyję, ale po zdrową niezależność.

Igor dostał zaproszenie do Owoców i Warzyw na premierę teledysku autorstwa jednego z tych swoich niezliczonych znajomków. Mieliśmy się spotkać na miejscu. Zgadnijcie, z kim wparował do knajpy ten mój arcytowarzystki mężczyzna? Uwaga, uwaga: z lampucera! Ona dumnie kroczyła w tym swoim nieodłącznym krowim łańcuchu na szyi. Dosiedli się, uchachani, jak zakochana para do singielki. A mnie zatkało.

Nastąpiła sytuacja podobna do tej, gdy na osiemnastce dziewczyny z klasy jubilatka postawiła przede mną szklankę. Zmieszała drinka, który wcale mi nie podchodził. Panował upał i bardzo chciało mi się pić, jednak bałam się ją poprosić o drugą, czystą szklankę. Patrzyłam na stojące na stole napoje, w których i tak nie zanurzyłabym wyschniętych na wiór ust. Umierałam z pragnienia, nieruchomy wielbłąd pośród oazy. Liście palm – powiewające nade mną balony i serpentyny – wachlowały zdechlaka.

Teraz wpadłam w identyczny bezruch. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, zupełnie jakbym założyła pelerynę niewidkę. Powtórnie zadreślałam się, co Igor w niej widzi. Co ma ona, czego nie mam ja?

Teledysk był do bani: migające paski, które krzyżowały się i rozchodziły w rytm dudniącego techno. Awangardowy op-art w wersji dla ubogich. Ale hipsterstwo lało po nogawkach z podziwu dla samego podziwu i ścisnęło autora, aż flaki prawie wychodziły mu na wierzch. Mój ukochany był do bani jeszcze bardziej niż wszystko wokół.

– Spadaj mi po piwo! – Przemogłam się, aby dać znać o swojej obecności.

Owszem, poszedł do baru je zamówić, lecz potem trząsał się z oburzenia nad tym, jak się do niego zwracam.

– Żadnego „proszę”, no wiesz co?

A w jaki sposób on się zwracał do mnie? Tyle że nie przy znajomych, na których chciał zrobić wrażenie. Nawiasem mówiąc, tamtej też wziął piwo. No, człowiek z sercem na dłoni! Czarujący, nawet wytłumaczył mnie, że taka jestem, gdy szaleją mi hormony.

Ciężko słuchało się tej jego gadki, ale słuchałam jej, żeby niczego nie uronić. Igor rozpływał się nad tym, że jeden kumpel (o, siedzi przy tamtym stoliku, widzicie?) ma wstęp na imprezę w Szóstej Dzielnicy. Imprezę zamkniętą. Ale może zabierze nas ze sobą. Poświęci te wejściówki, czy co tam ma do poświęcenia, żebyśmy poznali łaskę pana!

Mój chłopak ciągle stawiał na hierarchię, zamiast na anarchię. Wierzył w system tworzony na podstawie lansu. Znajdował się bliżej szczytu, jeśli znał jakiegokolwiek bananowego cwaniaka stamtąd. On dopiero mógł pasować Igora na rycerza-lansera.

To już wolałam szanować listonosza, jak moja babcia. Listonosz przynajmniej pracuje na jej szacunek. Prosta babcina prawda, że o człowieku świadczy on sam, nie jego znajomości, bardziej do mnie przemawiała.

Zła jak osa stanęłam w długim, zakręconym ogonku do toalety. Działanie piwa na pęcherz jest ogólnie znane, tymczasem czynna była tylko jedna kabina. Kiedy stamtąd wróciłam, lampucera stwierdziła, że ona nie będzie stać w kolejce.

– Wolę załatwić się w bramie – powiedziała.

Oto dama nad damami, warszawianka z dziada pradziada! Zapytała mojego mężczyznę, czy będzie jej towarzyszył.

Szczęka mi opadła. Rany boskie, miał ją trzymać? Czy ja jestem w zwariowanym haremie, tylko tego nie wiem?

Nie odezwałam się ani słowem, a oni naprawdę wyszli szczać na zewnątrz!

Podczas ich nieobecności zastanawiałam się, czy lepiej wytargać lampucere za kudły, czy oblać ją piwem. Wybrałam bramkę numer dwa. Chcąc nie chcąc, musiałyby iść do łazienki, a ja pomaszerowałabym za nią, że niby znów mi się chce. Przeziębiony pęcherz. Doskonale!

Majstrowałam w głowie taką oto scenę: wpycham się za nią i popycham ją w stronę umywalki. Za dużo się nie miota – i dobrze, bo przecież inaczej nie dam sobie rady. Oprócz jej oszołomienia siły dodaje mi niezawodny alkohol.

Upiłam jego łyk i kombinowałam dalej.

Łapię ją jednak za te strąki, uderzam jej głową o krawędź zlewu. I jeszcze raz. Ona szarpie się, próbuje się uwolnić, ale skoro mam lampucere w garści, łatwo nie wypuszczam. Nie, nie roztrzaskuję jej łba. Po paru walnięciach pozwalam się jej wyprostować. Ściskam ją wtedy za kark. Niech popatrzy ze mną w lustro! Obserwujemy krwiste pasemka na polakierowanej grzywie, ostatni krzyk mody. Kapie z nich nadmiar farby, więc cienkie czerwone strugi przecinają nos. Ona odwraca twarz i przesuwają pod nią ręką. A ja puszcza ją i wychodzę. Mijam

Igora obojętnie, jakbym nigdy nie miała z nim nic wspólnego. I tyle mnie widziano. Oczywiście on wpada w szał. Dzwoni do mnie, drze się jak opętany i zakazuje mi się do niej zbliżyć. Do siebie tak samo.

W moich żyłach płynęła zemsta, która nie miała szans się dokonać.

Kiedy wrócili, lampucera pytowała z kolesiem od rzekomej imprezy dla wybrańców. Poprawiała napuszone włosy i przemawiała tym swoim ochrypłym głosem wyliniałej kocicy. Zanosila się śmiechem, który z założenia miał brzmieć perliście, a brzmiał jak śmiech starego marynarza po paru głębszych. Potykała się o własne nogi, jakby szła po pokładzie rozbujanego statku. I bum!, znów klapnęła obok nas. Wtedy kazałam Igorowi się odprowadzić.

Oj, chapło ją zdziwko, chapło, lecz miała całe nowe piwo do wypicia. A mnie tak bolała głowa, ajaj!, że musiałam wyjść natychmiast.

– Kto ją odprowadzi do kumpeli na nocleg? – pytał zatroskany Igor, ale ja skwitowałam, że to nie problem.

Złapałam go za rękę i prowadziłam do wyjścia jak byka, który się zapiera.

Puś tu, byku! Puś tu!

Na ulicy wyrzucałam mu, jak mógł mi to zrobić. To znaczy przyprowadzić tę krowę na spotkanie ze mną.

– Po prostu zgadaliśmy się – oświadczył. – Ona chciała jechać na weekend do Łodzi, ma tu znajomych, to przyjechaliśmy jednym pociągiem.

– I poszliście nawet w jedną bramę. Tacy zgrani jesteście? No popatrz!

– Magda, ciebie naprawdę rypie. Coraz gorzej z tobą. Myślisz, że podnieca mnie, gdy kobieta wypina dupę i sika? Poprosiła, to poszedłem. Jest ciemno. Chyba zrobiłem jak dżentelmen, nie?

– Nooo, jesteś dżentelmenem pierwsza klasa! Dam ci medal za zasługi.

– Czy ty widzisz, co się dzieje? Ledwo się spotkaliśmy, a ty robisz aferę.

Igor uwielbiał zwać winę na drugą stronę, zamiast przyznać się do błędu. Skorzystałam z jego metody.

– To ty doprowadzasz do afery, więc się nie dziw.

– Tamta dziewczyna nic dla mnie nie znaczy. Nic. Naprawdę nic – powtarzał.

– To dlaczego... – rozszlochałam się. – Dlaczego byłam dla ciebie niewidzialna? Nie widzieliśmy się przecież od tygodnia!

Daję słowo, miał facet talent do rozpętywania we mnie hysterii.

– Nie byłaś – powiedział nieco milej.

Wzbudziłam jego litość.

– Jasne! Ona tobą manipuluje! Wy tak na siebie patrzycie...

– Nie wierzysz mi?

Gadaliśmy tak bez sensu i bez końca, aż zaschło mi w gardle. Bo on taki przyjemniaczek, a ja taka w kącie, humoru dziś zero, bryluję tylko i wyłącznie w

rozmowach prowadzonych w kolejce do kibla. Trudno żebym uśmiechała się jak pajac i zabawiała towarzystwo żonglerką, gdy: a) nie umiem żonglować, b) widzę, co wyczynia osoba, która testowałaby swój wątpliwy czar nawet na paprotce doniczkowej. I tak dalej, argument i kontrargument. Wreszcie ustaliliśmy, że robimy dwa tygodnie przerwy. Bez żadnego odzywiania się do siebie. A później zadecydujemy co dalej.

Podskórnice czułam, że moje dalej będzie bez niego. Mnie już nie chciało się walczyć o tę chorą miłość. Brakowało mi siły, a potrzebowałam jej więcej niż kiedykolwiek.

Ludzie specjalizują się w różnych rzeczach. Na przykład jedni są dobrzy w matematyce. Czemu ja, urodzona humanistka, mam się miotać, bo nie znam się na równaniach różniczkowych? Inni wykazują osiągnięcia w równaniach miłosnych. Zawijają szczęśliwe związki, dzięki którym rozkwitają. Poświęciłam Igorowi nie wszystko, ale i tak wiele. Zbyt wiele. I zwiędłam. Wmawiałam sobie, że nie on zrobił mnie w bambuko, a właśnie miłość. Dlatego przestanę się miotać. Bo nie znam się na niej. Będę obserwować ją z daleka, jakby mnie była niepotrzebna. Przecież z podobnego dystansu obserwowałabym cudze sukcesy w matematyce. I zajmę się czymś zupełnie innym.

Nikt nie będzie huśtał moim samopoczuciem, nikt nie skłoni mnie do destrukcji.

Było to tym właściwsze podejście, że moje pieniądze stopniały szybciej, niż przypuszczałam. Ech, wszystko przez te Gdański, Warszawy i flachy-pocieszajki! Potrzebowałam zasilić konto. Pomógł mi fejs, podsuwając następną niespodziankę – jedna znajoma ogłaszała wszem wobec, że szuka hostessy na zastępstwo. Chodziło o rozdawanie czekoladek w hipermarkecie od piątku do niedzieli.

Pisałam się na to! Już tak pracowałam, książeczkę sanepidowską miałam, więc żaden problem.

Próbowałam uspokajać się przed snem, żeby mieć energię na uśmiechanie się od ucha do ucha przez kilka dni. Pragnęłam być dla siebie dobra. Bardzo dobra. Również po to, żeby odebrać Igorowi władzę nade mną i moimi popędami.

Podwinęłam koszulkę na ramiączka, aż wyrzały zza niej piersi. Zsunęłam majtki i wrzuciłam je za łóżko. Właściwie od dawna nie poznawałam mojego ciała sama centymetr po centymetrze. Zanurzyłam dłonie we włosach i przeciągnęłam nimi po nich; sięgały prawie do pasa. Muskałam się po szyi, przymknąwszy powieki. Zaciągałam się ciemnością, która wisiała pod nimi. Przeciągnęłam rękoma w dół twardych ramion, potem po łokciu, do cienkich przegubów i z powrotem. Piersi czekały na swoją kolej. Ech, nie mogły się doczekać! Rozmasowałam je delikatnie. Spomiędzy palców raz po raz wysuwały się sutki; poślinałam palce i smyrałam je samymi opuszkami. Tak mi było dobrze. Śluz już ze mnie wychodził, prosto na uda. Biedne, ze śladami po poszatkowaniu! Czułam pod

nimi nasiąkające mną prześcieradło. I wreszcie... Wreszcie dotknęłam śluzu i popłynęłam z nim, pod prąd, do samego źródła. Do środka akwarium z miękkimi ściankami. Wpadłam w nie z pluskiem i rozszerzyłam nogi.

Zamieniłam się we własne pieszczoły.

Jak ktokolwiek, kiedykolwiek może darzyć takie wspaniałe miejsce obrzydzeniem? Nawet gdy jest pełne krwi? Po co cały ten wstyd – dumalam.

Choć sama miałam na sumieniu niejedną taką myśl.

Pamiętam, kiedy dostałam pierwszą miesiączkę. To działo się na wsi, u sąsiadki babci. Obie popijały kawusie i plotkowały, a mnie zesłały na podwórko. Młodsze chłopaczyska buszowały w stodole. Zajrzałam tam. Byłam jedyna, dlatego różnica wieku in minus nie przeszkodziła im wrzucić mnie, nastolatki, prosto w wielki stos ziaren. Miałam na sobie krótką spódniczkę. Poczzerwieniałam, ale tradycyjnie, z zażenowania, nie byłam w stanie wypowiedzieć słowa. A później poleciałam do mieszkania babci, do toalety, by w spokoju wyjąć z majtek te cholerne ziarna. Bałam się, że dostanę od nich jakiegoś zakażenia. Kiedy wreszcie je wysypałam, zobaczyłam krew na spodzie bielizny. Przypuszczałam, że ostre ziarna mnie zraniły, ale krew nie przestawała płynąć; właściwie leciała ze mnie ciurkiem. Nie mogę tak jechać na rowerze do sklepu po jakieś opatrunki – pomyślałam. Aż w końcu przyszło mi do tego durnego łba, że to równie dobrze może być moja pierwsza miesiączka. Babcia już przyszła, zaniepokojona, czemu wyleciałam z podwórka sąsiadki jak oparzona. Powiedziałam jej nie o ziarnie, a o okresie. Pojechała po podpaski. I sama z siebie przekazała nowinę mojej matce.

Kiedy więc wróciłam do domu, prawie w progu naszego mieszkania dostałam kolejną paczką Always. Matka nie zapytała o nic, choć ja czułam się tak, jakbym umierała. Tak bolał mnie brzuch. Często mi dokuczał, ale teraz prawie mdlałam. Ukrywałam cierpienie, bo nie miałam śmiałości mówić matce wprost o takich dolegliwościach. Nienawidziłam ciała, które mi je zgotowało.

Niedługo potem wylądowałam u dziecięcej lekarki, przeziębiona. Matka wysłała ze mną brata, bo podobno nie dała rady specjalnie zwolnić się z pracy. Czekaliśmy oboje przed drzwiami gabinetu, przewracając oczami, ale do środka weszłam oczywiście bez Radka. Doktorka kazała mi się rozebrać do pasa i osłuchiwała płuca. Dostałam jeszcze większych dreszczy – z choroby, bliskości, zimna słuchawki stetoskopu przytykanej do rozpalonego ciała. Lekarka była całkiem młoda i ładna. Ilekroć zerkała na mnie ogromnymi miodowymi oczami, tylekroć ja odwracałam wzrok. Zapytała mnie, czy mam jeszcze jakieś dolegliwości. Wspomniałam o bólach brzucha.

– To nie ubieraj się jeszcze i połów się na leżance – zarządziła.

Z wahaniem wyciągnęłam się na kozetce, a ona usiadła tuż obok. Ugniatała mi brzuch pięknymi wypielęgowanymi dłońmi i pytała, w którym miejscu mnie boli.

– Ale jesteś spięta. Rozluźnij się.

Łatwo jej było mówić!

Przesuwała dłońmi coraz bliżej guzika moich spodni. Poprosiła, żebym go odpięła.

Szelest fartucha, ucisk, drżenie i ciepło sprawiły, że nie wiedziałam, gdzie mnie boli. Nagle nie bolało nigdzie. Tylko trzęsłam się, chorągiewka na wietrze, już cała w wypiekach. Uznałam, że jestem nieźle stuknięta, a lekarka pewnie wyrobiła sobie identyczne zdanie. Patrzyłam w sufit jak sroka w gnat, bo nadal bałam się choćby spojrzeć na nią. Wtedy nie wiedziałam, co to znaczyło. Teraz już wiem.

Pomyśleć, jaką drogę przeszłam od tamtego wydarzenia do dziś. Drogę Mleczną, pełną gwiazd. Ciało, właśnie mamy zgodę – oznajmiałam mu w myślach. Kocham cię tak, jak kochałam inne. Miałam nie tykać kobiet, więc pocieszam się sobą. Przenikając siebie, fantazjowałam jednak, że robi to inna osoba, ta lekarka.

Podczas kochania się z kobietą w zatraceniu zatracą się również rozeznanie, która pływa w jakim akwarium. One się ze sobą zlewają. Istnieje tylko cudowna woda. Ona przemienia wszystko, co się w niej zanurzy.

Długo nie wychodziłam z tego najwspanialszego świata. Drażniłam ulubiony punkcik. Uparcie chciałam nie tylko drugiego orgazmu, lecz także trzeciego, a potem czwartego. Swoim zwyczajem testowałam się, ile wytrzymam.

Zasnęłam z ręką w sobie.

* * *

W czarnej sukieneczynie, odpowiednio krótszej niż ta Mortishii, przechadzałam się z tacą wypełnioną czekoladkami między regałami pełnymi słodyczy.

– Mleczna czy gorzka? – pytałam.

Jeżeli dłoń sięgała po kawałek mlecznej, mówiłam, że ja też ją uwielbiam.

– Tak, zgadzam się z panią, niesłodka czekolada to nie czekolada. Tej (tu wymieniałam nazwę producenta) nikt nie przebije. Wprost rozplywa się w ustach. Podać jedną? Dzisiaj mamy promocję.

Podchodziłam do mojego stoiska i sięgałam po czekoladę. Z ręki do ręki, do koszyka, do kasy. Sprzedane!

Jeżeli dłoń sięgała po kawałek gorzkiej, z zapalem kiwałam głową.

– Tak, ja też zawsze wybieram gorzką. Jest zdrowsza, ma pani rację, od niej dupa nie rośnie, ha, ha, ha. A w tej (tu nazwa producenta) jest bardzo duża zawartość kakao. Podać jedną? Dzisiaj mamy promocję...

I tak dalej.

Nie wiem, ile uśmiechów posyłałam na minutę, ale dzięki nim wciskałam więcej czekolad. Płacono mi od godziny, nie od sztuki, jednak chciałam na dłużej zakotwiczyć na takich promocjach. Działały na mnie terapeutycznie, naprawdę.

Leczyły z ponuractwa i udowadniały, że jeśli chcę, powracająca co rusz nieśmiałość nade mną nie panuje. Musiałam robić swoje, być grzeczna, usłużna i cierpliwa – cokolwiek usłyszałam od klienta i cokolwiek przetaczało się przez mój umysł. Uważałam wcielenie hostessy za całkiem interesujące. Osoby dostępnej, usługującej i odległej naraz.

Kiedy wyszłam w poszukiwaniu klientów poza „moje” alejki, spotkałam więcej dziewczyn, które obsługiwały degustacje. Nakładały do plastikowych miseczek odgrzewane gołąbki i klopsy. Rozlewały do plastikowych kubeczków soki i wina. Parzyły kawę i herbatę. Były takimi wymarzonymi lolitkami, uładzonymi, jak z obrazka. Błogo uśmiechnięte przechadzały się posuwistymi krokami, aż powiewały za nimi włosy. Jednak mój zachwyt nie oznaczał podrywu. Jakoś nie miałam ochoty. Zdawałam sobie sprawę, jakie maski one tu noszą, bo sama nosiłam identyczną. Bycie anielicą w każdej sytuacji, bez względu na cudze zachowanie, jest typowo kobiecym zajęciem.

Napędzałyśmy sobie nawzajem klientów. One cieszyły się, że jeszcze mają wakacje i nie musimy uczyć się na poniedziałek. Migiem zaliczyły mnie do swojego grona, a ja nie przyznawałam się, ile mam lat.

Byłam tu w celu nakręcania sprzedaży, ale chwyciłam za ogon i drugą srokę. Sprawiałam innym przyjemność, poprawiałam humor, powtórnie wcielona w karmicielkę. Najwdzięczniejsze były dzieciaki. Dorosłym, po których widać było, że ledwie wiążą koniec z końcem, specjalnie podsuwałam po kilka kawałków czekolady. Mówiłam, że wtedy lepiej poczują smak, aby nie poczuli się dotknięci. Uważałam, że wyciskam z systemu wartość dla tych, których on odrzucił, uznając za maluczkich. Syciłam ich jego nadmiarem. Zresztą sama byłam równie maluczka; system kiwał nas wszystkich. Moje i cudze kiwanie było przy tym niczym. Niektórzy klienci specjalnie robili wokół mnie i innych hostess kilka rundek, żeby zaliczyć w ten sposób bezpłatny obiad i deser. Większości z nich wcale nie burczało w brzuchach z biedy. Kierowała nimi zwykła chciwość.

Dobrze, że sprzedawałam o wiele więcej czekolad, niż rozdałam, bo inaczej zebrałabym opierdół od przedstawiciela firmy. Odwiedzał mnie i pytał o wyniki. Na szczęście orientowałam się, co, komu i jak wcisnąć. Już podczas jego pierwszej wizyty wyszło szydło z worka – promowanym słodyczom lada dzień kończył się termin ważności, stąd degustacja i promocja. O tym klienci mieli nie wiedzieć. No cóż, dobrze, że czekolady wciąż były dobre. Na wszelki wypadek sprawdzałam datę przydatności na każdej, którą dzieliłam w foliowych rękawiczkach na specjalnie przygotowanym stoliku. Nikogo nie zamierzałam otruć! Później rozkładałam tafelki na tacce. Na lewo mleczne, na prawo gorzkie. Przy sprzedaży musiałam jednak w pierwszej kolejności wypychać tabliczki, które miały stracić ważność lada chwila. Wpychałam je tym, którzy najbardziej zadzierali nosa, i obsypywałam swoją gadkę odpowiednią porcją cukru pudru.

Tam, gdzie kończyła się alejka ze słodyczami, zaczynały się lady działu mięsnego. Uwielbiałam wystawać na ich granicy. Przed tymi gablotami ludzie stawali się najbardziej podobni do zwierząt. Łaknęli śmierci, która ich wykarmi. Cudzych mięśni, narządów, krwi, tłuszczu. Zrównywali się ze sobą, stojąc w kolejce. Cudzą i własną zwierzęcość misternie opakowali w cywilizację.

Podziwiałam bebechy, które znalazły się na wierzchu, estetycznie wyeksponowane i nowocześnie podświetlone. Jarzyły się kolorami jak na wystawie sztuki. Amarantowy, arbuzowy, łososiowy, malinowy, pąsowy, róż indyjski, pompejański i wenecki, rubinowy, bordowy, burgund, ceglasty, cynobrowy, czerwień alizarynowa, wzrokowa i żelazowa, kardynalski, karmazynowy, karminowy, makowy, poziomkowy, rdzawy, rudy, szkarłatny, truskawkowy, wiśniowy. Nieprzebrane, prowokacyjne bogactwo odcieni cieszyło oczy, poprzetykane tłuszczem i kośćmi dla kontrastu. Artyści powinni wystawać tu godzinami, po inspirację od mięsnych muz. Nic, tylko brać. Nic, tylko kupować piękno. Na kilogramy.

Sprzedawczynie stamtąd wciąż wołały mnie i podzerały mi czekoladki. A jakie były biuściaste! Nic, tylko przyłgnąć i się wtulić w ich piersi. Buch! Równie pulchne piersi kurczaka lądowały na desce.

– Dać jeszcze? A kaczuszka jest gotowa do pieczenia, wsadzi pani do piecyka i już!

Oto przekupki z targu. Podpierają się pod boki, wołają, co dziś mają, ale w ultrahigienicznych warunkach. Pośród wypucowanych kafelków, z czepkami, rękawiczkami i kodami kreskowymi, oprócz rzeźnickich noży i tasaków. Opadały te gilotyny, przecinały mięśnie, ścięgna, błony. Na życzenie klientów ekspedientki miały mięso w maszynie. Jej otworami wychodziły krwiste smarki z kropelkami tłuszczu. Już można wsadzić do foliówki. Cap! Klientka chwytą ją w swoje dłonie zakończone spiczastymi pazurami. Właściwie przypominały one kurze łapki, rzucone na stos...

Sprzedawczynie uwijały się jak w ukropie. Nieustannie miały, kroili (wywołując moje wspomnienia o krojeniu siebie), ważyły, pakowały, naklejały etykiety, uzupełniały zapasy. Mimo swoich gabarytów poruszały się lekko, rozświergotane.

– Cho no tu na minutkę, czekoladko!

– Czekoladka blada, to biała!

– A białą masz? Łeee, szkoda!

Co tam rwanie w nogach i mdłości od zapachu czekolady. Co z tego, że miałam wrażenie, że niedługo od bezustannych uśmiechów oczy wyjdą mi na wierzch jak srajacemu kotu. „Mięsne” uśmiezały moje humory swoim niewyczerpanym wigorem pośród tuszek i krwi.

Nieco wisielczy humor, ale humor, psuli mi przedstawiciele handlowi innych

firm. Stali pracownicy hipermarketu puścili oko, poszczerzyli się, rozkładając towar, rzucili parę słów o dupie Maryni i dawali mi spokój. Ale tamci wkurwiacze nie. Dziadkowie, którzy mnie zaczepiali, szepcząc: „Panienko, niech panienka się uśmiechnie, o właśnie tak”, aż żony ich dźgały w bok parasolkami, byli w porównaniu z nimi dżentelmanami pełnymi swady. Jeden taki dureń przedstawiciel, czekając na kierowniczkę, pokazywał mi w swoim iPodzie lejek do sikania na stojąco. Tłumaczył, że kobiety mogą z niego korzystać w trudnych miejscach i sytuacjach. Opisywał z zacięciem wnikliwego znawcy. Mimowolnie pomyślałam o bramie i skrzywiłam się, co tylko go podkreśliło. Był pewien, że i hostessie taki lejek się przyda. Dociekał, czy go zamówię.

– To jesteś akwizytorem tej firmy? Byłam pewna, że sprzedajesz batony – zadrwiłam, a on się ulotnił, choć tak bardzo chciał mi jeszcze opowiedzieć o instrukcji obsługi.

Spojrzałam na nimfetkę z kawą, która stała nieopodal, i popukałam się w głowę. Ona przyłożyła dłoń do ust, żeby nie parsknąć śmiechem. Kiwnęłam do niej głową.

Ach, te nasze małe tajemnice! Te przechadzki po alejkach, w których akurat nie ma klientów, żeby trochę pogadać z kimś, z kim gadać nie musimy, ale chcemy. Dzięki temu udawało się nieco odreagować różne cudaczne sytuacje. Owszem, lubiłam opowiadać innym hostessom o moich obserwacjach stąd, ale nie o własnym życiu. A dziewczyny bez krygowania się, z pewną przyjemnością zdradzały, kim są i z kim są, nawet gdy znałam je nie dłużej niż godzinę. Podawały mi nicki ze swoich kont na Instagramie. Koniecznie miałam przejrzeć zdjęcia i wydać jutro werdykt na ich temat. O mnie dowiedziały się tyle, ile o sobie uszyłam na ich miarę. Musiałam się pilnować, żeby trzymać się jednego i tego samego fasonu dla każdej zbyt dociekliwej. Nie mam pojęcia, dlaczego często zachowywałam się niczym tajna agentka, której nikt nie powinien rozszyfrować. Coraz mocniej wsiąkałam w wewnętrzną samotność.

Najbardziej wnerwiały mnie pytania typu: „Jak żyjesz?”. Przez nie doszłam do wniosku, że właściwie żyję bez zmian. Niepotrzebnie wmawiam sobie, że moje życie ma sens, tym czy innym sposobem. Światu nie zależy bowiem na ludziach jako na jednostkach, lecz na obrocie ich energią. Zniknę ja, świat wchłonie energię od innej jednostki. Proste. Świadczy o tym miniaturowy model świata, hipermarket. By obracał się wokół własnej osi, potrzebni są po prostu dostawcy, sprzedawcy i klienci. Obojętnie, kim będą. Podobnie szkole potrzebni są nauczyciele i uczniowie. Obojętnie, kim będą. Najważniejszy pozostaje ruch w interesie, wymiana przy wejściu i wyjściu.

Zachowywałam te wnioski dla siebie, aby nie straszyć nimi pozytywnie nastawionych lolitek. Podawałam im same ogólneki typu: „Wszystko w porządku”. Zaraz potem dodawałam: „Co u ciebie?”, by przekierować rozmowę na drugi tor.

Tak naprawdę znów musiałam przeganiać myśli samobójcze, które leżyły się w mojej głowie. Cięcie było wentylem bezpieczeństwa przed nimi, który utraciłam na własne życzenie. Ciągle za nim tęskniłam... Jednak, o ile nie poświęcałam tym myślom zbyt wiele czasu, i one podlegały ruchowi. Na ich miejsce wchodziły inne. Przecież sztuka zatrzymuje jednostkę, czyni ją kimś – tłumaczyłam sobie. Na obrazie, w kadrze, w powieści nikt nie jest w stanie zastąpić tego, a nie innego człowieka. On jest bohaterem. Nawet najzwyczajniejszy staje się nadzwyczajny. Ale czy i sztuka nie mieli go na własne potrzeby?

Kiedy nie było zbyt wielu klientów ani okazji do gadania z pracownikami lub innymi hostessami, miałam wiele czasu na filozofowanie, nie ma co. Przepracowałam na czekoladkach dwa weekendy. Został mi jeszcze jeden. Dniówka osiem godzin, dziesięć złotych na rękę za godzinę. Wychodziło ponad siedem stów, a i pięć starczyłoby na kaucję, o którą martwiłam się najmocniej. Mijała połowa sierpnia. Zaczęłam szukać pokoju na październik.

W niedzielę po pracy umówiłam się z Igozem na rozstrzygającą rozmowę. Śpieszyłam się ze zwijaniem stoiska, byle zdążyć. Czekałam na niego na umówionym skrzyżowaniu pięć minut, dziesięć, piętnaście. Wysyłałam esemesy, próbowałam się dodzwonić. I nic. W końcu odebrał. Zapomniał! No nie, zapomniał o takiej rozmowie?! Łgarz! Nie po to tyle się denerwowałam, żeby odpuścić i przekładać ją na później. A on był mistrzem przekładania, lecz właśnie miał stracić ten tytuł. Wściekła wrzasnęłam, żeby siedział na dupie i że do niego przyjadę. Nikogo więcej nie było w domu, więc się zgodził. Ale z przestachem, co najmniej jakbym była jeźdźcem Apokalipsy. Rzeczywiście, nastrój zrobił mi się bojowy. Wychyliłam piersiówkę w bramie, żeby się uspokoić.

Najlepszą formą obrony jest atak, więc tym razem ja, już od progu, usłyszałam litanię na swój temat. O tym, że miałam więcej partnerów i partnerek niż on, że przestałam urządzać dla niego uwodzicielskie przebieranki, że zostawiłabym go dla każdej lesby. Odparowałam, że nie będę go zabawiać cały czas, podskakiwać na jego sznurku. Chciał być, cholera, zaspokojony, a sam się starał? Nie. Do tego sprawa z lampucera. Oto prawdziwa zdrada emocjonalna, a nie urojenia o moich rzekomych lesbijkach!

Przerwał mi, mówiąc, że musi zaraz wyjść z domu. Dociekałam gdzie. Jechał po ugadana bakę – tak daleko wyszedł z nałogów! – a potem na koncert. Powiedziałam, że chcę upalić się razem z nim, żeby zbliżyć się do niego, zrozumieć go lepiej. Sama nie wierzyłam w to, co gadam, i w to, że ponownie wiję się u jego stóp. Poza tym byłam wstawiona i chyba także dlatego nie pogodziłam się z przegraną w tej wojnie.

– A koncert gdzie będzie? – zainteresowałam się.

– W filharmonii.

– O proszę! – Zaintrygował mnie, bo raczej nie chadzał w takie miejsca. – Są

jeszcze bilety?

– Nie ma biletów, jest za free. Profesjoniści grają z amatorami.

– Super! To też pójdę – stwierdziłam lekko, lecz on prędko mnie pohamował.

– Wypalić bakę możemy, ale nie pójdę na koncert z tobą.

– Cooo? – zapytałam, po to żeby wyciągnąć z niego więcej.

Ton głosu świadczył, że Igor mówi poważnie.

– Ona tam będzie grać, a przecież ty jej nienawidzisz – przekazał ze spokojem.

Ot, najprostsza sprawa na ziemi. Tej ziemi. A mną ponownie szarpnęło.

– No nie! Z jakiej racji lampucera ma grać? Znów z nią przyjechałeś i umówiliście się na wieczór, kłamczuchu!

– Tak. Jesteśmy umówieni.

– Idę z tobą! Idę! – zapierałam się. – Ocenię jej tapir!

– Nie. Nie ma mowy. Ja... Ja jestem w niej zakochany – wypalił, dostrzegając moje narastające wzburzenie. Wziął głęboki oddech, a mimo to nie tracił szyderczego opanowania. – Sama popchnęłaś mnie w jej ramiona. Im bardziej jej nie znosiłaś, tym mocniej mnie do niej ciągnęło – dodał, żeby zablokować dalsze oskarżenia z mojej strony.

Wprawdzie od dawna przeczuwałam, co się dzieje, ale i tak dostałam obuchem w łeb. Nie miałam mu już nic do powiedzenia. Wysłałam do przedpokoju. Nie poszedł za mną.

Wzuwałam buty i podglądałam, jak on przegrzebuje stertę koszul. Nieboraczek, nie mógł się zdecydować, którą włożyć! Tak się przejął randką, że musiał się wystroić jak stróż w Boże Ciało. A spotkaniem ze mną tak, że gdyby nie mój ośli upór, nie doszłoby do niego. Pewnie nie chciał popsuć sobie mną humoru, by zachować go dla niej. Wrażliwiec!

To był koniec, ale zawahałam się, nim dotknęłam klamki. Tym razem nie miałam już nic do stracenia.

– Podejź tu do mnie na chwilę. – Nie podchodził. – Proszę, podejź – powtórzyłam ze sztuczną łagodnością.

Posłuchał i pojawił się. Wyraz mojej twarzy i jego instynkt podpowiedziały mu, co się święci. Próbował przytrzymać mi ręce, lecz zdołałam się wyrwać. Szybko trzasnęłam go w policzek.

Z jego oczu buchnęła nagle taka dzikość, jakiej nie widziałam nigdy u nikogo. Tliło się w nich coś niesłychanie pierwotnego. Przynajmniej prawdziwego.

– Popraw! Popraw z drugiej strony! – podjudził mnie.

Poprawiłam więc. Nawet z nawiązką. A wtedy on uderzył mnie tak, że zgięłam się w pół. Poprawił zaś kopem w dupę. Otworzył drzwi na oścież i wypchnął mnie na schody, aż upadłam na posadzkę. Wprost na kolana.

– Wynoś się! Wynoś się stąd! – usłyszałam na pożegnanie od miłości mojego życia.

Powiedzieć, że byłam w szoku, to nic nie powiedzieć. Nie wiem, jak w ogóle podreptałam na przystanek i jak czekałam na tramwaj. Upiornie spokojna i bezmyślna postępowала mechanicznie. Istny zombie. Nie płakałam. Zapomniałam, jak się płacze, a nawet gdyby mi się przypomniało, i tak nie miałam ani jednej łzy. Czas włókł się niemiłosiernie i nieprzytomnie. Wsiadałam schodek po schodku, noga za nogą do tramwaju, jak w spowolnionym filmie. Stałam przy szybie, a za nią nie widziałam nic. Piekł mnie policzek i bolały kolana, które zderzyły się z betonem. Tylko one dawały znać, że żyję.

Dowlokłam się w korkach do akademika. Walnęłam się w butach na łóżko. Dostałam od Igora esemesa, że mam bzika i powinien był wybić mi zęby. Dalej leżałam. Wydawało mi się, że moje życie nie jest moje. Wszystko, co się stało... Nieprawda, nieprawda! Albo nie ja brałam w tym udział.

Za co? Za co to wszystko? Przecież tak mocno się starałam! Wyciągałam z oczu Igora każdą drobinę szkła, która tam wpadła. Moje zainteresowania i problemy zblakły, gdy udzielałam mu pomocy. Nieważne, jak on mnie traktował, przecież musiałam go wspierać. Mieliśmy obronić równo magisterki, znów zbliżyć się do siebie, pojechać w Polskę stopem, być szczęśliwi. Nie mój mężczyzna, ale ktoś inny, obcy, brał ode mnie energię i nic nie dawał w zamian. No, może poza upokorzeniem. Ten obcy zastąpił prawdziwego ukochanego. Identycznie dzieje się w baśniach. Drobinki szkła pochodziły z rozbitego diabelskiego lustra! Oj, dobrze pamiętałam Królową Śniegu. Niczym Gerda do Kaja, ja wróciłam do Igora po wielu przygodach. Jednak okazało się, że właściwie nie miałam dokąd, do kogo wracać. I to po czasie. Co za rażąca niesprawiedliwość, że on wciąż zabiegał o inną, gdy ja zabiegałam o niego! Nic dziwnego, że raziło mnie światło, które biło od nich, kiedy przebywaliśmy ze sobą wszyscy razem. Owszem, zazdrość weszła w grę, ale przede wszystkim zareagowała moja intuicja. Ach, jak on cały czas mnie oszukiwał, że nie mam racji! Tchórz, bał się mojej reakcji!

Nasza baśń zakończyła się beznadziejnie.

Rozmyślałam o celności bliskiej złośliwości. Towarzystwa, która staje się zdradą. Niewinności, która okazuje się utajoną drapieżnością. Dłoni, która raz gładzi policzek, a raz spada na niego z całą siłą. Silnej miłości zamieniającej się w silną wrogość. O jego, mojej, wspólnej podłości. Dławiłam się uczuciami, na które nie miałam odpowiedzi. Cisza dzwoniła mi w uszach, coraz mocniej, nie do wytrzymania. Ruszyłam się i zapodałam sobie smutne nuty, znane mi z repertuaru depresji lolitki. *Stąpasz przez puste mieszkanie, szalone, czerwone słowa krwią wypisujesz na ścianie*^[11]. Pewnie ona do tej melodii odciskała na ścianie ręce ubroczone własną krwią... Ja nie miałam ochoty na ani jedno cierpienie więcej. Na zadawane z własnych rąk też nie. Jednak piosenka przyniosła mi ulgę.

Przynajmniej współdzieliła mój podły humor.

Skwar kolejnych dni doprowadzał mnie do szału. Niech ktoś uspokoi tę pogodę! Wszystko na złość, po prostu! Słońce stało się rażącą promieniami bestią. Przeklinałam je, gdy cały świat wokół zdawał się promienieć słonecznym szczęściem. Smażył się na plaży, z uśmiechem wędrował po górskich szlakach, żeglował, podśpiewując szanty. Tym zapalczywiej, że wakacje dobiegały końca. A do mnie napływały wyłącznie fale mdłości i łez. Miałam wrażenie, że spadłam do ostatniej ligi człowieczeństwa. Na sam margines. Gdzie są te diabły, co miały mnie wziąć, rogate i kosmate? Byłam małą, niepozorną duszą, której wąty płomyk gasł. On nie zapłonie i niczego nie rozpali, więc po co im taki?

Nie mogłam się doczekać, aż temperatura spadnie, dni będą krótsze, liście pożółkną, zatriumfuje cygańska jesień. Byle nie złota, a deszczowa i – pssst! – do tego czasu chyba wykończę się wreszcie, a płomień zgaśnie. Miotalam się między kolejnym szantażem wobec siebie, nakręcaniem się na zgaśnięcie a przekonaniem, że mimo wszystko muszę podtrzymać swój płomień.

Patrząc na to z innej perspektywy: wszystko działo się w jak najlepszym porządku. Karma do mnie wróciła. Zdradzałam podczas mojego podwójnego romansu, więc zostałam zdradzona. Nie wiem, czy fizycznie. Zdrada emocjonalna była pewna i doskwierała mi wystarczająco mocno. Wybrał ją.

Tym ruchem przekreślił wszystko między nami.

Inna część mnie nie przyjmowała tego do wiadomości. Wypatrywałam Igora z okien autobusów i tramwajów. Widziałam go w odbiciach przechodniów w witrynach, w sylwetkach mijanych mężczyzn. Kiedy odwracali twarze, czar pryskał. Jednak Igora nie było. Pozostał wyłącznie we wspomnieniach. Te dobre przypominały małe kotki: przemiłe, przytulne, rozkosznie przymykające oczy. Miałam wsadzić je do wora i utopić w rzece? A co ze snami?

Jeden szczególnie zapadł mi w pamięć.

Mieszkaliśmy w nim razem w Nowym Jorku, w piętrowej rezydencji. Igor zdobył moją miłość po to, żeby mnie zabić i sprzedać moje narządy. *Game over* nie nastąpił, ponieważ dostałam kolejne życie. Wzięłam sprawy w swoje ręce i postanowiłam, że nie dam się znów tak urządzić. Sprułam z naszego domu. Wbiegłam prosto do ciasnego ponurego kiosku z polskim szyldem „Skup wątrób”, gdzie bez problemu sprzedawałam wnętrzności Igora, by tym razem go wyprzedzić. Pewnie je przepisałam skupowi, bo nie zamordowałam „ukochanego”.

Natychmiast chciałam wrócić stamtąd do Polski. Nie miałam pojęcia, gdzie jest dworzec, ale przypomniało mi się, że przecież od Europy dzieli mnie ocean, więc podróż pociągiem odpada. Niestety, nie wiedziałam również, jak trafić do portu, a samolot nie przyszedł mi do głowy. Błąkałam się. Wstąpiłam do pierwszego lepszego kościoła. Wszystko w nim było strzeliste i błyszczące, taki pseudogotyck na bogato. Usłyszałam język polski, podeszłam do grupy. Składali się

na nią młodzi mężczyźni, przebrani chyba za giermków, bo nosili czerwone i zielone getry. Zalewałam się łzami i tłumaczyłam im, jaki numer wyciął mi były. Że nie mam nic, ani miłości, ani pieniędzy. Pocieszyli mnie, że ich znajomy niedługo wybiera się w rejs i może mnie zabrać w zamian za dotrzymanie mu towarzystwa na statku. Zabrzmiało podejrzenie, ale się zgodziłam.

Ciągu dalszego nie było.

Ten sen uciszył głos stęsknionej strony. Nie wszystko wówczas w nim rozumiałam. Wyjaśniły go kolejne zdarzenia, ale nie będę ich uprzedzać. Pocieszałam się, że z Igorem wiązą mnie już tylko myśli i sny. Wmawiałam sobie, że zawsze przebywał wyłącznie w nich. Wcale nie było go w moim życiu. I nigdy już nie będzie.

Kiedy po dwóch tygodniach on odezwał się do mnie, niezmiernie się zdziwiłam. Po co dzwoni? Przecież wszystko skończone. Czego chce? Przeprzić? Skądże znowu. Powiedział, że musiał mi oddać za te policzki, bo nie zniósłby podobnej obrazy z założonymi rękami. W takim wypadku nie obchodzi go, że oddaje kobiecie. Zresztą mamy równouprawnienie.

Ja także nie wstydyłam się mojego zachowania. W zamian za to, co mi urządził, wreszcie nie tłamsiłam siebie, nie oskarżałam lampucery, a wyraziłam gniew wobec niego, prawdziwego winowajcy. Wbrew pozorom poczyniłam więc postępy w leczeniu się z autodestrukcji. Żałowałam tylko, że nie dowaliłam mu mocniej.

No właśnie. Ważyłam około czterdziestu ośmiu kilogramów przy stu siedemdziesięciu dwóch centymetrach wzrostu. Razy od takiego chuchra nawet nie drasnęły chłopca jak dąb, a on potraktował mnie z nieporównanie większą siłą. Naiwnie wypomniałam mu, że nie bije się słabszych. Odparował, że wcale nie uderzał mocno, a obszedł się ze mną wręcz wyjątkowo łagodnie. Wszak „mogłam obić cię tak, że nie poznałabyś się w lusterku”.

Och, kolejny akt łaski! Musiał, po prostu musiał mi wlać również dlatego, że w gimnazjum obrywał od kolegów. Po tych przejściach postanowił nikomu niczego nie darować. Ot, psycholog. A ja miałam wtedy PMS.

Mów do mnie jeszcze.

Rzeczywiście, mówił i mówił. Jego słowotok zdawał się nie mieć końca. Cwany pyskol wyjmował urojone pretensje jak króliki z kapelusza, byle odsunąć od siebie wyrzuty sumienia. O ile on w ogóle posiadał sumienie. Wypominał mi, że na nasze spotkanie specjalnie włożyłam monstrialne szpile, w których byłam od niego wyższa. Po to, by dodatkowo go pognębić, ponieważ jestem psycholką i zaplanowałam wszystko z premedytacją.

Co takiego?

Przez chwilę zastanawiałam się, które z nas ma zaniki pamięci. Byłam pewna, że miałam na sobie płaskie buty, baleriny, bo w życiu nie wytrzymałabym

całego dnia na degustacji w wysokich. Cynicznie odpowiedziałam byłemu, że nareszcie go rozumiem. Jeśli byłam na groźnych obcasach z jego głowy, do tego psychiczna, to on po prostu działał w obronie własnej. Obiecałam, że od jutra idę na leczenie.

– Sorry, że wcześniej nie poszłam – dodałam.

Zakończył rozmowę, co tylko mnie podkreśliło. „Pozbyłeś się mnie, bijąc, by mieć spokój i zdobywać drugą. Pięknie, romantycznie. Ale słuchaj, nie wyzywaj się na mnie za to, że teraz masz taką brzydką dziewczynę. Ja bym ci wybrała ładniejszą i sama bym wtedy korzystała z jej uroków. A tak to kicha. Współczuję ci”, napisałam mu w esemesie.

Nie czekałam długo na odpowiedź.

„Masz taki podły charakter, że nie wierzę, że tak się da. Przeklinasz nas, bo zazdrość cię zżera, frustratko. Wieje od ciebie desperacją na kilometr”.

Jasne, lepiej jest nie znosić osób, które skrzywdziliśmy, i dodatkowo im naubliżać. On prowokował mnie do wybuchów, by udowodnić sobie, że tamta jest lepsza ode mnie. Pewnie hodowali sobie mnie na wroga, nic tak bowiem nie jednoczy jak wspólny wróg. Postanowiłam nie nakręcać tej afery. Przestałam więc reagować, w tym na ciąg dalszy.

„Wiesz co? Każdy, komu o tobie opowiadam, potwierdza, że jesteś wariatką. Lepiej się zamknij, bo jesteś żalosna w opór, głupia pizdo”.

Nie wiem, czy dlatego, że przejrzałam jego manipulacje, czy dlatego, że stawały się coraz słabsze, wyzwiska spłynęły po mnie jak po kaczce. Szuja zwyczajna z niego i tyle. Podziękowałam sobie, że tym razem opanowałam wybuchową moc mojego charakteru. Najgorsze jednak było to, że Igor pozostawał bezkarny. Nie dostałam zadośćuczynienia i musiałam się z tym jakoś pogodzić.

Uznałam, że najlepiej zrobić, czerpiąc z plusów rozstania. Tyle ich wypisałam, a na pewno znajdę ich znacznie więcej. Nikt więcej mnie nie obrazi w taki sposób. Nie będę wchodzić w żadne relacje z podobnymi typkami, o nie! Ba, poczułam pewną wdzięczność za tę nieszczęśliwą miłość. Za to, że darła mi się prosto do ucha, gryzła i wierzgała nogami, jak rozwścieczony bachor. Poczułam wdzięczność za lekcje, których mi udzieliła. I za bezpłatne zajęcia dodatkowe.

Dzięki temu kolejny demon wydostał się z mojego życia.

ROZDZIAŁ VI

Ja z ogłoszenia

Zaledwie krok dzielił mnie od zostania magistrem historii sztuki, a powróciłam do punktu wyjścia. Ba, cofnęłam się! Byłam bardziej zagubiona niż przed studiami, pozbawiona wiary w przyszłość, w związki, w siebie. W cokolwiek. No, może poza sztuką. Ale ona, wbrew moim dobrym chęciom, nie chciała mnie wykarmić. Spełniały się klątwy mojej matki i Majki. Od wiosny wysyłałam CV po łódzkich muzeach i galeriach, bez odpowiedzi. Niby nic niezwykłego, bo na zdobycie tam stanowiska potrzeba i wiedzy, i doświadczenia. Skąd miałam wziąć to ostatnie? Na bezpłatne staże nie było mnie stać. A sprzątaczkę po historii sztuki raczej nie potrzebowali.

Dawno temu zamierzałam tworzyć teksty o sztuce. Szlachetne zajęcie. Redakcje portali internetowych, które się tym zajmowały, brały artykuły. Za jeden uśmiech i nie więcej. Zupełnie nieszlachetnie. Sporo ich stworzyłam w trakcie studiów, żeby wpisać sobie cokolwiek do CV, jednak ile można pracować bez wynagrodzenia? Rynek psuli inni studenci i osoby, które szczały po nogawkach, widząc swoje imię i nazwisko gdziekolwiek poza własnym Facebookiem. Myślałby kto, że nagle znalazło się tylu znawców sztuki, do tego za darmo! Redakcje czasopism artystycznych albo oznajmiały mi, że są na skraju bankructwa i ledwo stać je na druk, albo wcale nie odpisywały na moje maile. Na tworzenie tekstów do wystaw instytucjom, które mniej lub bardziej ucziwie, ale jednak zapłaciłyby, byłam za malutka.

Do pracy na etacie w korpo nadal się nie rwałam. Tam nie ma rozwoju, a są bajki o nim, ilustrowane karnetami na siłownię, wycieczkami integracyjnymi, grami i zabawami. Istna tresura małp w cyrku, w kolorowych kubraczkach. Nie chciałam również na stałe urzędować w sklepie. Znałam tę pracę od podszewki, a handlowanie jako takie wcale mnie nie nęciło. Kupczenie obrazami również nie, bo w niczym nie różni się od sprzedawania upieczonej kaczuszki. Czy towar jest godny zachwalania, czy nie, musisz go zachwalać. Po prostu nie masz wyjścia z kieratu. Odliczanie czasu od 8:00 do 16:00, dzień w dzień, w pracy z przymusu, nie z wyboru, przerażało mnie. Między tymi godzinami miałabym być na własne życzenie ruchana przez firmę i jej pracowników. Wezmą, co chcą, na swoich prawach i odejdą, a mnie zostawią z szeroko rozstawionymi nogami i z oczami równie szeroko otwartymi ze zdumienia.

Skrycie marzyłam o własnej galerii sztuki, która wyjdzie z obrazami nie tylko do twórców, kolekcjonerów, znawców i studentów hipsterskich kierunków. Przecież miałam kontakt z artystami, o których pisałam na te portale. Całkiem

dobrze nam się współpracowało, więc wspomogliby mnie i pracami, i znajomościami. Na rozruch poszłyby realistyczne samograje, a potem pokazywałabym prace trudniejsze w odbiorze. Przekładałabym bieg linii, układ form, grę barw na słowa tak, żeby stały się zrozumiałe dla naprawdę szerokiego grona. Zainspirowały do własnych przekładów. Mogłabym to robić również na prelekcjach. Koniec z szyfrowaniem dzieł na język naukowy, którego człowiek spoza uczelni nie zna i nie rozumie. Tylko za co taka moja galeria miałaby powstać i jak miałaby się utrzymać? Prędko odłożyłam ją na półkę „utopia”.

Owszem, cel czynienia sztuki bardziej powszechną i dostępną dałabym radę zrealizować w istniejącej placówce, w dziale... tak, tak, edukacyjnym. Gdyby ktokolwiek z kadr cokolwiek mi odpisał. Lecz jeśli nie drzwiami, to oknem, więc po zakończeniu czekoladowej warty porznośliłam CV po takich miejscach osobiście. Z naciskiem na chęć pracy we wspomnianym dziale. Nic mi nie obiecywano, na rozmowy ciągle nie zapraszano. Cały czas doświadczałam tego, jak ciężko jest się przebić. Kiedy w kółko rozdawałam CV, przypomniła mi się zabawa chodzi lisek koło drogi. Ja byłam liskiem, który nie dostał szansy na wejście do zakłętą kręgu. Uciekałam więc z podkulonym ogonem.

Doszłam do wniosku, że takie osobniczki są niepotrzebne, nieopłacalne dla świata i dla siebie. Nie tylko nie umiałam dostosować się do ogólnego zapierdalania i urodzinniania. Nie radziłam sobie też sama ze sobą. Ja się tu nie prosiłam, ale nie było mnie stać również na stare, dobre, porządne samobójstwo. Taka ciamajda nie była w stanie unicestwić się sprawnie, zawsze coś jej wypadło z ręki. Popępiałam więc wyłącznie samobójstwa nieudane, niemo wołając o pomoc. Tylko do kogo o nią wołałam? Do Boga? Zabawne! Nie istniał, bo gdyby tak było, panowałaby sprawiedliwość boska, a nie niesprawiedliwość ludzka. Tyle, ile z siebie dawałam, tyle bym dostawała od innych.

Zwłaszcza od takiego jednego innego.

Od tych rozważań nie przybywało mi forsy. Jej nieubłaganie i przyziemnie ubywało. Zaklepałam sobie nowy pokój, opłaciłam kaucję. Jednak mieszkanie ze współlokatorami w tej norze napawało mnie takim wstrętem, że do października wołałam pozostać w akademiku. Mój najzwyczajniejszy na świecie kwadracik był w porównaniu z tamtym luksusowy. Nie miałam odwagi prosić o pomoc rodziny albo o pożyczkę Majki i Louisa. Proślenie ich o cokolwiek znajdowało się poniżej mojej godności, prosto w ciemnej dupie, w której siedziałam i tak.

Zaczęłam głodować z przymusu, nie z zachcianki. Z identycznego powodu ubierałam się w lumpeksach. Nawet łowiłam tam niezłe perełki z całego stada rzeczy nie do podrobienia. Kupowałam wyłącznie niezbędne kosmetyki, typu półlitrowy szampon za pięć złotych, mydło i pasta do zębów z tej samej przeceny. Przekonywałam samą siebie, że wiodące marki są przereklamowane. Zwyczajna propaganda łakomych na zysk korporacji. Wmawiałam sobie, że teraz po prostu

biorę udział w szkole przetrwania za bezcen. I że przetrwam. Kto jeśli nie ja?

W kółko i na okrągło jadałam chleb z pasztetem i parówki, bo nie chciało mi się silić na tanie gotowanie. Zygzak keczupu był wykwinnym dodatkiem. „Opychałam się” garściami owoców i warzyw, które wczesną jesienią są niedrogie. Czasami wyobrażałam sobie, że idę do McDonalda i tam zamawiam wszystko, co wypisali w menu. Po tej uczcie zjadam statuetkę ichniego pajaca, a na sam koniec dachówki, oczywiście polane keczupem. Pocieszałam się, że nie żyję na ulicy. Jeszcze nie.

Zalogowałam się na portalu dla hostess, bo pieniądze wciąż nie chciały spadać mi z nieba. Przeglądałam ogłoszenia, które napływały do skrzynki mailowej. Zastanawiałam się, czy nie wziąć kolejnego czekoladowego zlecenia. Nie wzięłam. Nie chodziło nawet o durnotę tego zajęcia, które urozmaicałam sobie, jak mogłam, lecz o jego nieopłacalność. Co jeszcze mi proponowano? Rozdawanie ulotek w oryginalnym przebraniu kurczaka z czerwonym grzebieniem na głowie. Parzenie kawy na otwarciu nowego sklepu. Kręcenie waty cukrowej podczas podłączania szybkiego internetu na osiedlach. Bycie człowiekiem-tabletem, czyli promowanie firmy z pomocą tego urządzenia. Wszystkie te kabarety miałabym odstawić za podobnie śmieszną kasę.

Wreszcie trafiło się coś lepszego. Pokazy fryzjerskie. Trzy dni za pięć stów. Według mnie w porządku. Wysłałam zgłoszenie z moimi wymiarami, do tego wymagany komplet zdjęć twarzy i sylwetki. Udało się, bo zostałam zaakceptowana i zaproszona na casting. Super, mogą mnie czesać do woli! Połączymy przyjemne z pożytecznym! Nie, to będzie nawet sama przyjemność. Tyle że miałam zabrać ze sobą szpilki. Dawno w nich nie chodziłam, więc wołałam potrenować. Po parówki maszerowałam na obcasach, wyprostowana, z głową do góry.

Casting odbywał się nie w salonie piękności, ale w położonej nad nim sali gimnastycznej z lustrzaną ścianą. Kiedy przyszłam, otaczały ją długowłose i długonogie, wraz ze swoimi odbiciami. One z wielokrotniały powaby i pokusy. Nie zliczyłabym łuków smukłych łydek, które rozszerzały się ku kolanom, tym jabłkowym łącznikom z udami. Między nimi prześwitywały niewielkie przestrzenie, wskazując na najbardziej smakowite miejsca. A ile nad nimi widziałam mocno wciętych talii, ile apetycznych biustów, ile ładnie zaokrąglonych wygięć ramion! Przerzucone do tyłu włosy odsłaniały je, lekko opadając na łopatki. Oto kolejna kraina nimfetek – pomyślałam, a raczej nimf, bo przeważały dwudziestolatki. Ciekawe, jak wyglądałyby w bieliźnie, odwrócone tyłem do lustra w tym samym momencie, niby na komendę? Nie wiedziałam, czy patrzeć na nie, czy na zwierciadło z nimi.

Cudnie się je obserwowało, ale całą frajdę zakłócał stres przed rywalizacją.

Wcale nie tak wiele miało gładkie fryzury, pełne blasku z reklamy szamponu, który działa cuda właściwe magicznej miksturze. Zauważyłam nawet

kilka pokudranych panienek. Innymi słowy: perfekcyjnie osiągnęły efekt artystycznego nieładu. Jednak ani żadna ulizana, ani pokudrana nie miała równie ciemnych i długich włosów jak ja.

Czyli co, Magdo, zwyciężymy? Będziemy przechadzać się po wybiegu w takim towarzystwie?

Oparłam się o parapet, podobnie jak reszta dziewczyn.

– Z jakiego ogłoszenia jesteś? – zagałała do mnie stojąca najbliżej.

Była zalogowana na tym samym portalu, a na fryzjerskim castingu znalazła się ponownie. Poprzedniego nie przeszła, lecz postanowiła spróbować od nowa. Nie raz, a dwa razy kozie śmierć! Spodobała mi się jej pogoda ducha i bezpretensjonalność. Dobrze mi się z nią rozmawiało. A tak się bałam, że wszystkie będziemy spiłowywać sobie obcasy i dla pewności zabijać się wzrokiem!

Właściwie zabijała tylko jedna, wykapana królowa lambadziar. Być może przeszywała nas spojrzeniem żmii dlatego, że cierpiała katusze w bardzo opiętej sukience. Na moje oko cudem w niej oddychała, a już zwłaszcza z powodu tego wielgachnego ściśniętego biustu. Gdyby przysiadła, kreacja pękłaby na jej pękatym tyłku. Kompletne bezguście, któremu przyklaskiwał zapatrzony w nie dwór podobnych panienek. Ich brygada imienia Kim Kardashian wyraźnie odróżniała się od reszty. Chyba zaprosił je tu ktoś z poważną wadą wzroku.

Popatrywałyśmy więc na siebie i szeptałyśmy do najbliższego ucha w oczekiwaniu na wodzireja imprezy. Nie, nie żadnego tam fryzjera, a stylistę fryzur. W końcu się pojawił; przyleciał do nas z samego Berlina. Szczupły, ale o muskularnych ramionach, w rurkach, z modnym irokezem, sam o wyglądzie modela. Homoseksualnego. Jego asystentka mówiła po polsku.

Ustawili się między nami a szklaną taflą i na laptopie prezentowali pomysły na pokaz. Sądziłam, że będzie w nim chodziło o uczesania i upięcia, ale nic podobnego. Organizatorzy mieli na myśli farbowania i cięcia. Dominowały fryzury w pastelowych kolorach. No nie, zatem przegrałam z kretesem? Uff, parę ciemnych też się przewinięło, urozmaiconych gdzieś kolorami.

W mojej sytuacji i za pięć stów niech mi robią nawet pasemka w różu prosto z wdzianka Barbie – postanowiłam.

Nie tak szybko, nie tak łatwo! Zaczęła się selekcja.

Razem z nową koleżanką przypuszczałyśmy, że oni najpierw sprawdzą, czy nie chodzimy na szpilkach krokiem kowboja w ostrogach. Pomyliłyśmy się. Wszystkie stanęłyśmy w jednej linii, a Niemiec wskazywał, która z nas ma wystąpić z szeregu i przejść na drugą stronę. Jego zaciętość przyprawiała o strach i niepoprawne politycznie skojarzenia. Mnie ten pan początków życia w – jakby nie patrzeć – modelingu lub śmierci bez odnotowanego udziału w jego widowisku nie wskazywał. Próbowałam się uspokoić, lecz moje nerwy urządzały własny pokaz i wbijały mi szpile w brzuch. Najmocniej, gdy Niemiec podchodził blisko, patrzył na

mnie i brał inną, na przykład tę lambadziarę. Jeżeli krąg wskazanych nie był kręgiem skazanych na powrót do domu, stylistą był zupełnie pozbawiony gustu...

Nagle przestał. I podszedł do nas!

Podzielił swoje wybranki na te, które pozostaną z włosami długimi, te, które staną się paziównami, i te, które będą mieć króciutkie czupryny. Niestety, trafiłam do trzeciej grupy. W słowach niemieckich, angielskich, polskich dwójka selekcjonerów przekonywała mnie, że mam delikatną buźkę i sprawdzę się w tym looku. Ale ten look, o rany! Look grzyba. Borowika leśnego. Nie, błagam, nie! Nawet za tę kasę, obietnicę bycia gwóździem programu i gwarancję udziału w kolejnych pokazach!

Włosy były najbardziej żywą częścią mnie. Rosły, nawet kiedy ja malałam w swoich oczach. Nimi zawsze mogłam się zasłonić. Zbyt krótkie byłyby gorsze od paradowania po ulicy nago. Żaden zacięty gość nie będzie w nie wbijał nożyczek, do tego publicznie! Ta jego raszpla też nie, nie ma mowy! Jeszcze moment ich gadaniny, popieranej przez nimfy, a się popłaczę.

Nigdy nie kochałam swojej fryzury równie gorąco, jak tego dnia, gdy ją ocaliłam. Nie przed sobą, a przed innymi.

Byłam kompletną idiotką, że nie sprawdziłam, na czym dokładnie polegają te fryzjerskie pokazy. Na przystanku zastanawiałam się jednak, czy nie zawrócić do tego zakładu – przepraszam: salonu – i jednak nie przebłagać ekipy.

Szczerze mówiąc, miałam ochotę wrócić. Tyle że do Igora, tradycyjnie. Nachlać się i naćpać na rozruch, a potem się staczać. Razem, w drodze, prując przez Polskę, co tyle razy mi obiecywał. Brać udział w оргiach erotyczno-alkoholowych. Wymieniać się prostytutkami, na które będziemy zarabiać w hazardowniach przydrożnych i dzięki kradzieżom. Bonnie i Clyde, dobrze mówił! Życ awanturniczo, bez moralności.

Wyobrażnia zawsze mi dopisywała. Nie dość że wykreowałam popaprańca i zdrajcę na bohatera romantycznych historii, nie dość że sama się przekonałam, jaki błąd popełniłam, to jeszcze snułam przed sobą nowe przygody z nim w jednej z dwóch ról głównych. Na pewno w ich ramach od czasu do czasu okładalibyśmy się pięściami, bo wątpię, że poprzestalibyśmy na zwykłym policzkowaniu.

W emocjach po castingu, wbrew jakemukolwiek rozsądkowi, wciąż rwałam się, żeby napisać do niego cokolwiek. Nawet obraźliwego. Do tego palce świerzbily mnie wyjątkowo. Nie! Zabieraj łapy od klawiszy, od klawiatury tak samo! Kryj się, chroń się przed zarazą podłą! Jest ci źle, więc jesteś podatna na tęsknotę za nim. Ale on, jak używka, poprawi ci nastrój tylko na moment. Takimi słowami się powstrzymywałam. Używek miałam wystarczająco: uwodzenie, seks, destrukcja. Byłe uciec od siebie, od własnej pokręconej i podkreślonej wrażliwości. Cierpiałam z moimi nałogami i bez nich. Jednak z nimi bardziej.

Tylko czy wtedy nie byłam bardziej sobą niż w pozbawionym czerwieni

teraz?

* * *

By oderwać się od mniejszych i większych tęsknot, jakkolwiek pocieszyć, założyłam konto na Sympatii. Dodałam dwa zdjęcia i ułożyłam tekst o pozytywnej stronie siebie. „Zachwycam się urodą chwil. Ich migoczącymi w oczach kolorami, zapachami, od których kręci się w głowie, smakami – od najłagodniejszych po najbardziej ostre. I tym, co powoduje, że cudowne momenty przyprowadzają o gęsią skórę. PS Jeżeli w ciągu tygodnia nie odpiszę na Twoją wiadomość, to znaczy, że nie jestem zainteresowana nawiązaniem kontaktu”.

Poszły konie po betonie!

Po jednym dniu całą skrzynkę miałam zapchaną wiadomościami, również od starych koni. Dominowali wielbiciele prawienia wyświechtanych bzdurek. „Dzień dobry albo najlepszy, jak się na Ciebie pa3”. „Naturalność, urzekające spojrzenie, magiczny uśmiech i miliony innych cech, w których mógłbym się zakochać w sekundę... Dlaczego ja nigdy nie wpadam na takie dziewczyny jak Ty, przypadkiem, na ulicy?”. „Hej, pięknooka, co byś zrobiła, gdyby kurier mnie zostawił pod Twoimi drzwiami?”. „Szukam takiej kobiety, jak Ty i teraz będę odliczał tydzień, zakreślał na ścianie kreski. Twój więzień”.

Następni zainteresowani mieli równie ciekawe pomysły, powiedziałabym... artystyczne. „Witaj, poproszę Cię do tańca pełnego pasji, który wzbudzi w Tobie dreszcze... Takie, jakie lubisz najbardziej”. „Wiem, że jestem od Ciebie sporo starszy, ale jeśli wiek i wygląd nie grają dla Ciebie głównej roli, to może polubisz mój charakter i zawód. Kręcę filmy w Beverly Hills” (pisownia oryginalna).

Inni wykazywali podejrzliwość wobec moich zamiarów. „Co taka bogini jak Ty tu robi?”. „Niesamowicie dużo informacji zamieściłaś na swój temat, hi, hi, hi, a przecież opowiadanie bajek jest tutaj w cenie ;) Może po dopytaniu odkryjesz więcej kart?”. „Ja wiem, miejsce dobre jak każde inne na znalezienie osoby bliskiej sercu, ale żeby taka piękna dziewczyna była sama (???) Hm... Życie lubi nam płać przeróżne psikusy i zamasyście pisze swoje scenariusze... Mówią, by nie oceniać przysłowiowej książki po okładce i sam tak postępuję na co dzień... Ale może bycie tu to tylko zabawa z Twojej strony (???)”.

Po przeczytaniu kolejnej dramatycznej wiadomości z serii: „Co straszego Cię spotkało, że zalogowałaś się tutaj?”, od gościa ze zdjęciem, na którym był zawinięty w samą kołdrę, skasowałam konto. Nie miałam siły się śmiać. Przerazało mnie stężenie marzeń, desperacji i wariacji na internetowy metr kwadratowy. Wszyscy moi adoratorzy, co do jednego, wyglądali na frajerów. Nadawali się wyłącznie do odstrzału. Wychodziło na to, że gdybym założyła profil śwince morskiej i ciekawie ją opisała, też miałyby u nich branie. Pojęłam, dlaczego ludzie nie chcą żadnych uczuć od tego, kto się przed nimi uniża.

Przebieranie w ofertach jak w ulęgalkach, bez wybierania żadnej, widocznie

weszło mi w krew. Nie znajdowałam w nich bowiem ani towarzystwa, ani roboty, choć nadal oglądałam te cholerne ogłoszenia dla hostess. „Potrzebna atrakcyjna asystentka na prezentacje na wyjazdach”. Ciekawe, co ogłoszeniodawca będzie prezentował asystentce po godzinach? Następne, proszę: „Fordanserka”. Świetnie, brzmi jak z dwudziestolecia międzywojennego. Perły do kolan i elegancko wirujemy do *To tango jest dla ciebie*. Jasne, dziś prędzej usłyszysz się *Świruj swinio, tańcz*. Do pary, tak czy siak, będą prosić mnie pijani w sztok panowie, którym nie będę mogła odmówić. Tańczymy więc, ja pięknie, oni brzydtko.

Za powtórkę z mojej dawnej rozrywki płacono dwadzieścia pięć złotych za godzinę. Co? Za takie poświęcenie?

Wyższe stawki obowiązywały tylko wobec najbardziej atrakcyjnych, sympatycznych i odważnych dziewczyn. Tylko one odpowiednio obsłużą imprezy zamknięte dla wymagających zleceniodawców klasy VIP. *All inclusive*. Powitaj gości, wpraw ich w znakomity humor i podtrzymuj go. A potem rozkręcaj, rozkręcaj, konkursami (ooo, zupełnie jak ja gimbazę!), hulanką, swawolą. W grę wchodziło nie tylko częstowanie na przyjęciu przekąskami i drinkami, lecz także sobą. *Bodysushi*. Oto nowoczesna gejsza. Służę panu, i panu, służę jako stół. Jedzcie i pijcie z niego wszyscy, to jest ciało moje... Proszę sobie wziąć dokładkę. *Bon appétit*.

Najwyższy pułap, oczywiście finansowy, stanowiły role w filmach erotycznych – 14 500 złotych na rękę za pokazanie kamerze dupy i nie tylko. Ech, chyba nie stworzyłabym żadnej niezapomnianej kreacji, ale udział w takim przedsięwzięciu byłby niezapomniany. Być może wyszedłby na jaw nawet po latach.

A idźcie z tym wszystkim w pizdu!

Czy nie lepiej przetrząsnąć portal \$sponsora \$zukam? Jeśli się kurwić, to przynajmniej za naprawdę dobre pieniądze. Być macaną i lizaną przez jednego gościa, higienicznie i bez nagrywania. Przecież w życiu chodzi o utrzymanie się, prawda? O hajs. A jak go zdobędę, to moja sprawa. Może znów chciałam się kurwić, i tyle. Kim innym byłam, jeśli nie wychudłą kurwą? Powinnam wreszcie brać kasę za to, co tyle razy dawałam za darmo. A jeszcze potem obrywałam i byłam porzucana. Koniec naiwności. W relacji ze sponsorem obowiązują pewne zasady.

Kiedy włączyłam wiadomo jaką stronę, aż podskoczyłam do góry. Żadnego czajenia się, rodem z Sympatii. Ujrzałam dziwki wszelkiej maści. Jedne pozowały w sukienkach, które wyglądały na drogie, ale drogie nie były, z nóżką na nóżkę, w louboutinach z tego samego bazaru. Ba, ścisnęły w garściach torebki. Inne, w identycznej stylizacji, a to się odpowiednio nachyliły, a to wypięły. Ja doceniłam te najbardziej szczerze, które od razu klęczały na pościeli. Unosiły w dłoniach napompowane biusty i szeroko rozsuwały nogi. Zwolenniczki BDSM obiecywały

zainteresowanym – już w wiadomościach prywatnych – „info na temat możliwości zeszmacenia mnie”.

Wszystkie te kobiety zaliczyłam do tradycjonalistek. Sama zamierzałam przyciągnąć uwagę naturalnością. Dziewczyna z sąsiedztwa, która ot, tak szuka sobie przygody, oczywiście z dojrzałym panem. Zauważyłam, że słowo „dojrzały” oznacza tutaj „ustawiony”.

Ale, ale, w dziedzinie dziwek mniej wyrazistych, bardziej rozmytych (nazwijmy je: pastelowych), również panowała spora konkurencja. Przejrzałam całą paradę wiotkich subtelných licealistek, studentek i tych już wykształconych. Z wdziękiem się zasłaniały albo odsłaniały. Do zakrytego rączką cyca dodawały cytaty w opisie. Wiele z nich miało nastawienie przygodowe, jakże podobne do mojego, opracowanego na te same potrzeby. Niektóre pisały całe wypracowania o tym, że rozczarowały się w związkach z lelum polelum, niewiedzącymi czego chcą, w tym z kobietami. Nieźle. Pragnęły pocieszenia jak kania dżdżu. I jak ja. „PS Lubię być uległą”. Halo, więc jednak były tradycjonalistkami, tyle że okutanymi pozorami i słowami przed rozebraniem. Wśród nich wyhaczyłam kobiety z pasją, które pragnęły zarobić na jej realizację. Dostarczały się do rąk własnych koneserom kobiecości (eterycznej kobiecości, dodawała jakaś „oczytana”), którzy zagwarantują im wysoki poziom spotkań. Czyli najpierw dmuchanie we flet w filharmonii. Brały pod uwagę wyłącznie tych, co potrafią sypnąć groszem, a nie targują się jak na arabskim targu.

Panowie odpowiadali na ich potrzeby. „Masz dość przyglądania się wystawnemu życiu innych atrakcyjnych kobiet? Nie chcesz sobie niczego odmawiać? Napisz”. Kandydaci na sponsorów pokazywali się w dobrze skrojonych garniturach, pod krawatem, pozując na profesjonalistów. Albo w koszulkach podkreślających muskulaturę na pięknych młodych bogów. No i bogatych. Przecież inni nie mieli prawa bytu na tym portalu. Prowadzili własne firmy. W cudzych piastowali wysokie stanowiska kierownicze. Do chóru ekskluzywnych chujów dołączali prawnicy, finansisci i menedżerowie odpowiedniego szczebla. Istny wysyp samotnych zatyraných Greyów, potrzebujących wytchnienia. Gwarantujących Francję-elegancję, apartamenty na co dzień, hotele pięciogwiazdkowe na wyjazdach. Prosilili kandydatki nie tylko o zdjęcia, lecz także o kilka słów o sobie. Niektórzy niemal wymagali CV do uprawiania z nimi seksu tradycyjnego, oralnego, hiszpańskiego, analnego, grupowego, z wyzwiskami, z zabawkami, fistingu, rimmingu, pissingu... Wykazy nie miały końca. Właśnie upodobania erotyczne wskazywały, w jakim celu znaleźli się tu ci wszyscy jakże wspaniali ludzie. Dobrze widziany był list motywacyjny z uzasadnieniem, czemu zainteresowana zgłasza się akurat do nich. Do głębokiego gardła nikt nie chciał dłużniczki z nożem na gardle.

Cały ten interes był bardziej niż podejrzany. Nie wiadomo było, na kogo

naprawdę się trafi. Kto kogo tu gra. Choć niby role zostały wyraźnie rozdzielone, a nawet pogrupowane w kategorie w menu. Niestety, miałam pecha i nie znalazłam ofert od kobiet sponsorek dla niuni, które chciałyby sobie przygruchać. A przynajmniej w województwie łódzkim i mazowieckim panowała posucha.

Kręciło mi się w głowie od mieszanki wybuchowej wszelkich kategorii. Cóż, nawet w tej branży trzeba walczyć o robotę i uczciwego pracodawcę. Nabrałam jednak ochoty na wygraną z różnymi ciziami i wyłowienie grubej ryby z morza bajkopisarzy. Czemu nie spróbować? Nie sprawdziłam się jako córka, siostra, kobieta, partnerka. Nie sprawdziłabym się jako żona i matka. A jako kochanka się sprawdzałam, jako dziwka również. Krótka, bo krótka, z pyskowaniem, ale od teraz będzie zupełnie inaczej. Zupełnie. Kiedyś podkochiwałam się w Majce (dobra: miałam na nią chętkę) i dlatego zgodziłam się na jej propozycję. Teraz musi mi wystarczyć miłość do siebie, ha, ha.

Nawet mój humor jest na pokaz przed sobą.

Weszłam oczywiście w szufladkę dla pastelowych, choć wydawała mi się niezmiernie zakłamana pod osłonką szczerości. Te, które do niej należały, oszukiwały przede wszystkim siebie. Na zdjęciach pokazałam sylwetkę z przodu i z tyłu, w obcisłych dżinsach i w koszulce na ramiączka, z rozpuszczonymi włosami. Wzorem innych dziewczyn zamazałam twarz. Opis wzięłam z Sympatii, choć był za grzeczny. I oto trafiłam do galerii! Jako kontakt dodałam numer na Gadu-Gadu, komunikatorze totalnie przedpotopowym, zapewniającym według mnie największą anonimowość. Nie wysyłałam nikomu żadnych propozycji – po zarzuceniu wędki z przynętą postanowiłam, że wezmę pierwszego, który sam podpłygnie. Ot, znak od losu. Czulałam, że inaczej naprawdę się wycofam.

Nie do wiary, ale tego samego wieczoru dostałam wiadomość. Jakie to proste! Pisał do mnie gość pod nickiem „Nie_zakładaj_majtek”. Genialnie, erotoman-gawędziarz! Ale pogawędzić na piśmie chyba mogę?

– Jesteś w związku? – od razu przeszedł do rzeczy. Brawo!

– Nie. Już po. A Ty?

– Nie, Już po.

– Właśnie zastanawiam się nad pojęciem miłości. – zarzuciłam jakże romantyczny temat. Bohaterka Jane Austen by się go nie powstydziała. No co? Trzymałam pastelowy fason.

– Miłość może i jest, ale ja jej nigdy nie doświadczyłem. Te kobiety, które ja kochałem... Olewały mnie. Kobiety, które olewałem, kochały mnie.

– Normalka – pocieszyłam go, bo chyba tego oczekiwał.

– Właśnie, zatem to sprawa wyboru. To znaczy, może nie kochały, ale oddawały mi się.

– Czasem grzech nie skorzystać.

– Prawda? Ile masz lat?

– A Ty? – wolałam się upewnić pierwsza, żeby w razie natknięcia się na dziadka wycofać się od razu.

– Czterdzieści pięć – Okej, niech będzie.

– Ja dwadzieścia cztery, ale chciałabym mieć siedemdziesiąt i bujać się na huśtawce w ogrodzie, wzdychając, jakie to miałam wspaniałe życie. – Jednak porwał mnie emerycki klimat!

– Teraz nie uważasz, że Twoje życie jest wspaniałe?

– Właśnie postanowiłam urządzić sobie małą terapię u pana Nie_zakładaj_majtek.

– Ha, ha, ha. Ale wiesz co? Popelniasz podstawowy błąd, jeśli uważasz, że spełnienie może przyjść z zewnątrz. A tak wynika z tego, co piszesz. Jeśli ono nie pochodzi z wnętrza, nigdy nie przyjdzie od innej osoby.

– Oj, Paulo Coelho po drugiej stronie? U mnie osiągnięcie wewnętrznej harmonii jest bardzo trudne – zwierzyłam się.

– Dlaczego?

– Zawsze potrzebowałam wrażeń. Testowałam.

– Co przetestowałaś?

– Różne rzeczy: wałęsanie się po mieście i wybieranie przypadkowych partnerów (bez tego wyjście nieudane), perfekcyjne spełnianie zadań na uczelni, sprawdzanie, ile wytrzymam bez jedzenia. Rodzi się pustka po pewnym czasie, a uzależniłam się od eksperymentów. Mam wrażenie, że bardzo dużo przeżyłam i wiem o życiu zbyt wiele negatywnych rzeczy, by się nim cieszyć. Kiedy zaczynam analizować, że jest ze mną źle i niedobrze, wtedy jest jeszcze gorzej. – Właściwie nie wiedziałam, czemu się przed nim otworzyłam. Chyba potrzebowałam się wygadać, po ludzku, zwyczajnie. Nie dawałam rady non stop być tajną agentką.

– Myślę, że mogę Ci pomóc – odpisał.

– Zwiążesz mnie i tak rozwiążesz moje problemy? Mam rację?

– Mogę Cię związać, ale w nagrodę. Jedno trzeba Ci przyznać, jesteś błyskotliwa. Mieszkasz w Łodzi?

– Tak. A Ty polujesz sobie tutaj na młode suczki? – Skoro raz zaszarżowałam, szarżowałam dalej.

– Nie poluję, nie o to chodzi. Każda chce być suką, ale tu trzeba inteligencji. No i jest różnica między byciem suczką a byciem zwykłym kurwiszonym.

– Czemu nie szukasz sobie nikogo na mieście? Klubów masz do wyboru, do koloru. Bez trudu da się znaleźć osobę do łóżka.

– Potrzebuję suczki na stałe.

– Czemu więc szukasz jej na tym portalu?

– Tu mogę wprost powiedzieć, że chcę jednego. A właśnie... Przyszłaś kiedyś na spotkanie z obcym facetem bez majtek?

– Nie. Widzisz, właściwie nie nadaję się do rockandrollowego życia.

– Ale coś Cię do niego ciągnęło?

– Tak. Dawniej stawiałam na zdobywanie, potem na zdobycie... I wszystko zniknęło, gdy zostało zrealizowane. Jeśli kochałam, to psychopatów. Bądź psychopatkę. Też mi się zdarzyła.

– Sama takich wybierałaś. Lubisz się czuć potrzebna? – kontynuował wywiad.

A mnie miło się odpowiadało na jego pytania. Dawno nikt mnie nie pytał o takie rzeczy i co z tego, że każde moje słowo mogło być użyte przeciwko mnie?

– Chyba tak. Często gęsto starałam się ratować ludzi z oparów.

– Emocje Cię podniecają?

– Mocne emocje między kochankami oznaczają po prostu lepszy seks.

– Po prostu. Spotkamy się? Hotel? – O, i jak niezgrabnie znów przeszedł do rzeczy!

– Od razu zakładasz, że się sobie spodobamy? – odparowałam.

– Już mi się spodobałaś.

– Idźmy więc coś zjeść razem. Na początek – napisałam, przede wszystkim dlatego, że dawno porządnie nie jadłam. Poza tym pragnęłam, by nasze spotkanie zapowiadało się jak każde inne.

– Dobra. Ale przyjdiesz bez majtek, w sukience – oderwał mnie od pozorów.

– Okej – poddałam się. – Jutro w Manufakturze, przed bramą, 19:00. Pasuje Ci?

– Tak. Sukienka będzie kusząca?

– Idziemy na jedzenie, nie na kuszenie...

A jednak nie nadawałam się nawet na kurwę. Kiedy on szarżował, w mig zamieniałam się w krygującą się pannę. Łacharska była zdecydowanie zbyt daleko ode mnie.

– Wiem, ale ja chcę być kuszony. Skąd będę miał pewność, że nie masz majtek?

– Zaufaj mi ;)

– Podaj numer telefonu.

– Nie. Będę punktualnie. Nigdy się nie spóźnię. A Ty jak wyglądasz?

Przesłał mi zdjęcie gościa łysego jak kolano, w okularach, o lekkim, ale budzącym zaufanie uśmiechu. Sylwetka postawna, bary szerokie, gajer w dobrym gatunku i dobrze dobrany. W odcieniu włosów lolitki. Oto i znak! Z drugiej strony granatowy kolor był na czasie, choć ja wołałam moją barwną tezę.

– Wyglądasz bardzo statecznie. Ja wyglądam na młodszą, niż jestem.

– Tak, po figurze i stylu sądziłem, że jesteś nastolatką. Będziemy się prezentowali jak ojciec z córką.

– Dokładnie.

– Czysta perwersja.
– Czy Ty wierzysz, że to robisz? Bo ja nie – dodałam, powróciwszy do wizerunku cnotki.

To nie był wielki błąd, skoro ten wizerunek całkiem nieźle na niego działał.

– Wierzę. Nawet mnie to podnieca. A Ty co czujesz?

– Jestem podekscytowana. Dawno nic takiego nie przeżyłam.

– Świadomość, że ja wiem, że masz gołą cipkę pod sukienką, będzie dla Ciebie podniecająca?

– Tobie chodzi o chwilę oderwaną od codzienności, mnie też – odpowiedziałam „tajemniczo”.

– To jesteśmy umówieni.

Raczej on był, bo ja, z kawą wyłożoną na ławę, znów zaczęłam się wahać. Rany boskie, przecież właściwie umawiam się z obcym gościem, w publicznym miejscu, bez majtek! Chyba naoglądał się *Nagiego instynktu*...

– Przepraszam, jednak nie jestem gotowa. Przykro mi, ale nie. Powinnam iść do terapeuty, nie do Ciebie – walnęłam z głupia frant.

– Tak, tak, jutro w Manufakturze zaczyna się Twoja terapia.

– Nie, nie, przepraszam raz jeszcze.

– Będę udawał, że nie wiem nic o majtkach. To znaczy o ich braku.

– Jeśli odpowiadasz w ten sposób, tym bardziej jestem na nie.

– Dobra, cofam wszystko. Trochę pogrywałem sobie z Tobą. Naprawdę chcę Cię poznać, porozmawiać. Do niczego Cię nie będę zmuszać.

– Nie. Ta dziewczyna jest niezdecydowaną wariatką, jak widać. Nic Ci po niej.

– Takie są najlepsze.

– Jasne. Koniec to koniec. Pa.

Wnerwiła mnie ta jego nieustępliwość. Trafił uparciuch na uparciucha!

– Koniec to początek. Jestem ciekaw, jak pachniesz.

– Twoja ciekawość pozostanie niezaspokojona.

– Ależ przyjdiesz, wiem to. Do zobaczenia.

ROZDZIAŁ VII

Lolita

Nie zamierzałam spędzać wieczoru z panem Nie_zakładaj_majtek.

Dzień zaczęłam typowo, od przeglądu Facebooka. Majka wyginała się w Londynie z Batmanem, na tle Piccadilly Circus. Szalenciec jeden! Czarek zapraszał wszystkich chętnych i chętne na swoją przysięgę, prosząc o przesłanie PESEL-ów. O cholera, czyli wojak dostał się do zawodowego woja! Wyobraziłam sobie zgrabny rząddek jego kochanek, z mężatkami włącznie, które na czas ślubowania wynajmą niańki do dzieci i mężów. Będą siąkać nosami ze wzruszenia i od pierwszych jesiennych chłodów. Pardon, ale ja do nich nie dołączę. Przecież minęła nasza ostatnia niedziela, z perspektywy czasu zaledwie epizodyczna.

Po plotki i ploteczki do mojej bliźniaczki wołałam nie zaglądać. Bałam się, co w nich ujrzę. A nuż czarną klepsydrę? W moim przeglądzie musiałam jednak uwzględnić Igora. Też wyrzuciliśmy się ze znajomych, lecz nie potrafiłam odmówić sobie niuchania po jego profilu. Pośród postów i zdjęć unosiła się osobowość byłego, pewien duch, który mnie fascynował i prześladował. Nie, to ja sama siebie prześladowałam śledzeniem go w internecie.

No i dograłam się. Trafiłam na fotkę z uchachaną lampucera. Oglądali razem plenerową wystawę, nie wiem o czym i gdzie. Ona szczyrzyła zębki prosto do obiektywu. To Igor naładował ją tą energią. On i moja krzywda! Pewnie pieprzą się bezustannie, stąd ten jej uśmiech od ucha do ucha! Lampucera wciąż miała dla niego urok ledwo co zdobytej nowości, choć dla mnie była nowością z wyprzedzący. Zastanowiło mnie, że na zdjęciu kochaś stulecia stoi dwa kroki za nią. Dobrze wiedział o obecności fotografa, ale popatrywał na boki, zmieszany. Wydawał się smutniejszy i słabszy od niej.

Och, mógł wyjść w ten sposób akurat na tym jednym, jedynym ujęciu. Ale ja dorobiłam sobie całą ideologię, choć powinno mnie to gównem obchodzić. Wybrał ją? Okej, ale i z nią się rozstanie. Dobra, gównem powinno mnie obchodzić także to, z kim on jest, z kim będzie lub nie. W głowie usłyszałam tupot własnych stóp zbiegających po schodach. Granat usunął go z twojego życia, zrozumiałaś – tłumaczyłam sobie. Moc granatu, który jest również kamieniem magicznym.

Owszem, zazdrościłam moim eks, że po naszych rozstaniach jako tako im się powodziło. Dobiły mnie znajome, które pozowały z odpowiednio przystojnymi gośćmi nad basenami albo pod palmami w ciepłych krajach. Do tego po wakacjach! A ja ciągle byłam sierotą. Biedą z nędzą.

Zmieniłam więc decyzję w sprawie wieczoru. Dla wyrównania szans. Uznałam, że skoro nikt i nic nie napełnia mnie zadowoleniem i miłością, niech

sponsor wypełnia mnie spermą i kasą. Zostanę sex-skarbonką, o ile pan, który zaleca mi nie nosić majtek, nie jest oszustem. Ale co mawiają trenerzy rozwoju osobistego i inni tacy? Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa.

Ponadto nowymi wydarzeniami chciałam rozproszyć unoszące się wokół wspomnienia.

Na spotkanie zaczęłam szykować się już po południu. Wzięłam prysznic, a potem poszłam na całość. Żadnej bielizny. Wciągnęłam pończochy, na nie wąską czarną kieckę z rozcięciami po bokach. Sięgała kostek. Kiedy miękka prążkowana dzianina otuliła ciało, poczułam się całkiem zmysłowo. W lustrze przyjrzałam się strategicznym miejscom – na górze spod materiału prześwitywały sutki, na dole nic nie było widać. Spięłam włosy w kok, ale po chwili je rozpuściłam, żeby czasem nie wyglądać jak Mortishia. Aby podnieść własną pewność siebie o kilka dodatkowych punktów, postanowiłam potaćzyć. A raczej powić się przy kawałku *Sexodus*. Staralam się, żeby ruchy sylwetki i dłoni były równie płynne, uwodzicielskie. *Baby, you can have it all. Tell me what for, baby, you can have it all. Tell me what for*^[12].

Przed samym wyjściem milion razy przeczesywałam włosy, poprawiałam kreski na powiekach, przeciągałam czerwoną pomadką po ustach. Potrzebowałam ultraperfekcji. Wbiłam się w castingowe szpilki. Po namyśle narzuciłam na siebie ramoneskę, żeby nie wyglądać zbyt pańciowato. A gdybym jednak związała włosy i przerzuciła je do przodu, na ramię? Nie będzie lepiej? A ta pomadka nie za mocna? Nie i nie. Przejmowałam się wyglądem, chociaż wciąż nie miałam pojęcia, czy ten gość w ogóle istnieje i pojawi się, czy wpuści mnie w maliny.

Kiedy kierowałam się na przystanek piętnastki, lekko podskakiwał mi biust i pośladki. Podskokami świętowały wolność. Podmuchy wiatru muskały moją szyję, dekolt i wsuwały się za niego. Prosto w rowek między piersiami. Rozwiewały rozcięcia przy sukience i zaglądały pod nią. Dmuchały po łydkach, kolanach, udach. Prosto tam. Dostawałam dreszczy, w tym z podniecenia. Emerycka część mnie bała się przeziębienia od mocniejszych powiewów; już kiedyś zaliczyłam numer z wiatrem, ach... Moja cipka była jednak kompletnie lekkomyślna, zachwycona ocieraniem się o nią przytulnej dzianiny. Gdy usiadłam w tramwaju, materiał przykleił się do pośladków. Później musiałam go odklejać, możliwie jak najdyskretniej.

Powietrze tuż po deszczu było nadzwyczaj rześkie. Kiedy moje obcasy rytmicznie postukiwały, cipka wchłaniała zapach zabloconej zebry, zamokłej skóry na butach, prawdziwej i sztucznej, zwilgotniałej sierści na psich łapach. Kałuży na chodniku, toczącego się po nim nadgryzionego jabłka ze strugą śliny, zwiewanych liści. Kamyków, ziarenek piasku i petów między płytami. Smug spalin i wyziewów z kratek kanalizacyjnych. Nic jej od tego nie chroniło. Ona pewnie nie martwiła się, a z upodobaniem wchłaniała każdą woń, nawet zupełnie obrzydliwą, cały czas

równie ciekawska.

Przez bramę Manufaktury, z zegarem wskazującym dziewiętnastą, przechodziłam rozedrgana. Bum, bum, bum, łomotało serce. Próbowałam się uspokoić i wejść w tryb „nie jestem mną”. I nawet trochę mi się udało. Ale trochę nie. Sama nie wiedziałam, trwało we mnie pomieszanie z poplątaniem. Baczynym wzrokiem wodziłam po męskich sylwetkach i twarzach, żeby nie przeoczyć tej ze zdjęcia, nabrałam bowiem instynktownej pewności, że on musi gdzieś tu być. A jeśli stoi tyłem? Właśnie tam, przed wejściem do sklepów?

Facet odwrócił się. Również popatrywał na boki. Tak, to musi być on! Stał bez marynarki, w białej koszuli (ho, ho, ho, jaki gorący!), w granatowych spodniach i wyglansowanych, brązowych butach z modnie zaokrąglonymi noskami.

W kiecce i ramonesce, które stanowiły całkiem seksowne połączenie, ale nie takie ą i ę, poczułam się nieswojo. Ech, a dopiero co bałam się być zbyt szykowna! Dobrze, że on nie uwiązał sobie krawata – pomyślałam, a mimo to kojarzył mi się z Louisem i wyelegantowanymi biznesmenami z wernisażu, na którym poznałam Igora. Mijałam takich gości także obok banków albo kancelarii adwokackich, kiedy kończyli pracę. Chyba nie wracał prosto z niej? Był ode mnie sporo wyższy, mimo moich szpilek.

Wzięłam głęboki oddech i podeszłam. Wyciągnęłam rękę. Zerknęłam na grubą srebrną bransoletę zegarka. Oto posrebrzany burżuj w skórze krokodyla – wywnioskowałam. Uścisnął mi dłoń zdecydowanie i energicznie, lecz nie tak, jakby chciał ją pogruchotać. Uśmiechnął się szczerze i odsłonił rząd ładnych zębów. Jednak nie był krokodylem. Dobra nasza!

Odwzajemniłam uśmiech.

Nie był zaskoczony moją obecnością. Zachowywał się tak, jakbyśmy umówili się bez żadnych niedomówień. Wypomniął mi tylko łagodnie, że odżegnywałam się od kuszenia, a wyglądałam kusząco. Podziękowałam za komplement, prawie dygnęłam. W jego perfumach wyczuwałam żywicę, imbir, pieprz. A mimo to zapach nie był ostry. Łagodził go kwiat, tylko jaki?

Stałabym tak, nie przestając go obwąchiwać, gdyby nie zapytał, jaką kuchnię lubię. Przecież nie mogłam rzucić, że McDonalda, zupełnie jak totalna gimbusiara, powiedziałam zatem, że włoską. Przede wszystkim z tego względu, że ona cudownie zapycha żołądek. Nie burczałoby mi w nim przez długi czas po spotkaniu.

Pierwszą restauracją z włoskimi daniami, jaka przyszła mu do głowy, była Tawerna. Znałam ją, a więc ahoy, jedzenie! Kierowałam się za panem kapitanem, który po drodze uprzedził mnie, że jestem jedną z wielu dziewczyn, z którymi pragnie „porozmawiać”. Pogodziłam się z tym.

Wspinaliśmy się na pięterko obwieszane kołami ratunkowymi, które nikogo

nie uratują. Oświetlały je latarenki. Na razie w mojej głowie wyświetlał się wielki napis „NAJEM SIĘ”; marzyła mi się pizza z krewetkami. Jakaż to była radość, gdy odnalazłam ją w menu! Narobiłam na nią ochoty kapitanowi, toteż wzięliśmy większą. Do niej dobraliśmy białe wino. Nie mogłam się doczekać, aż któraś z kelnerek w marynarskiej czapce postawi przed nami JE-DZE-NIE.

Głęboki głos mojego nowego znajomego ładnie współgrał z pobrzękiwaniem gitary. Oczywiście przypomniła mi się lolitka zacumowana ze mną przy Czarnej Perle, prędko jednak przegoniłam wspominki, żeby się nie dekoncentrować. Głośno zamknęłam menu, podczas gdy mężczyzna taksował mnie wzrokiem. Analizował każde słowo mowy mojego ciała. W jego oczach widziałam czekoladę. Mleczną czy gorzką? Gorzką, bo ciemną. Naprawdę wołałam ją od mlecznej, powstrzymałam się jednak od wygłoszenia tych uwag. Również takich, że jego koszula idealnie pasuje do białych żagli, a spodnie mają odcień morskich fal z zawieszonych na ścianach fotografii. Jeszcze by mnie wziął za nawiedzoną grafomankę!

Rozmowy w bardziej nastrojowych warunkach nie mogłam sobie wymarzyć. Odniosłam wrażenie, że kapitan przybył z jej planem. Punkt pierwszy: czym zajmowałam się do tej pory?

– W połowie października bronię magisterki na temat motywu Lolity w plastyce – odparłam.

– Sama jesteś jak Lolita – skomentował, pochylając się nade mną.

Wzięłam te słowa za kolejny komplement i zarumieniłam się.

Wtedy przyniesiono równie rumianą świeżuchną pizzę.

Pilnowałam, żeby nie rzucić się na nią i nie pochłonąć raz-dwa. Wskazane było kosztowanie ciasta kawałeczek po kawałeczku. Rozkoszowanie się gryzami, o, maleńka krewetka, o, ciągnący się ser, mmm! Kapitan, zapewne poniesiony wystrojem i nastrojem knajpy, między kęsami rozprawiał o podróżach. Kierowany skojarzeniem z pizzą postawił na Włochy i prędko zaczął się wymądrzać.

Spieraliśmy się, kto ma więcej zasług dla naszej cywilizacji, starożytni Rzymianie czy Grecy. On obstawał przy Rzymie – drogach, mostach, sądownictwie, ja przy Grecji – sztuce, filozofii, pojęciu piękna. Spotkanie zamieniło się w uczelnianą dysputę. W myślach zrugałam się, że dałam się ponieść i zgrzeszyłam zbytnią wiedzą. Bałam się, że przez nią wyjdę na mniej atrakcyjną albo na zołzę, która musi dopiąć swego. Odpuściłam również dlatego, że on by nie spoczął, gdyby mnie nie przelicytował i nie przypieczętował wygranej tym swoim uśmiechem.

Z rzymskiego Panteonu zabrał mnie jednak do greckiego Partenonu, pod mój gust. A następnie zahaczyliśmy o Cypr i Maltę.

– Chętnie bym cię tam zobaczył – powiedział.

Nie sprecyzował, czy miałabym być Afrodytą wyłaniającą się z piany, czy

kim. Na pewno nagrzaną piasek przesypywałby się między palcami moich stóp. Oto klepsydra, która odmierza czas plażowania! A jak spacerowałyby mi się po kamienistej plaży? Kamienie nie są uległe wobec palców. Czy obnażona skóra pękałaby na palcach, na piętach – dumalam. Powstrzymałam jednak ciekawość i nie przerywałam durnymi pytaniami opowieści o plażach pod niebem, z którego lekki wiatr odgarnia chmury. O powietrzu ciepłym, klarownym i przejrzystym jak woda. Mój rozmówca zanurzał się w niej i nurkował wśród raf koralowych. Wokół niego pływały stworzenia, które znałam wyłącznie z akwariów albo widziałam w postaci mrożonek w hipermarketach. Czy ośmiornice kiwały do niego mackami? Mijane wraki ziały rozlatującymi się szczątkami, jaskinie ciemnością.

Nie potrafiłam pływać i nie zamierzałam się uczyć, choć on zaczął mnie do tego nakłaniać. Przyznałam, że zdecydowanie wolałabym poznać, lecz z zabytków liczył się dla niego wyłącznie spadek po wychwalanym co rusz cesarstwie rzymskim. Ja natomiast miałam przed oczami otwarte drzwi włoskich muzeów. W nich czekały na mnie obrazy i rzeźby znane mi dotąd wyłącznie z reprodukcji. Teraz mogłam co najwyżej podzielić się opowieściami o Bałtyku, objazdach studenckich i o tym, jak raz, zamiast na nocleg do hostelu, trafiliśmy do noclegowni dla bezdomnych. Ewentualnie pogawędzić o moim wprawnym nurkowaniu w życiowym szambie. Nie dziwota, że wciąż wolałam mniej mówić, a więcej słuchać.

Nowemu znajomemu wyraźną satysfakcję sprawiało moje nieukrywane zainteresowanie. Robienie oczu jak pięć złotych, westchnienia i tym podobne. Dzięki wojakowi kojarzyłam ten typ, jego wymagania, więc się podporządkowałam. Pewnie łechtałam jego ego również wtrącanymi od czasu do czasu przemyślanymi pytaniami.

Dzięki nim wyjawiał mi, że przebywanie w podwodnej ciszy i spokoju relaksuje go po stresującej pracy. Był bowiem maklerem. Żeby dostać licencję, musiał zdać arcytrudny egzamin, a po nim starać się o wymarzoną posadę. Gdy ją zdobył, zaharowywał się, pełen ambicji. Pragnął coraz więcej i więcej, a odreagowywał na używkach wszelkiej maści. Na pewno podążała za nim cała ławica kobiet, ale pominął ten wątek. Dowiedziałam się natomiast, że dopiero podróże zmieniły jego podejście do pracy i życia.

Cóż, wszak one nie za darmo – i nie na darmo – kształcą.

Pieniądzy mu nie brakowało. Mimo wszystko oszczędzał je w czasach zawodowej hossy. Planował zmienić pracę, gdyż najlepsze czasy dla maklerów w Polsce przeminęły z wiatrem; domy maklerskie zamykały się jeden po drugim. Poza tym potrzebował zajęcia mniej obciążającego nerwy.

Jego opowieści budziły mój podziw, intrygowały. Miałam nadzieję, że mnie nimi nie wkręca. Przecież ja równie dobrze mogłam powiedzieć, że byłam primabaleriną, tańczyłam w Teatrze Bolszoi, ale teraz potrzebuję mniej

intensywnego zajęcia.

Po pizzy zapytał, co sobie życzę na deser.

Przerzucałam kartki menu z entuzjazmem dziewczynki z dwiema kitkami, a nie dorosłej kobiety. „Meringata – bezowo-migdałowy deser lodowy podany z bitą śmietaną i malinami, Rzymskie wakacje – lody czekoladowe z serkiem mascarpone i rodzynkami nasączonymi alkoholem (Rzym – w jego stylu, ale wyjdę na totalną lizuskę), Pogodny poranek – lody waniliowe z bitą śmietaną i truskawkami...”. Powtarzałam kolejne słowa z upodobaniem i namaszczeniem, jakbym wymieniała nazwy klejnotów. Opisy pyszności przyprawiały o kociokwik i ślinotok. Ciągłe czułam się ostatnim głodomorem. Poza tym zastanawiałam się nad wyborem zbyt długo. Ostatecznie wzięłam coś skromniejszego z opisu, lecz nadzwyczaj pysznego – szarlotkę z gałką lodów.

On nie zamówił niczego.

Kiedy zajęłam się deserem, nawiązał do naszych interesów. No tak, w sumie spotkaliśmy się tutaj w określonym celu... Rozluźniając kołnierzyk, zapytał, na co się zgodzę w łóżku, a na co nie.

Ledwie przełknęłam łyżeczkę lodów. Nie potrafiłam wydusić z siebie żadnego słowa. Bądź profesjonalna, bądź profesjonalna, gadaj – tresowałam się w myślach.

Wreszcie wydukałam, że nie zgodzę się na seks analny i BDSM, ale oprócz nich jestem otwarta na pomysły. Pal licha, że pierwsze słowa przeczyły tej otwartości. Skoro ustalaliśmy zakres, jak by nie patrzeć, obowiązków, musiałam być szczerą. Nieszczerość obróciłaby się wyłącznie przeciwko mnie. Poza tym on nie przestawał świdrować mnie wzrokiem, jakby miał w oczach wykrywacz kłamstw. A niech się gapi, na zdrowie – pomyślałam. Wsadziłam główkę łyżeczki w szarlotkę, żeby zdążyć, zanim lody zamienią się w niesmaczną paćkę.

Przyjął moje słowa i zachowanie na luzie. Chyba, bo ja nie umiałam go przeświecić. Wbijał mnie w ziemię autorytet, który go otaczał. Szefuńcio, bez dwóch zdań! Z drugiej strony ta jego niezachwiana pewność siebie, jeszcze mocniejsza niż u wojaka, bo sprzężona z poczuciem sukcesu, niegłodna już niczego, bardzo mnie pociągała. Z podobnym zadowoleniem myślałam, że kapitan musi mieć i słabości.

Ach, jak zadowoliliby mnie ich odkrycie!

Kolejnym punktem do omówienia okazało się moje wynagrodzenie. Rzuciłam jedyną stawkę, jaką znałam, czyli pięć stów za spotkanie. Wspomniałam, że wyprowadzam się z akademika i że już zabukowałam nowe lokum. I o tym, że wolałabym inne, bez współlokatorów – własną kawalerkę, w której przecież moglibyśmy się widywać. Mówiłam chyba jednak zbyt nerwowo, choć właśnie zaczęła się gra o wysoką stawkę. Kto się boi, może przegrać. Na szczęście on przystał na moje warunki i nie musiałam wcale negocjować. Zaznaczył, że sam

będzie ustalał daty spotkań (co najmniej dwa razy w tygodniu), pisał lub dzwonił. Oczekiwał elastyczności, podporządkowania się co do godziny, gotowości do zmiany planów.

Dla mnie te wytyczne dorównywały jasnością słońcu na cypryjskim niebie. Nie mogłam mieć innych partnerów i sprowadzać do mieszkania innych facetów, nawet kumpli. Pokiwałam głową, bo nigdy nie miałam kumpli. Wolałabym zresztą sprowadzać kobiety, co nie wchodziło w zakres ustaleń. Niby wszechwiedzący kapitan nie miał pojęcia o moim biseksualizmie. I tu go miałam (mimo że nie wykazywałam wielkiej ochoty na podryw kogokolwiek)! Fantazjowałam, że tak się dorobię, że będzie mnie stać na własne dziwki. O, a wtedy niech przyjeżdżają z full serwisem! Odbiję sobie.

Na szczęście szefuńcio nie dociekał, gdzie siebie widzę za pięć lat.

Nieubłaganie zbliżała się praktyczna część rozmowy. Co innego szybki seks z obcym po imprezie i wódce, a co innego po paru łykach wina i w takiej sytuacji. Szłam za maklerem w stronę hotelu Andel'sa, przepełniona uczuciami więźniarki prowadzonej do zimnej zatęchłej piwnicy z narzędziami tortur. Moje nastroje zmieniały się kalejdoskopowo. W ogóle zdziwiłam się, że on zarezerwował gdziekolwiek pokój i poinformował mnie o tym zupełnie zwyczajnie. Ot, rozmowa o pogodzie. Co by z nim zrobił, gdybym nie stawiała się wcale lub nie zgodziła się pójść – zastanawiałam się. No, chyba że tej nocy przez hotelowe łóżko miało przewinąć się więcej kandydatek... Wówczas interes byłby opłacalny, nawet gdybym się nie pojawiła. Makler jednak powtarzał, że zna się na ludziach, bo... rekrutował ich niejednokrotnie.

W recepcji ponownie dopadł mnie spory stres. Moim zdaniem w oczach recepcjonistki wypadliśmy dwuznacznie, o ile nie wzięła nas za ojca z córką. No nie, przecież jeden pokój, jedno łóżko. Zresztą, co by ją to miało obchodzić? Niech mnie ocenia, jak chce, żyjemy w wolnym kraju!

– Tylko nie waż się iść do łazienki. Żadnych sztuczek z... Z sama wiesz czym – powiedział sponsor żartobliwie, otwierając przede mną drzwi.

Delikatnie, bo delikatnie, ale nawiązał do wytycznych z rozmowy na Gadu-Gadu. Mimo wszystko nie zapomniał.

Przysiadłam na łóżku i uruchomiłam pilotem telewizor. Padło na TV4 i film o rekinach, z doskonale dopracowanymi efektami specjalnymi – mordercze ryby wydawały się jak wycięte z kartonu tępymi nożyczkami. Nieźle byśmy się z nich naśmiewali z Igorem – pomyślałam.

Makler przejął pilota i wyłączył telewizor, a mnie po plecach popłynęła strużka zimnego potu. Kolejne niepotrzebne starcie, zachciało mi się telewizji! Co ja robię – wypominałam sobie, nie wiadomo który już raz tego dnia.

Odłożył okulary na stolik i ostentacyjnie klapnął obok mnie.

– Będziemy sobie siedzieć, tak? – zapytał.

Cholera, naprawdę przegrywałam! Wszystko przez te nerwy! Za dużo ich. Opamiętaj się! Masz zadanie do wykonania – kontynuowałam wewnętrzne krzyki pod swoim adresem.

Przysunęłam się do maklera i wpiłam w jego usta z chciwością godną ostatniego pocałunku w moim życiu. Podobno dziwki nigdy się nie całują z klientami, ale ja nie chciałam czuć się przy nim jak dziwka.

Niecierpliwy język wtargnął w moje usta. Sponsor popchnął mnie na łóżko, nachylił się i nie przestawał całować. Zadarł mi sukienkę, która stała się pofałdowanym zwojem tkaniny. Jego dłonie nie wędrowały po moim ciele pieszczotliwie, ale nachalnie, co nie wpływało na ich miłe ciepło. Odbyla się szybka kontrola, czy mam na sobie bieliznę, czy nie.

– No i co? – zapytałam. – Nie wierzyłeś mi? Sprawdzaj mnie, sprawdzaj dalej!

Rozluźniłam się trochę i nabrałam animuszu.

– Tak?

Ujął moją dłoń i przesunął w kierunku swojego podbrzusza.

Chwilę jeździłam nią po przeżącym się pod spodniami penisie, aż makler odpiął spodnie i wsadził ją sobie do środka. Popieściłam go, po czym podniosłam się z łóżka i uklęknęłam na podłodze; poza wydawała mi się bardziej podniecająca, bo poddańcza. Oceniałam, że on lubi poddańczość.

Przysunęłam się do jego owłosienia. Połaskotało mnie. Trzymając jedną ręką trzonek penisa, a drugą opierając o udo kochanka, pochłonełam sztywną męskość wargami. Później ani one, ani ręce nie pozostały bezczynne – ślizgałam się nimi jednocześnie. A penis zniknął i wychylał się, wychylał się i zniknął, coraz szybciej, w coraz zachłanniejszych ustach. Ta otwarta winda sunęła w górę i w dół. Męczyzna wplątał mi we włosy rozcapierzone palce, równocześnie przyciskając do siebie mocniej moją twarz. Zebrał pasma w kucyk i owinął go wokół dłoni. Szarpał za niego, nadając mi tempo.

Tak gwałtownie wsunął się niemal w moje gardło, że zadławiłam się penisem. Oczy szklily mi się od łez. Mimo to byłam posłuszna natarczywym ruchom. Pragnęłam im sprostać, wykazać się. Ich brutalna siła, ta męskość napięta do granic, wskazywała, że zaraz nadejdzie moment spełnienia. Bardzo pragnęłam orgazmu maklera, teraz, zaraz, już, by przestał i był zadowolony. I bym dzięki niemu naprawiła poprzednio popełnione błędy.

Udało się.

Przełykałam gęstą kremową spermę, a w niej białko, sód, fruktozę, potas, glukozę, wapń, cynk, magnez, być może nawet witaminę C. Wyobrażałam sobie, że te składniki wędrują dalej, w głąb mnie, jak w kreskówce *Było sobie życie*. I wtedy, niestety, zaczęłam się kztusić. Co za obciach, cały efekt diabli wezmą – pomyślałam w popłochu.

Nie wzięli. Czy ktokolwiek kiedykolwiek udusił się spermą?

Mrugałam szybko, żeby osuszyć w ten sposób łzy, które zalewały mi oczy. Miałam nadzieję, że nie rozmazał mi się makijaż. Tragifarsa!

Kiedy makler puścił moje włosy i popatrzył na mnie, jego spojrzenie straciło ostrość. Znajdowało się za mgłą. Odetchnął głęboko, zapiął spodnie, przejechał ręką po mojej głowie.

– Teraz ty, Lolitko – powiedział.

Co ja? Przecież ja swoje zrobiłam. Ledwie się pozbierał, czego jeszcze chce – snułam domysły.

Wrzucił mnie na łóżko. Ponownie podwinął moją sukienkę, rozstawił mi nogi i wsunął się pomiędzy nie nadzwyczaj zwinnie. Miałam wrażenie, że wsadzi tam nos. Moje obwąchiwanie go było absolutnie niewinne przy jego obwąchiwaniu mnie. Łakomym, perwersyjnym, do upojenia. Chyba chciał od razu znaleźć moją najgłębszą, najskrytszą nutę. Bazową.

Kiedy odsunął nos i wydychał mój zapach, wzdrygnęłam się lekko od nagłego podmuchu powietrza. A on zaczął mnie lizać po wargach sromowych. Nikt mi tego nie robił równie pożądliwie, więc naprawdę mi się podobało, bez żadnych udawanek. Rozłożył je palcami i muskał czubkiem języka samą lechtaczkę. Tym razem powoli, rozkoszując się tym tak, jak ja deserem. Znaczący, w knajpie nie wziął deseru dlatego, że wołał inny... Głaskałam jego głowę, nie mogąc opędzić się od myśli, że moja cipka niemal dorównuje jej gładkością.

Kiedy wycofywał się, patrzył mi prosto w oczy, które to zamykałam, to otwierałam, i mówił. Żaden kochanek /kochanka nie przemawiał/-a do mnie tyle podczas seksu. Oszołomiło mnie to nowe odświeżające doświadczenie.

– Świetnie pachniesz, całe twoje ciało, wszędzie. A jak smakujesz! Mógłbym cię lizać godzinami.

Oplacało się tu przyjść, żeby usłyszeć takie słowa!

Makler przerwał przemowę i przystąpił do dalszego ciągu pieszczot. Ssał i podgryzał najwrażliwszą część. Gdy znów rozległ się głęboki głos, z trudem przebijał się przez moje najgłębsze doznania. Poruszałam biodrami, nie wiem czy w rytmie jego ruchów, czy słów. Ściszałam dłońmi prześcieradło, wbijałam w nie szpilki.

– Proszę, proszę, moja lolitka jest bardzo wrażliwa! Ciekawe, co sobie myślisz teraz?

Nic nie myślałam, a w odpowiedzi zacisnęłam uda na jego policzkach. Wtedy wsunął mi język do pochwy; wydawał się wyjątkowo długi i gibki. Wyjął język, naznaczył jego wilgocią wnętrze moich ud, znów wsunął... Chyba chciał nas wykończyć tą niekończącą się minetą.

Kaluża ze śliny i śluzu, którą miałam pod sobą, powiększała się. Mój oddech i puls przyśpieszyły, aż do braku kontroli. Wydawało mi się, że je tracę. Przeszłam

kolejny orgazm na tej pościeli, a poznaliśmy się... ile czasu temu? Dwie godziny? Trzy? Wszyscy, z którymi byłam w łóżku, włącznie z Igorem, przy tym kochanku wydawali się nieudacznikami. Makler stosował własne niezawodne sposoby. Nie dało się tego orgazmu, tego obłędu, nie mieć.

– Chyba było ci równie dobrze jak mi, prawda? – Pokiwałam głową i obciągnęłam sukienkę. – Nawet lubię takie skromne.

Im mniej mówiłam ja, tym on więcej. Bałam się, że przez mrukliwość ostatecznie przegram, ale nie umiałam się przemóc po raz enty tego szalonego wieczoru i pytlować z nim na siłę.

Tymczasem on wstał z łóżka, zapalił światło i skierował się do łazienki. Ja, nawet bez niego, siedziałam jak trusia. Zastanawiałam się, czy przyznawać się do blizn. Nie widział ich pod ciemnymi pończochami. Czy jeśli będę się tak stroić na każdą randkę, kochanek nie nabierze podejrzeń?

Wyznałam mu wszystko, gdy wrócił. Przerwałam to jego podśpiewywanie pod nosem. Przypominałam córkę, która musi się przyznać, co spsociła, bo w przeciwnym razie przez cały dzień, całą noc oraz następne noce i dni będzie się zwijać z nerwów. Nie wytrzyma narastającego strachu, że prędzej czy później wszystko się wyda. Obnażyłam nieszczęsne uda i wyjawiałam pochodzenie białawych, ale wyraźnych śladów. Przyznałam się też do podpisania ze sobą paktu o nieagresji. Nie dodałam, że łamałam go wielokrotnie i na wiele sposobów. Na koniec, patrząc w podłogę, wypowiedziałam swoją największą obawę.

– Teraz mnie nie będziesz chciał, co?

Nie stracił nad sobą kontroli. Nie dał po sobie poznać żadnej reakcji.

– A jeśli będę chciał, zdziwisz się?

Nie miałam pojęcia, co mu odpowiedzieć.

– I tak jestem cały czas zdziwiona – odparłam po chwili.

Wtedy pocałował mnie, długo i przeciągle, dłońmi ściskając moje pośladki.

Tym pocałunkiem przypieczętowaliśmy interes. Ale nie przestałam się zastanawiać, jak pan makler, bezbłędnie ubrany, opanowany, mógł popełnić taki błąd, jakim byłam ja. Posiadał nade mną przewagę w każdym aspekcie. Nie był powichrowańcem. Kursował, gdzie mu się podobało. Umiał zarabiać duże pieniądze. A co ja miałam? Dla niego cipkę, młodość i wdzięk, który bywał niezdarny.

Zanim wyszedł z pokoju, położył na łóżku kopertę. Dodał, że załatwi mi kawalerkę i w tej sprawie o nic nie muszę się martwić. Wymieniliśmy numery telefonów.

Wszystko potoczyło się piorunem.

Mogłam się przespać w hotelu, gdzie opłacił mi nawet śniadanie. Zostałam więc. Rozczesywałam sklezione kosmyki włosów i wciąż nie wierzyłam, że zdobyłam „pracę”. Złowiłam grubą rybę, zrealizowałam marzenie. Mimo wszystko

los mi sprzyjał, skoro do tego doprowadził. Uznałam, że blizny paradoksalnie wpłynęły na moją korzyść – makler musiał się spodziewać, że jeśli wyróżni mnie wyborem, pozostanę lojalna i nie będzie miał ze mną żadnych kłopotów. Starannie myjąc każdy skrawek ciała, cieszyłam się, że nareszcie koniec biedowania. W kopercie znalazłam nie tylko wynagrodzenie za spotkanie, lecz także rodzaj zaliczki, chyba na zachętę. Na małej karteczce sponsor zapisał datę i godzinę następnej randki. Ha, ha, ha, żebym czasem nie zapomniała!

Bez większego namysłu polecałam na zakupy. Wszak centrum handlowe miałam pod nosem. Mogłam wybrać sobie jedzenie, kosmetyki i ciuchy, jakie chciałam, nie zaciskając pasa. Towarzyszyła mi satysfakcja człowieka, który wydaje pieniądze, na jakie w pełni zasłużył. Sama dla siebie albo dla Igora nie kupiłabym koronkowej bielizny. Ale co nowa praca, to nowa praca. Co nowy kochanek, to nowy kochanek.

Jego wygląd nie robił na mnie wrażenia, choć kobiety w podobnym wieku miały go zapewne za przystojnego. Właściwie najmocniej kręciła mnie różnica wieku między nami. Imponowały mi: wiedza maklera, dojrzałość, pozycja zawodowa, władczość, znajomość kobiecego ciała. Dzięki jego opowieściom, ustom i dłoniom otworzyło się wiele drzwi, które dotąd pozostawały dla mnie zamknięte. Odbiło mi natychmiast. A może na początku nie umiałabym tego ciągnąć bez gwałtownego zakochania się? Nieważne, czy stanowiło ono złudzenie, czy też nie.

Owszem, nowy szef był dumny i wymagający, ale ja miałam pewność, że każdy mój wysiłek odpowiednio doceni i wynagrodzi. Na jego miejscu również byłabym dumna. I wymagająca, gdybym płaciła wybranej dziewczynie, zamiast uganiać się za tak zwaną miłością. Jeśli masz wystarczającą ilość hajsu, możesz posiadać zapachy i westchnienia młodych kobiet albo starszych, jakich tylko zechcesz. Czy to nie jest wspaniałe?

Poprzysięgam sobie, że kiedyś tak samo będzie w moim życiu. Oddzielę seks od uczuć jak on. Będę silna, charakterna i twarda jak on. Na miękkiej kobiecości taka osoba jak ja może wyłącznie się przejechać, jak na skórce od banana, i roztrzaskać skroń.

Na razie makler wymagał ode mnie ultrakobiecości, tyle że na własny użytek. Konstruowałam ją zatem pod niego. Nabyłam biały komplecik bielizny, do tego podkolanówki i plisowaną mini w kratkę, która ledwie zasłaniała mi tyłek. Stanik i majtki włożyłam od razu po zakupie, w toalecie. Mimo że ich brak dostarczył mi wielu doznań, w nich poczułam się znacznie pewniej.

Z Manufaktury targałam do pokoju również dodatek specjalny: wielką różową panterę niosłam przewieszoną przez ramię, żeby jej długie nogi nie ciągnęły się po ziemi. Recepcjonistka udawała, że nie zwraca na mnie uwagi. W pokoju włączyłam w telefonie piosenkę *Moi Lolita* i tańczyłam z panterą, popijając

z gwinta czerwone wino. Nie marki Wino, ale takie w dobrym gatunku. Wskoczyłam na łóżko. Dosłownie. Odbijałam się od niego, prawie zahaczałam o sufit. Przypominałam sobie bezgraniczne uwielbienie w oczach maklera i nie przestawałam fruwać pod sufitem. *Hello Helli, t'es a... moi Lolita*^[13].

Cudze chwalicie, swego nie znacie. Lolita – oto ta, którą byłam. Nie stworzył jej we mnie makler za pomocą słów. Stworzył ją we mnie mój ojciec, za pomocą czynów. Tak. Widocznie nie wyrosłam z tamtego wcielenia. Istniałam we wszystkich moich nimfetkach, uwielbianych i opisywanych, nie tylko w mojej bliźniaczce. Kiedy stało się to nieznośnie oczywiste, inne lolity z malowniczej tajemnicy zamieniły się w nudne zdjęcie rentgenowskie.

* * *

Następnym razem umówiłam się z szefem jeszcze w hotelu. Moja przyszła kawalerka w bloku na Bałutach urządziła się. Nie pasjonowałam się sprawami mieszkaniowymi, więc w tym przypadku cieszyłam się, że on lubi dyrygować. Z mebli do dokupienia pozostało już tylko nowe łóżko, bo sofę stamtąd makler uznał za niezbyt wytrzymałą.

Chciałam poczekać na niego w hotelowym pokoju z niespodzianką, więc podał mi niezbędne dane. Tą niespodzianką był oczywiście mój „lolici” strój. „Lolici”, a nie lolici, bo kompletnie przerysowany. Oto kolejny chichot losu – nie tak dawno miałam zostać nauczycielką, a teraz wcielałam się w uczennicę. Do tego rodem z porno stereotypu. Niby nie znosiłam stereotypów ani porno, ale powielalam je.

Muszę się przyznać, że przed tym spotkaniem pooglądałam trochę mocno nieprzyzwoitych gifów z Japonczkami. No co? W ramach przygotowań. W części z nich pieczołowicie dopracowano scenografię: rzędy ławek, tablica na ścianie i najważniejsze – biurko. Na nim siedziała uczennica w mundurku jak spod igły. Koniecznie białe majtki płątały się w okolicy chudych kostek. Okulary w kocich oprawkach były ochlapane spermą. W innych ujęciach dominował minimalizm – liczyło się samo łóżko. Na nim rozchylały się nogi, kolana były przyciskane do prześcieradła, a wyciągnięte w górę ręce rozkładały się tak samo szeroko. Obojętne gdzie znajdowała się główna bohaterka, zawsze ziała z niej dziura, wypełniana co rusz posuwistymi ruchami. Z filmików wynikało, że seks polega głównie na tym. Również męczyznę reprezentował jego narząd.

Po obejrzeniu całej serii takich gifów wnerwiły mnie te dziury z przodu, z tyłu czy między rozwartymi wargami. I bezradne, cierpiętnicze miny ich właścicielek. Zgadzałam się w całej rozciągłości, że trzeba je rozruszać, wypełnić. Z podziwem patrzyłam na to, co wyprawiają z nimi penisy. Jakbym nie była kobietą. Interesowałam się przede wszystkim szczegółami anatomicznymi – na przykład stopniem zaróżowienia i zaczerwienienia wiadomego miejsca, kojarzonego w tych okolicznościach z niezliczonym bogactwem odcieni mięsa.

Tyłki przypominały podskakującą szynkę. Nic, tylko brać i dzielić na plasterki. Kto chce?

Interesowała mnie także obfitość płynów. Śmiałam się sama z siebie, że kiedyś z zapalem dowodziłam, że jeśli mam obejrzeć film erotyczny, to tylko i wyłącznie z wciągającą historią. Co za banialuki! Czy trzęsący się tyłek, damski lub męski, sam w sobie nie jest historią?

Pożałowałam, że w magisterce nie dodałam rozdziału o lolitach w porno.

Nie byłabym sobą, gdybym nie sprawdziła gifów wyłącznie z kobietami. Jednak te, które znalazłam, nie odbiegały jakoś nadzwyczajnie od poprzednich. Były identycznie prostackie i pretensjonalne. Czasami w zastępstwie penisa występowało dildo bądź wibrator. Niby zdystansowałam się do tej konwencji, ale moja cipka tradycyjnie wiedziała swoje, czyli stawała się pobudzona.

Czas przelatował mi przez palce, tymczasem zbliżała się godzina randki w hotelu.

Rzuciłam się do łazienki, żeby się umyć, a później zgarnęłam do torby moje popisowe wdzianko i poleciałam na przystanek. Na szczęście do hotelu zdążyłam przed sponsorem, zgodnie z naszą umową. Mogłam spokojnie się przebrać.

Gotowa? Akcja! On otwiera drzwi. Ona wita go w progu, cała w pąsach, cała rozkoszna. Zawijazuje na jednym z dwóch warkoczy odplataną tasiemkę, wyginając przy tym bioderko. Podciąga podkolanówkę.

Jednak robiłam karierę aktorską, nie ma co!

Makler, zobaczywszy mnie w tej roli, oszalał. Sięgnął pod moją spódniczkę, prosto do cipki. Wydobył stamtąd esencję i posmarował nią moją szyję i wgłębienia za uszami. Mocno wcierał we mnie to jedyne w swoim rodzaju pachnidło, a następnie pokrywał te miejsca pocałunkami. Ja, wciąż pod wpływem Japonczek i wciąż niezaspokojona, chciałam wszystko przyspieszyć.

Zachowywałam się więc tak, jakbym przewijała film do najgorętszego momentu.

Zaciągnęłam mężczyznę na łóżko i dobraliśmy się do siebie. Pozbyliśmy się jego spodni i rzuciliśmy je na podłogę. On zsunął mi majtki. Wyjęłam z nich jedną nogę i potrząsnęłam drugą. Wdrapałam się na kochanka i wbiłam mu kolana w boki. Wyprostowana kołysałam się w spódniczce, która zasłaniała widok. Dlatego skupiałam się na samym ocieraniu się męskości o moje wnętrze. Nieco wypuszczałam penisa z siebie, by opaść na niego powtórnie i zakosztować przebicia. Moja cipka zaciskała się na nim, jakby chciała wessać go w siebie.

Sponsor oparł dłonie na mojej talii i nieśpiesznie zmienił tempo. Ech... Poprosił, żebym zdradziła mu swoją dowolną fantazję. Podałam ulubioną, czyli niespełnioną pewnego pamiętnego wieczoru.

– Jest tu z nami trzecia osoba.

– Uhm. Facet?

– Nie.

– Lolitka? Taka jak ty? – podpytywał, a ja przytaknęłam.

Japoneczki zrobiły swoje. Do widzenia wam, *canto cantare!* W myślach witałam się nie z taką gąską, a z kurwą. Najbardziej typową między kurwami. Tyle że maklerowi raczej nie spodobałaby się fantazja o niej w polakierowanych lateksach. Nie jego styl.

– Ona zajmuje się twoimi cycuszkami czy tyłeczkiem?

Rany, jak ja nie znosiłam podobnych zdrobnień! Ale byłam w pracy, prawda? Role zostały rozdane. Sama tego chciałam.

– Cycuszkami – stwierdziłam.

– Jak? Pokaż!

Pokazałam namiętne ugniatanie piersi, z przesadą, wyginaniem szyi do tyłu, jakby głowa miała mi odpaść i potoczyć się za posłanie.

Padalo pytanie za pytaniem, a ja nie przestawałam się poruszać. Zaczęłam wykonywać wirujące ruchy. Kręciłam biodrami podczas nowego tańca, aż kochanek nie dawał rady zadawać swoich beznadziejnych pytań. Zgodnie przyspieszyliśmy. Krew we mnie tętniła, jakby zaraz miała wylać się z moich żył. Mocniej odgięłam się w tył i oparłam dłonie na udach mężczyzny. A on popędził mnie jeszcze bardziej. Intensywne skurcze nie dawały mi spokoju. Nie byłam w stanie nic zrobić, tylko krzyczeć, jakby obdzierano mnie ze skóry. Kiedy zamilkłam, położyłam się na nim. Przechodził mnie prąd za prądem. Po raz pierwszy doświadczyłam orgazmu przed kochankiem!

Kiedy z niego zesłam, chciałam dokończyć ustami. Ssałam go jednak zbyt delikatnie, zmęczona, więc przejął inicjatywę. Wsuwał się w moje usta i wysuwał z nich niecierpliwymi ruchami.

Na kolejnych spotkaniach pozwalał mi nad sobą panować niesłychanie rzadko, wprost od święta. A podczas tego powiedział mi, że moje szczupłe ciało wygląda na ciało lolitki, lecz pachnie kobietą. Że odurzyło go to i przez to mnie wybrał. Uwielbiał mój naturalny zapach do tego stopnia, że dodał do naszej umowy załącznik: miałam używać wyłącznie nieperfumowanych kosmetyków. U żadnej dotychczasowej partnerki seksualnej nie znalazł podobnego połączenia niewinności i wyuzdania, o którym długo, długo marzył.

Uzupełnialiśmy się zatem doskonale. Mój sponsor potrzebował dupy i duszy lolity, jakie odnalazł we mnie. Ja potrzebowałam takiego wsparcia finansowego, jakie odnalazłam u niego.

Wtuliłam się w plecy maklera, gdy leżał tyłem do mnie, tym razem zasypiając w hotelu. Oplotłam go sobą niczym bluszcz. I wtedy dodałam dwa do dwóch: mojego Wilka z Wall Street, a raczej wilka morskiego, i sen o rejsie. Okazał się proroczy. Miałam ochotę wrzasnąć „eureka!”, ale powstrzymałam się oczywiście.

Chyba jednak byłam czarownicą.

A mimo to nie wierzyłam, że zdam egzamin magisterski wyłącznie dzięki mojej czarodziejskiej mocy. Termin zbliżał się wielkimi krokami. Wkuwałam, wkuwałam i jeszcze raz wkuwałam. Czekало mnie również pakowanie pudeł przed przeprowadzką, odbiór mieszkania, kolejna randka, już na Bałutach. Wszystko naraz, przed samiuśkim egzaminem.

Słoneczna kawalerka z balkonem, pomalowana na biało i urządzona w modnie minimalistycznym stylu, odpowiadała mi. Do niczego nie mogłam się przyczepić. Naprawdę, nawet gdybym chciała. Chodziłam po jasnym parkiecie jak zaczarowana. W części kuchennej znajdowało się wszystko co potrzebne, wszystko na wyciągnięcie ręki, nawet sztuce. Zajrzeliśmy do łazienki i przetestowaliśmy punktowe oświetlenie nad błyszczącym lustrem. W pokoju, na przeszklonym blacie stołu, od razu ustawiłam laptopa. Nie mogłam się doczekać, aż zapełnię regał książkami. Te parę pudeł z moimi rzeczami wciąż leżało w samochodzie szefa.

Gwoździem programu było oczywiście łóżko, niesłychanie udana inwestycja pana maklera. Czarne, z białym baldachimem, wedle życzenia jego lolitki.

I tak miałam sobie od dzisiaj mieszkać. Wynajem na rok z możliwością przedłużenia.

Chciało mi się płakać. Tak dzieje się przecież wyłącznie w bajkach, a nie w moim pokręconym życiu! Myszka w kreskówce ze smakiem zajada żółty ser. Czuję się obdarowana, bo nie zdaje sobie sprawy, że prędzej czy później zatrześnie się pułapka. Dorównywałam jej naiwnością. Nie przeszkadzało mi, że sponsor będzie miał swoje klucze. I że oczywiście będzie wpadać bez zapowiedzi, choć oboje woleliśmy umawiać się z wyprzedzeniem.

Po przeprowadzce, na swego rodzaju parapetówie, pieprzyliśmy się jak seksoholicy, jak szaleńcy. Najpierw przetestowaliśmy moim tyłkiem politurę krzesła, lecz szklanego blatu stołu nie odważyliśmy się tknąć. Pod nim było zbyt mało miejsca, ale wokół znacznie więcej. Parkiet wypolerowałam swoim ciałem na błysk, przytulając usta mężczyzny do swojego brzucha i rozwieszając nogi na jego barkach. Nieźle poobijałam sobie plecy.

Wreszcie dopełziliśmy do łóżka.

Na nim odwrócił mnie, mówiąc, że mam się wypiąć, więc pomyślałam, że weźmie mnie od tyłu. Tymczasem niespodzianka, on wziął mój tył! A przecież wyraźnie zazaczyłam w pierwszej rozmowie, że tego nie chcę... Mimo to nie zareagowałam – sprzeciw groziłby utratą mieszkania, a ja ledwo je zdobyłam. Makler uregulował kaucję i czynsz za pierwszy miesiąc. Kaucji nie musiałam mu oddawać (taki był wspaniałomyślny!). Nie dość że cudem zostałam jego utrzymanką, to dopiero co zaczęłam pracę u niego, wołałam więc zacisnąć zęby. Wtuliłam twarz w poduszkę, aż skroplił się na niej mój oddech. Słyszałam szelest miętoszonej nami pościeli i sapanie. Klarowałam sobie, że w pracy czasami zdarza

się podobnie – pracodawca wymaga dotrzymywania umowy, a sam ją leceważy. Co zrobisz? Nic nie zrobisz.

Mimo to, kiedy szef już zniknął, rozplakałam się. Skulona przerywałam płacz przeraźliwymi wrzaskami, godnymi rozdieranego na pół zwierzęcia. Zarówno cierpienie, jak i pożądanie daje się wyrazić wyłącznie dzikim nieludzkim głosem. Tym razem usłyszała go wyłącznie poduszka, która rozmazywała mi łzy po twarzy. I nie chodziło o stronę fizyczną samego aktu, bo kochanek nie chciał sprawić mi bólu i wcale nie było mi źle. Chodziło o to, że on mógł w naszej relacji naprawdę wszystko. A ja przekonałam się o tym na własnej skórze, więc każde złudzenie prysło.

Kolejny atak hysterii, od którego dostałam istnej trzęsionki, dopadł mnie w nocy przed wyczekiwany egzaminem.

Niestety, weszłam już w wiek, w którym każdy dłuższy płacz żłobi ślady na twarzy, więc rano mocniej niż zwykle przypudrowałam zapuchniętą buzię. Wskoczyłam w eleganckie ciuchy i pantofle, a na uczelni odstawiałam osobę doskonale opanowaną. Przecież znów nie miałam innego wyjścia. Przekreślić pięć lat studiów, bo sponsor wybił mnie z rytmu, dyplomatycznie mówiąc?

Pytania komisji nie zaskoczyły mnie; ona również wiedziała, że ja wiem. Promotor nawet przerwał mi odpowiedź, żebym nie produkowała się aż tyle. Cóż, wszelkie obowiązki zawsze starałam się wykonywać wzorowo... Profesor przypomniał także, że pragnie mnie widzieć w przyszłym roku akademickim na doktoracie. Ha, ha, ha. Podkreślił, że moja praca była najlepsza w całej jego grupie. Gdyby wiedział, kim właśnie jestem, co robię... Ciekawe, czyby mnie tak szanował i lubił? Niemal hołubił.

Mimo życzliwości komisji i jawnego sukcesu doskwierał mi skwaszony humor. Wszystkie dziewczyny, które wcześniej czekały ze mną na korytarzu, ktoś trzymał wtedy za rękę, a po wyjściu z pokoju egzaminacyjnych zwierzeń ścisnął. Tylko ja, jak zwykle, byłam bezwzględnie sama. Na co pewnie także sobie zapracowałam.

Ale mi nowina! Jeśli kochasz się z kimś, kto nie kocha ciebie, ledwie on się od ciebie odsunie, a jesteś samotna. Nie mogłam nawet porządnie trzasnąć się w twarz, na otrzeźwienie z melancholii, bo jakiś głos w środku mnie kwilił: „Nie bij, proszę, nie bij!”.

Na pocieszenie kupiłam sobie nowe poduchy, drukowane w ważki. Śmiałam się w duchu, że będą pasowały do mojego tatuażu, którego odlotowość polubił makler. Tak, ten tatuaż był najlepszą rzeczą, jaka pozostała mi po Igorze. Czasami przyłapywałam się na myśli, że i ja bym chciała coś mu wytatuować, nawet na własny koszt. Na przykład walnęłabym mu przez całe czoło: „Jestem chujem”. Albo nie, zatrudniłabym do tego odpowiedniego zbirą, który przy okazji porządnie przyłożyłby mojemu byłemu. Czaiłabym się wtedy za rogiem – jeden sygnał od

zbira i ziuuum – byłabym na miejscu. Patrzyłabym, jak zgięty wpół Igor dostaje kopa w gratisie.

Ten widok by mi wystarczył.

Napawałam się nim, gdy wylegiwałam się na łóżku. Turlałam się pośród poduch z panterą i butelką, osnuta kadzidlany dymem.

Trans Szeherazady w jej komnacie przerwał telefon od szefa.

– Nie depiluj się w tym tygodniu – zadysponował i zapowiedział się dopiero na koniec kolejnego.

Przytaknęłam. Wszak od tego tu byłam. Zachowywałam się jak, nie przymierzając, stuprocentowo posłuszna mężowi żona w małżeństwie przed wiekami. Albo i w takim współczesnym. Mało to jeszcze niewolnic?

Po naszej krótkiej, choć treściwej rozmowie piłam dalej. Rozmyślałam nad tym, że w życiu trzeba nieźle lawirować. Czasownik, którego nie lubię: „przystosować się”. A musiałam się przystosowywać w kwestii własnego ciała.

Makler uważał, że powinnam trochę przytyć, więc jadłam więcej, specjalnie na jego życzenie. Kiedy nie miałam apetytu, pakowałam jedzenie w policzki, zupełnie jak chomik, i zmuszałam się, by je przeżuć i się nie zadławić. Żułam i przetykałam dla mojego dobra, dożywienia i odżywienia. Sponsor wymagał ode mnie zaledwie paru kilogramów, dobrnięcia do ustalonych pięćdziesięciu. Tłustość mi nie groziła. On zresztą nie lubił tłustych.

Dyktaturę odreagowywałam, bałaganiąc i alkoholizując się, kiedy szefa nie było. Gdyby wszedł wówczas do kuchni, skrzywiłby się na widok góry talerzy z zaschniętymi resztkami jedzenia. A moja matka? Ona dopiero by się nad nimi wytrząsała! Ja natomiast kolekcjonowałam je, napawając się ich ohydą. Cieszyły bardziej od rosenthalów. Wolność Tomku! Makler bardziej niż bałaganu nie znosił tylko pijanych kobiet.

A może ja jestem zarówno kryptolesbą, jak i kryptoalkoholiczką?

Cóż, zawsze istniały we mnie dwie osoby. Tym razem mądrzejsza spokojnie obserwowała poczynania głupszej. A głupsza szalała z radością. Przysysała się do gwinta butelki jak niemowlę do cycka. Nie wypijała zbyt wiele – chodziło o poprawę samopoczucia i o przepływ ciepła w brzuchu przed snem. Zwisałam później z łóżka, ścierając podłogę koniuszkami włosów. Wieszałam się panterze na szyi i do niej przytulałam potargane kosmyki. Na ramionach opierałam sobie jej puszyste łapy. Lili, lili, laj, moja pantereczko!

Rzeczywiście zachowywałam się dziecinnie.

Po paru podobnych wieczorach i nockach ulżyło mi. Skupiłam się na rozsyłaniu maili z tekstem magisterki do wydawnictw naukowych. Na pomysł wpadł mój promotor, a ja byłam szczęśliwa, że w ogóle mogę wysyłać taką propozycję z jego opinią. Nie osiadłam na laurach. W zasobach bibliotecznych i internetowych wyszukiwałam materiały do nowych artykułów. Postanowiłam nie

poddawać się i nadal pisać o sztuce, a przynajmniej próbować. Odnowiłam kontakty z artystami. Choć czasami wydawało mi się, że nie ma to najmniejszego sensu.

Tylko co go miało?

O dziwo, nawet wymagający jak sto choler pan makler pochwalił moje pisanie, gdy przeczytałam mu fragment jednego z tekstów. Na spotkanie przyszedł bowiem wcześniej, niż się zapowiedział, a ja akurat stukaliśmy w klawiaturę. Pogłaskał mnie po głowie, niczym ukochaną córunię, a następnie głaskał już całkiem nie po ojcowsku. Wysupływaliśmy mnie z ubrań.

Po raz pierwszy miałam pokazać się komuś nago nieogolona. Czyli według mnie – obrzydliwa.

Miliony artykułów w prasie i internecie gorąco dopingowały, żeby każda kobieta skrupulatnie pozbywała się owłosienia, które wyrasta gdziekolwiek indziej niż na głowie. By ukrywała je przed mężczyznami w każdy możliwy sposób. Przyjście na randkę w stanie niewydepilowanym było dla mnie gorsze niż przyjście w stanie nietrzeźwym. Niedopuszczalne. A z roku na rok stawałam się coraz bardziej przewrażliwiona na punkcie pozbywania się zbędnych włosów. Jeżeli akurat nie trwałam pogrążona w depresji i obojętności, te odrastające równały się dla mnie brudowi. Zatem sponsor postawił mi wyjątkowo odrażające wyzwanie. Codziennie oglądałam obrastanie własnego mięsa w syf, nie mogąc zeszkrobać go z siebie jak z naczyń.

Jednak podczas swojej wizyty makler po raz kolejny sprawił mi niespodziankę. Przeciągając dłonią po szorstkich od włosów łydkach (fuj!), poprosił, żebym przyniosła mu z łazienki golarkę. Jako osoba praktyczna wzięłam od razu drugą jednorazówkę, ręcznik, piankę i balsam. Och, gdybym tylko mogła coś wypić! Choć ociupinkę, żeby pozbyć się skrzepowania...

Ze znanym sobie spokojem straceńca pogodzonego ze straceniem rozłożyłam ręcznik na łóżku i przysiadłam na nim. Kochanek nachylił się nade mną. Chwilę obwąchiwał mnie pod pachami i między udami. Pogładził futro, które zafalowało pod jego krągłymi dłońmi. Zawahał się, zanim sięgnął po maszynkę. A ja obawiałam się, że jednak znów będę musiała zmienić wcielenie, tym razem na kosmatego diabła Piszczalę. Wtedy mój makler miałby najprawdziwszy zapach dzikiej natury.

Przykucnął i zaczął od najbardziej zarośniętej części. Miałam ochotę ukryć twarz w dłoniach (w sumie lubił wstydlive...), ale zwyciężyła ciekawość.

Wsmarował we wzgórek łonowy całą garść pianki (za dużo). Wspinał się po nim maszynką bardzo uważnie, żeby po drodze nigdzie mnie nie urazić. Zatrzymywał się na dłużej, delikatnie naciągając skórę warg. Zjeżdżał z nich powoli. Tym razem nie zadawał żadnych pytań, skupiony na krótkich pociągnięciach. Słyszałam tylko szuranie ostrza, które sunęło po włoskach i skórze.

Nie ruszałam się, pianka znikwała. On prędko płukał ostrza w kuchennym zlewie i nakładał następną porcję pianki, z nieznanym mi upodobaniem. Pracował, dopóki nie pozbył się nawet najmniejszego włoska. A ja obserwowałam jego koncentrację, jakbym była tu główną eksperymentatorką. Wymienił maszynkę. Usiadł obok mnie, kazał podnieść ręce. Zlikwidował dwa gniazda pod pachami, zanim załęgły się w nich ptaki.

Potem zajął się nogami, które przewiesiłam przez jego kolana. Sunął ostrzem z niezmienną wprawą. Pociągnięcia stały się długie i posuwiste, od kostki do wypukłości kolana i od niej do krańca uda. Nie wiem, ile to wszystko trwało. Najgorszy był sam początek. Im bliżej było końca, tym bardziej odstresowana się stawałam. Ulżyło mi, że wreszcie pozbyłam się uczucia towarzyszącego rozrastaniu się brudu.

Dla zwieńczenia dzieła sponsor wysmarował moje ciało balsamem. Powinien jeszcze ubrać mnie w piżamę, zawinąć w rulon koca jak w naleśnikowe ciasto i ululać. Tyle że nie byłam tu od ululania, a od zlikwidowania jego i własnego pożądanego.

Runął na mnie. Ugniatał masywnym i miękkim ciałem. Moje aksamitne nogi lepiły się. On wgryzał się w moją szyję i uderzał we mnie, aż plaskało. Krople potu i strużki naszych soków spływały razem z balsamem.

* * *

Podczas pierwszego miesiąca zarobiłam u sponsora cztery tysiące, co mobilizowało do dalszych wysiłków i poświęceń. Byłam przekonana o sile kobiecości, która przetrwa wszystko. Ponadto zaczęłam robić za terapeutkę maklera. Opowiadał mi, że traci sporo energii przez nieskończony strumień informacji, przyjmowanie wielu bodźców naraz, podejmowanie ultraszybkich decyzji. Tłumaczył, że jeśli nie wykiwa innych, sam zostanie wykiwany. Oto pojedynki na inteligencję, mówił, nic więcej. Kto przewidzi i wyprzedzi ruchy drugiej strony, ten lepiej go rozegra. Dlatego ciągle trzeba mieć oczy dookoła głowy, analizować, podejmować ryzyko.

O, co do ryzyka zgadzaliśmy się oboje. I jasne było, że nie da się go zbyt długo wytrzymać.

Jednak makler miał kontrolowanie i kierowanie we krwi. Ani słowa sprzeciwu! Nawet wobec obcych zachowywał się w tej kwestii przesadnie. Dlatego nie znosiłam naszych wyjść gdziekolwiek. Podczas robienia zakupów na kolację, którą miał ochotę przyrządzić mi na własną modłę, zwracał uwagę ludziom, którzy weszli nam w drogę (czyli zatarabanili ją wózkami albo ustawili go zbyt blisko półki). Mówił do nich tonem, który zahaczał o arogancję i agresję. Jeśli zastanawiało mnie wnikliwe spojrzenie ochroniarza („posądza mnie o kradzież, czy co?”), makler, uważający mnie widocznie za naiwne dziewczę, wyjaśniał mi, że ochroniarz na mnie leci. Za parę słów za dużo powiedzianych do młodego kasjera

miałam awanturę na sto fajerek. Szef okraszył ją docinkami, że teraz to już na pewno będę chodzić wyłącznie do tego sklepu, pełnego moich rzekomych wielbicieli.

Kiedy wybraliśmy się na drinka na OFF-a, a barman nie dosłyszał mojego zamówienia, od razu usłyszał kazanie i został nazwany bałwanem. Zawstydzona napastliwością sponsora nie odrywałam wzroku od ziemi. Przy stoliku makler pouczał mnie, żebym ćwiczyła siłę przebicia. Miał rację, ale poczułam się jak karczone dziecko. Przyjemność z wyjścia uleciała razem z jego kolejnymi słowami – zdaniem ojczulka po drodze mnóstwo gości lampiło się na mnie, a tutaj działa się identycznie. Głosem, w którym usłyszałam zarzut, perorował, że przyciągam natrętne spojrzenia, jestem istnym magnesem. Jego oczy były podejrzliwe, uśmiech zirytowany. Zaczął się zachowywać, jakby obawiał się rywali, których nie miał. W jego głowie rośli oni jednak w całe rzesze.

W nocy po „niezapomnianym” drinku opowiedział mi, że spotkał w swoim życiu uciekającą pannę młodą. Był gotów dać jej wszystko, a ona spruła przed samym ślubem. Cóż, tyle dobrego, że nie przed samym ołtarzem... Zdradzany wcale nie miał pojęcia o tym drugim. Pewnie stąd wzięły się jego skłonności śledcze. Tylko czemu ja miałam płacić za historię wyciągniętą z lamusa?

W zamian uraczyłam go opowieścią o lampucerze i Igorze. Były siedział w mnie podobnie do rzepa na psim ogonie. Chciałam nadać swoim przeżyciom kabaretowy sznyt, lecz łzy popłynęły same. Wtedy makler uściskał mi rękę. Po prostu, jak człowiekowi. Pocieszał cierpliwie i mądrze, czule i życzliwie. Żadnego „tego kwiatu to pół świata”.

– Gdybym spotkał cię dziesięć lat temu, byłabyś moją żoną – stwierdził na koniec, a ja uśmiechnęłam się, choć dość sztucznie.

Nie wiedziałam, czy mówi mi te słowa na pocieszenie, czy na poważnie.

E tam, już widzę podobne małżeństwo! – rozważałam przed snem. Dopóki będę dla niego atrakcyjna, będzie mnie ubóstwiał, zachwalał moją urodę, delikatność i wrażliwość, co najmniej jakby były jego. Z dumą zaprezentuje je publiczności, kiedy odpowiednio przygotuje mnie na przejście z sypialni na salony. Stanę się ambasadorką maklera. Co powiem czy zrobię nie tak w towarzystwie, pójdzie na jego konto. Lecz w końcu zacznę tracić siły na naszą grę, a on i jego siła przestaną mnie pociągać.

Kłaniał się przypadek wojaka.

Początki każdej znajomości są najlepsze, pełne obietnic, które potem gniją od środka. Jeżeli nic się z nimi nie robi, wszystko pleśnieje i śmierdzi. Wówczas wady nie tylko się wyłaniają – one stają się wręcz jaskrawe. A nasze będą migotać neonowo najciemniejszą nocą. Gorzej, jeśli on zażąda ode mnie dzieci. Wtedy się zbuntuję. Dzieciom robić krzywdy nie będę, wydając je na świat. Nie, nie, nigdy nie zostanę żoną takiego gościa! O ile zostanę czyjąkolwiek – uspokajałam się. Zapowiadałam się na starą pannę, która owinie szyję szalem ze swoich kotów i

będzie przeżuwać galaretki w cukrze, chrząszczące między zębami.

Musiałam więc i na nie zarobić, póki jestem młoda.

Na hasło „wspominki” dostałam odzew od Igora, który zgłosił się do mnie z gorzkimi żalami, że lampucera uwiodła go i zwiodła, a obecnie wyzywa i upokarza. Co rusz wybuchały między nimi szarpaniny i kłótnie, które on nagrywał na dyktafon. A następnie odsłuchiwał nagrania na zimno, żeby mieć lepsze argumenty do kolejnej afery.

Po co do mnie pisał? Po co o tym? Po porady? Szczyt szczytów! Nie chciało mi się czytać tych wynurzeń do końca. Najważniejsze, że byłego dosięgła ręka sprawiedliwości. Niech lampucera tłucze go nią z całej siły! Niepotrzebnie chciałam organizować zbirów. Zresztą Igor sam dla siebie był wystarczającą karą. „A ja mam codziennie minetkę, a na święta wyjeżdżam z ukochanym na Maltę”, odpisałam mu i zachichotałam. Wiele nie skłamałam; szef wspominał coś o wspólnej wycieczce w ramach premii, tyle że jeszcze nie określił terminu.

Jednak nie samym „kochaniem” człowiek żyje. Za dnia nadal starałam się zaspokajać pożądanie wobec obrazów i liter. Byłam również na bieżąco ze wszystkimi wystawami w mieście i z premierami kinowymi. Robiłam z nich notatki o wrażeniach, wówczas cała szczęśliwa, choć moja matka nazwałaby to życiem obiboka. Dla mnie spiswane zachwyty były lecącymi przez kartkę kometami, które ciągnęły za sobą długie warkocze. Prowadziłam także pamiętnik, czasem w ramach autoterapii. Wystarczyłoby mi nocy na kolejnego sponsora, ale byłam zbyt słaba psychicznie, nie dałabym rady. Teraz ledwo co ją dawałam.

Owszem, czasami makler traktował mnie delikatnie, jak roślinę dopiero co wyniesioną z cieplarni. Ujmował i przyciskał do siebie z niezmiennym zachwytem, ale już na mnie nie działał. Poczułam przesyt. Niestety, zatracał się migiem, kiedy przerzucał swoją roślinkę na łóżko. Zamieniałam się na nim w soczyste mięso, którego naoglądałam się tyle, w tylu postaciach. A mężczyzna obrabiał je i obracał. Brakowało mu tylko tłuczka, żeby je ubijać. Choć byłam pewna, że i tego się doczekam. No, szerzej usta, no, szerzej uda – komenderował. A tyłek rozszerzał mi sam. Penis wypełniał mnie całą, gdziekolwiek się wbijał. Ćwiczyłam repertuar jęków, aby nie wyjść z wprawy i nie wypaść z roboty. Czasami dręczyłam się wyrzutami sumienia, że i ja traktowałam (i chciałam traktować) ludzi przedmiotowo.

Ale mięsne zapusty pustoszyły mnie. Aura przygody i zmysłowości prysła. Rodzaj kary za dawną boską pełnię? Coraz częściej moje ciało ślepie, głuchło, traciło węch i poczucie smaku. Należało do cudzych potrzeb, nie do moich pragnień. Ono wiodło swoje życie, ja swoje. Jedno zarabiało na drugie.

Brakowało mi innego towarzystwa. Tak, damskiego. Wpadłam na pomysł, żeby odezwać się wirtualnie do sąsiadki rapera.

– Hej, pamiętasz mnie? Smażyłyśmy się razem na grillu. Zaproponowałaś mi

zdjęcia, a ja wciąż jestem chętna. Odzywam się dopiero teraz, bo miałam trochę komplikacji w międzyczasie. A co u Ciebie?

– Hej, hej! No u mnie sporo zmian. Zostałam góralką. Bieszczadzką.

– Co? O matko i córko! To mnie zaskoczyłaś. Poważnie? Jak?

– Nie pytaj, za dłuuga historia. Pod Małą Rawką pracuję, w schronisku. Wpadaj, będziesz nam tresować rawczańskie szczenię :). Porobię Wam wtedy foty, ha, ha, ha.

Odpisała zupełnie w swoim stylu, jakbyśmy znały się od dziesięciu lat, a nie od jednej imprezy. Przesłała mi nawet widok ze schroniska i zdjęcie psiaka, niosącego w pysku badył.

– Bardzo, bardzo chętnie wpadnę, ale na razie chyba nie dam rady.

– Powiem tak: zaproszenie ma nieograniczony termin ważności :). A jeśli chcesz w Łodzi się pofocić, uderzę w Twoim imieniu do kumpeli, Łucji. Powinnaś się jej spodobać.

– Rany, świetnie :). Dziękuję Ci! Będę czekać na wieści od niej.

– Nie ma sprawy. Ona wraca za tydzień ode mnie do Łodzi, to się zgadacie.

Wieści były takie, że Łucja szukała nowej modelki, a ja spadłam jej z nieba. Miałam przyjechać do jej mieszkania połączonego ze studiem. Podała mi adres i umówiłyśmy się na sobotę, którą obie miałyśmy wolną. Łucja zaplanowała dla mnie stylizację. Na tę okazję, jak za najmłodszych lat, ćwiczyłam przed łazienkowym lustrem powłóczyście spojrzenia i uśmiechy godne Mony Lisy.

Udało mi się podjechać prawie pod samą kamienicę.

Brama podwórka pozostawała uchylona, drzwi do klatki również. Kiedy wspinałam się po schodach, w świetle padającym z wysokich okien wirowały drobinki kurzu. Pomiędzy tralkami wyginały się esy-floresy, które przypominały lodygi. Stapałam po drewnianych, zmatowiałych i lekko zapadniętych stopniach. Od ilu kroków się odkształciły? Już na klatce dawało się wyczuć niesamowity klimat, a co będzie dalej?

Zatrzymałam się przed dwuskrzydłowymi przeszklonymi drzwiami z numerem siedemnastym. To tu. Za nimi zobaczyłam niewyraźne kontury, wręcz ducha. Kiedy mi otworzył, zmaterializował się w brunetkę ze związanymi włosami, w koszulce na ramiączka i spodniach haremkach. Chyba dopiero co przestała być kwiatem lotosu.

Miałam nadzieję, że Łucja nie każe mi się wyginać w pozycjach joginki.

Przeszłam za nią przez korytarz, dłużej zatrzymując spojrzenie na stojaku wypełnionym ubraniami z koronek i tiulów. W pokoju, do którego mnie zaprowadziła, przeglądałam płyty gramofonowe, ustawione rzędem na półce. Nawet odnalazłam moją ukochaną Ewę Demarczyk. Próbowałam uruchomić adapter, kiedy Łucja parzyła mi kawę (poprosiłam o nią jak ostra narkomanka o heroinowy zastrzyk), ale nic z tego nie wyszło, przechadzałam się więc wzdłuż

regalu. Odnalazłam parę ilustrowanych albumów, które sama posiadałam.

Przystanąłam w progu drugiego pokoju – z jednej strony widziałam tam wysokie okno bez zasłon, z drugiej tło fotograficzne, wiatrak, lampy i manekina. Zareagował na mnie z obojętnością właściwą swojemu gatunkowi, choć odłączył się od nóg i zostawił je obok. Zadarłam głowę, podziwiając plafon z kwiatami pośrodku sufitu. Same wspaniałości.

– Studiujesz na ASP, tak? – zagaiła rozmowę Łucja, gdy przysiadłyśmy na łóżku przy ławie w pokoju.

– Nie, nie. Na uniwerku, historię sztuki. Właściwie już skończyłam, dopiero co miałam obronę. Zdjęcia u ciebie będą nagrodą...

– Nieźle. Ja skończyłam to samo trzy lata temu. Musiałyśmy się mijać na korytarzach. U kogo pisałaś magisterkę?

Zacząła się typowo studencka wymiana plotek o wykładowcach i wrażeń z objazdów naukowych. Łucja stawiała się swojska. Jej śmiech brzmiał podobnie do dzwonek na wietrze.

W toku naszej rozmowy wydało się, że ona równocześnie ze studiami robiła studium fotograficzne. Nie przyznałam się, co ja robiłam równocześnie. Chociaż mogłam powiedzieć: „Jestem przedstawicielką firmy handlowo-usługowej Dama Kameliowa”. Jasne, taka była ze mnie Dama Kameliowa, jak z koziej dupy trąba! Na szczęście szybko powróciłyśmy do celu mojej wizyty.

– Zaraz ci pokażę, co przygotowałam na sesję. To będzie body i długa spódnica – wyjaśniała Łucja, ściągając ciuchy ze stojaka. – Tylko nie zakładaj pod to stanika – ciągnęła lekkim tonem. – Teraz mieszkam tu sama, więc nikt nie będzie przeszkadzał. Czuj się swobodnie – przekonywała.

Kiwałam głową, przypominając japońskiego kota maneki neko, który siedział wśród płyt. Powoli zmierzałam z naręczem ubrań do wskazanej mi łazienki.

– A, zaczekaj! Jeszcze buty. – Łucja zastąpiła mi drogę i wcisnęła do ręki baletki.

Tym razem ona była wrózką dla mnie, jak zwykle Kopciuszka do odmienienia. Sama w życiu nie odmieniłabym się podobnie. Ciuchy pasowały idealnie, uszyte jak na miarę. Elastyczne body odpowiednio, ale nie wulgarnie podkreślało wypukłości i wcięcia. Spódnica opadała do podłogi, tworząc z tyłu niewielki tren. Ciągnął się za mną, kiedy szłam od lustra do studia. Ten kostium obudził we mnie prawdziwą kobietę, bez winy i wstydu. Może nie kameliową, ale jednak damę.

Łucja uniosła kciuk. Ustawiła mnie, włączyła lampy i wyregulowała natężenie światła. Uruchomiła wiatrak. Pośród szumu miałam podnosić i puszczać spódnicę. Nie opuszczało mnie wrażenie, że za chwilę wiatrak wciągnie ją razem ze mną. Fotografka zmniejszyła jego obroty.

– Nie, tak nie może być... – Przystąpiła z nogi na nogę. – Lepiej zepnij włosy.

Posłusznie zebrałam je w kok. Na zdjęciach miała zagrać tylko unosząca się spódnica. Co chwilę trzaskała migawka, migały lampy. Panował bezczas, jakby po zegarze pozostał tylko ślad na ścianie.

W następnej kolejności Łucja zamierzała mnie sfotografować w samym body. Uprzedziłam, że mam blizny, starając się, żeby mój głos nie zadygotał. Obawiałam się, że ona mi podziękuje i tym razem pokaże drzwi wyjściowe, ale nie takiego się nie stało. Nie usłyszałam też od niej pytań ani połajanek.

Przydałoby mi się laserowe usuwanie blizn, żebym się tyle nad nimi nie trzęsła – pomyślałam. Kiedyś będzie mnie na to stać. Musi – obiecałam sobie.

Usiadłam na specjalnym sześcianie i zaczęłyśmy. Podkurczałam nogi, zwijając się w kłębek, i opuszczałam je. Przechylałam i odchylałam głowę. Zasłaniałam raz jedną, raz drugą połowę twarzy dłonią. Mrużyłam i otwierałam oczy. Byłam istną marionetką na podeście. Animowały mnie słowa fotografki. Łucja nie odrywała się od aparatu. Ona była nim, on – nią. Razem obchodzili moje ciało, zaczajali się na nie. W odpowiednim momencie atakowali je spustem migawki. Złapane pochłaniali starannie i wylizywali kości. A ja nie uciekałam. Ja tego chciałam. O ile na początku nie patrzyłam w obiektyw zbyt śmiało, o tyle teraz rzucałam mu wyzywające spojrzenia.

– No i jak? Jedno ujęcie chyba wybierzesz? – roześmiałam się, gdy wciągałam swoje ciuchy.

– Tak. I prześlę ci je. A teraz... Teraz nie zobaczysz żadnego! – Pokazała mi język.

Na pierwszej wspólnej sesji nie wypadało wyzywać się od małpisonów.

Przez następne dni pozorowałam cierpliwe czekanie. Obawiałam się, że wypadłam zbyt sztywno i będę przypominać drewnienko, siostrę Pinokia wystruganą z identycznego kloca.

Efekty sesji rozproszyły te obawy. W unoszącej się spódnicy kojarzyłam się z czarnym łabędziem! Z tej serii najbardziej spodobało mi się zdjęcie, na którym stałam bokiem. Biodra miałam wysunięte do przodu, plecy wygięte do tyłu. Przechylona podnosiłam ręce, jakbym podawała je podmuchowi powietrza, który unosił za mną warstwę tiulu. Zwiewny materiał niemal stykał się z końcami palców.

Kolejne fotografie ukryły pewną prawdę – Łucja bez słowa wyretuszowała ślady po cięciach. Byłam jej wdzięczna za subtelność tego gestu i ujęć. Wspaniale igrała ze światłem. Jego wiązki przesuwały się po moim ciele według jej rozkazów, jakby nawlekała mi je na skórę. Na przykład, na jednym z kadrów oświetliły usta wygięte w półuśmiechu, krawędź szyi i trójkąt obojczyka. Poza nimi nachylała się ku mnie czerni. Ona posiadała resztę sylwetki i tło. Światło rozpraszało czy

zapraszało ciemność?

Nie wiem, jak Łucja to zrobiła, ale zdjęcia były naładowane zmysłowością, choć niedopowiedzianą. Nigdy nie czułam się równie ponętna, jak wtedy, kiedy je oglądałam. Próżności ty moja! Znajdując się w środku fotografii, w samym jej jądrze, stawałam się jej tworzywem. Kimś utrwalonym, a zatem nie do zastąpienia, nie do wymiany. Co szczególnie pokrzepiało mnie po wiadomym rozstaniu.

„Publiczność” w internetach zareagowała bardziej niż entuzjastycznie. Mój bal debutantki w fotomodelingu udał się w pełni. Po niezliczonych upokorzeniach stałam się podziwianą diwą. Wiedziałam, że nigdy tego Łucji nie zapomnę.

– Gratuluję! Efekty są genialne, naprawdę, masz talent. – Napisałam do niej po publikacji zdjęć. – Dzięki Tobie poczułam się piękna. Piękniejsza, niż jestem.

– Nie przesadzaj. Ten sukces jest również Twój. Jesteś stworzona do pozowania! Poczekaj chwilę, zadzwonię do Ciebie. Mogę?

Mogła. I już umawiałyśmy się na kolejną sesję.

Makler również docenił piękno fotografii, kiedy mu je pokazałam na laptopie. Promieniał dumą, dopóki nie przejął myszki i nie zaczął przeglądać opinii o zdjęciach. Nie obchodziła go wyłącznie ich treść, ale również kto komentuje i jak często. Zrobił z siebie istne FBI i przesłuchiwał, co mnie z kim łączy. A nie łączyło mnie nic i z nikim!

Oto kolejny fikolek karmy. Ja, zazdrośnica, miałam przedsmak życia z zazdrośnikiem.

Niedługo po śledztwie, w toku którego okazałam się niewinna, sponsor pochwalił się, że poznał nową świetną lolitkę. Że niezła z niej sztuka. Jasne! Niezła dziecinada z jego strony! Prawdziwa słabość. Ale sama jej chciałam, więc miałam. Zdawałam sobie sprawę, że on mnie szantażuje, ale popełniał proste, wręcz prostackie błędy. Jego kandydatura na moje bóstwo upadła ostatecznie. Jednak na samą wieść o tej drugiej mimowolnie raz to bladłam, to purpurowiałam. Dzięki tej niekontrolowanej reakcji uratowałam swoje stanowisko i mieszkanie.

Chociaż coraz mocniej irytowały mnie zachowania sponsora. Co do jednego. Dał mi swoją koszulę, żebym miała jego zapach na co dzień, a ja upchnęłam ją na dnie szafy i wyciągałam na wierzch tylko wtedy, kiedy przychodził. Ten, który wylizywał rankiem wieczko od jogurtu, stracił urok tego, którego poznałam jako pewnego siebie elegancika. Zmarszczki na jego czole wydawały mi się coraz bardziej wyraźne. Zapadały się w głąb skóry. Głos i śmiech brzęczały nieznośnie. Oto śliniący się satyr! Pociągał mnie jeszcze jego zapach, ale wyłącznie ten na żywo.

Wolałam nie wspominać mu o kolejnej sesji planowanej u Łucji. O tym, że z nim coraz częściej czuję się wstrząsanym orgazmami mięsem, podczas gdy ona mnie wyzwala. Między innymi swoim pełnym szacunkiem wobec mnie.

Przed następnymi zdjęciami urządziła mi małą przepytywanekę.

– Jakie kolory lubisz? – dociekała, co skojarzyło mi się z pytaniem w zeszytcie podpisanym „Złote myśli”. W odpowiedzi najlepiej było wypisywać barwy odpowiadającym im wkładem długopisu. Skoro jednak czerń jest niekolorem, podałam Łucji czerwienie i granaty. Same się pojawiły w moim życiu. Posiadały i nadały mu tyle znaczeń.

– A gdybym pomalowała cię takimi farbami do zdjęć?

Stało na tym, że ona kupi plakatówki, łatwo zmywalne, a ja przyszykuję się na odważne rozbieranki i malowanki.

Niby nie przejmowałam się rozbierankami na życzenie, jednak stojąc zupełnie naga przed nią, całkiem ubraną, poczułam się niezręcznie, a zarazem perwersyjnie. Przypomniała mi się tamta wizyta u lekarki. Bałam się, jak zareaguję na kobiecą rękę, która poprowadzi prawdziwy pędzel. Czy będę ociekać wyłącznie farbą?

Łucja malowała mnie w taki sposób, że ślad pędzla owijał się wokół ciała. Czerwona wstążka biegła spiralą od szyi. Obejmowała ramiona. Przesuwała się po piersiach i pod łopatkami. Oplatała brzuch na wysokości pępka i plecy ponad biodrami. Owijała nogi po same kostki, jakby je związywała. Łasiła się ta krwista łasica, oj, łasiła! Smyranie skóry miękkim i mokrym włosiem sprawiało mi błogą przyjemność. A jednak nie czułam szczególnego podniecenia, zbyt zaabsorbowana pomysłem. Nie chciałam psuć naszego kontaktu jakimkolwiek nierozważnym zachowaniem.

Fotografka poprosiła, żebym wyciągnęła ręce przed siebie. Na obu pozostawiła ślady malowanej tasiemki. Jej końce łączyły się w kokardę na nadgarstkach.

Pozowałam na ciemnym tle, lekko przechylona w bok, i unosiłam ręce. Najpierw kojarzyły mi się ze strzelistymi przekrzywionymi gałęziami w erotycznym naczyniu – wazonie wyprężonego ciała. Potem wyobraziłam sobie pał, do którego zostałam przywiązana czerwienią. Ciało, o którym mawia się „białe”, lizały języki ognia. Karmiły się mną, łakome. Pięły się od pnia w górę, coraz wyżej. Dym gryzł mnie w gardło, szczypał w oczy. Okopcone włosy także wydzielaly jego zapach. I wreszcie wcielił się we mnie jeden wielki płomień. Słyszałam skwierczenie i trzaski. W ustach miałam smak popiołu.

Ech, ty kiczowata masochistko!

Nie wiem, czego doświadczała Łucja, gdy uwieczniała mnie z rozmaitych perspektyw, pod rozmaitymi kątami. Kiedy skończyła, przycupnęliśmy na brzegu wanny, żeby rozpuścić wstążkę za pomocą wody z mydłem, które też było płynne.

Na potrzeby kolejnej pozy musiałam upiąć włosy do góry, żeby niczego nie zasłaniały. A Łucja wręczyła mi metalowy kubek wypełniony gęstą granatową farbą. Kazała się odwrócić i wylać go na siebie. Narodzona na nowo z wody przyswajałam zatem kolejny mój kolor. Jego potok spływał na kręgosłup.

Wzdrygnęłam się od nagłego chłodu, jakby po plecach sunęła mi zimna dłoń. Potok podzielił się na kilka strug, podobnie jak dłoń dzieli się na kilka palców, gdy się ją rozwiera. Lgnęły one również do pośladków i nóg, aż po pięty, i same malowały wzory.

Moją skórę dawało się dowolnie pokrywać farbą. Pokazywać ten obraz każdemu, kto zapragnie zwrócić na niego uwagę i zechce zatrzymać się przed nim. Jednak żaden z oglądających nie przeniknie pod powierzchnię płótna i nie będzie mnie mieć. Będę ich wszystkich i niczyja, stwierdziłam, nie bez satysfakcji. Nie należałam również całkowicie ani do czerwieni, ani do granatu. Należałam bowiem do obu, do ognia i wody, rozgrzewana i oziębiana podczas zabawy w ciepło-zimno.

Wciąż byłam nienasycona współpracą z Łucją, a ona ze mną. Podsyłałyśmy sobie prace naszych ulubionych fotografów. Prześcigałyśmy się w pomysłach na kolejne zdjęcia. Przecież zawsze lubiłam testować różne wcielenia. Podczas pozowania odsuwałam złe myśli o sobie. Wpuszczałam światło i powietrze do zadymionego pokoju.

Ruszyła lawina. Nasze kolejne sesje zbierały kolejne pochwały, w tym od starych wyjadaczy fotografii. Autorka zaczęła tytułować mnie swoją muzą. Nasz związek kwitł. Tym ciekawszy, że skupiałyśmy się w nim na cielesności, choć on sam cielesny nie był. Spajał nas ze sobą obiektyw, który stanowił rodzaj podwójnego wibratora. Obie naraz przyprawiał o orgazm.

Planowałyśmy stworzyć moje pierwsze zdjęciowe portfolio, żebym poszła z nim dalej w świat, jak z przewieszonym przez ramię tłumoczkim. Dzięki znajomościom Łucji dodałam do swojej stajni także nowych plastyków i fotografów. Pisałam im teksty na wystawy, a płaciły mi za nie ich galerie. Tak potrafili mnie urządzić!

Rozkręcała się artystyczna freelancerka, na całego.

Pulsowałam radością nie do wysłowienia. Snułam nowe plany, tylko jak o nich powiedzieć maklerowi? Na razie poprosiłam go o dwa tygodnie urlopu. Wytłumaczyłam, że chcę wyjechać do znajomej w góry. Nieważne, że zimą, która przychodziła tam znacznie wcześniej. Zrobię coś dla siebie, wrócę wypoczęta i na nas również to dobrze wpłynie, przekonywałam. O ile wrócę...

O tych wahaniach on oczywiście się nie dowiedział.

Po serii niefortunnych zdarzeń zyskałam tak wiele! Istny róg obfitości. Tyle że nie znajdował się w nim wymarzony związek. Z czytanych lub oglądanych historii dziewczyn wyrządzających sobie krzywdę wynikało, że od samych siebie ratowała je miłość (do) drugiej osoby. Naprawdę?

Ja dopiero bez niej spałam słodkim snem niemowlęcia. Nie martwiłam się, czy akurat mój partner/partnerka nie podtruwa się ani czy sama nie jestem podtruwana przez niego/nią. Dobrze, założmy, że miłość obejdzie się bez toksyn. Jednak kto ma gwarancję, że nie zostanie raptem odstawiony na boczny tor? Mnie

uratowała, owszem, kapryśna, lecz niezmienna miłość do sztuki. Sztuka wynagrodziła moje przywiązanie, niezwykłą wierność. I przywracała mi wiarę w siebie.

Nie tylko uznałam, że mojego ciała nie da się osiąść do końca. I żaden sponsor tego nie zmienił. Na kadrach autorstwa Łucji byłam sobą i jednocześnie kimś więcej. Zostawiłam w nich cząstkę, która nigdy się nie zestarzeje. Czy muszę pisać, ile moich obaw to uspokoiło? Pamiętnik, który zapakowałam do plecaka na wyjazd w góry, również mnie utrwalał. Nie zamierzałam jednak pozostać wieczną lolką. W wieczności kryje się coś zbyt demonicznego. Wołałam tworzyć kolejne metamorfozy.

Nie czerpałam już tak zachłannie piękna z innych kobiet, ponieważ nareszcie odnalazłam je w sobie. Nadal we mnie istniało, mimo blizn, tych zewnętrznych znaków wewnętrznego szaleństwa i cierpienia. Nie dały mu rady! Moje serce, rozkrojony granat plujący ziarenkami, wciąż potrafiło rozsiewać uczucia.

Nareszcie do samej siebie.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I

Życie daje szkołę

ROZDZIAŁ II

Morskie opowieści

ROZDZIAŁ III

Raj utracony

ROZDZIAŁ IV

Niewinność z odzysku

ROZDZIAŁ V

Prosto w twarz

ROZDZIAŁ VI

Ja z ogłoszenia

ROZDZIAŁ VII

Lolita

[1] Sarsa Markiewicz, *Naucz mnie*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,sarsa_markiewicz,naucz_mnie.html [17
października 2016].

[2] W łódzkim slangu – bilet miesięczny (przyp. aut.).

[3] Sarsa Markiewicz, *Naucz mnie*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,sarsa_markiewicz,naucz_mnie.html [17
października 2016].

[4] Die Antwoord, *Baby's on fire*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,die_antwoord,baby_s_on_fire.html [17
października 2016].

[5] Buffo, *Chcę być Kopciuszkiem*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,buffo,chce_byc_kopciuszkiem.html [17
października 2016].

[6] Anna Jantar, *Nic nie może wiecznie trwać*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,anna_jantar,nic_nie_moze_wiecznie_trwac.html
[17 października 2016].

[7] Oddział Zamknięty, *Obudź się*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,oddzial_zamkniety,obud__sie.html [17
października 2016].

[8] Bring Me The Horizon, *Can you feel my heart*,
[http://www.tekstowo.pl/piosenka,bring_me_the_horizon,can_you_feel_my_heart.ht
ml](http://www.tekstowo.pl/piosenka,bring_me_the_horizon,can_you_feel_my_heart.html) [17 października 2016].

[9] Czerwone Gitary, *Płoną góry, płoną lasy*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,czerwone_gitary,plona_gory__plona_lasy.html
[17 października 2016].

[10] Kate Perry, *I kissed a girl*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,katy_perry,i_kissed_a_girl.html [17 października
2016].

[11] Pidżama Porno, *Nocny gość*, na podstawie wiersza Władysława
Broniewskiego, http://www.tekstowo.pl/piosenka,pidzama_porno,nocny_gosc.html

[17 października 2016].

[12] M.I.A., *Sexodus*, http://www.tekstowo.pl/piosenka,m_i_a_,sexodus.html
[17 października 2016].

[13] Alizée, *Moi* *Lolita*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,aliz_e,moi_lolita.html [5 grudnia 2016].

